

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/427

1983



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

M. BROŃSKI **RZECZ O INSPIRACJI**

A. KOWALSKA: **Z DZIEJÓW JEDNEJ
ROZPRAWY SĄDOWEJ**

J. BONIECKI: **CZY KOŚCIÓŁ POZOSTANIE
OBOJĘTNY WOBEC PRZELUDNIENIA ŚWIATA?**

St. KISIELEWSKI: **ŻYCIE NA NIBY CZYLI
OPCJA OBOJĘTNA**

SPIS RZECZY

M. Broński:	<i>Rzecz o inspiracji</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	12
Sławomir Mrożek:	<i>Uzupełnienie</i>	25
Anka Kowalska:	<i>Z dziejów jednej rozprawy sądowej</i>	26
Kazimierz Orłóś:	<i>Drugie wrota w las</i>	43

WIERSZE

Kazimiera Iłakowiczówna:	<i>O Boże...</i>	51
--------------------------	------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Jerzy Boniecki:	<i>Czy Kościół pozostanie obojętny wobec przełudnienia świata?</i>	53
Stefan Kisielewski:	<i>Życie na niby czyli opcja obojętna</i> ..	70

K R A J

—	<i>Wywiad z wydawnictwem „Krag”</i> ..	75
Stanisław Lorentz:	<i>O Muzeum Narodowym w Warszawie</i>	81
Stanisław Piotrowski:	<i>Jak Stowarzyszenie Architektów Pol- skich budowało Polskę</i>	83

SPRAWY I TROSKI

Włodzimierz Ledóchowski:	<i>Chochla</i>	87
--------------------------	----------------------	----

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	95
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	102
B. H.:	<i>Kronika ukraińska</i>	105
Alexander Tomsky:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	106

CI, CO ODESZLI

Danuta Mostwin:	<i>Śródpole</i>	108
-----------------	-----------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Zdzisław Najder:	<i>Wallis i jego prace semiotyczne</i>	116
Józef Czapski:	<i>Malarstwo polskie 1918-1939</i>	126
A. K.:	<i>Polski teatr w Niemczech</i>	129
—	<i>Oświadczenie pisarzy polskich człon- ków ZLP</i>	131

WOLNA TRYBUNA

Stefan Korboński:	<i>Podziemie wczoraj i dziś</i>	132
Tomasz Mianowicz:	<i>Konspiracja, podziemie, opór społeczny</i>	138
André Froissard:	<i>„Normal”</i>	143

KSIĄŻKI

Jerzy Pietrkiewicz:	<i>Pamiętnikarz spod znaku Norwida</i> ..	144
Jerzy R. Krzyżanowski:	<i>Cztery rozmowy o literaturze</i>	147
K.A.J.:	<i>Rok łaski</i>	150
Janina Katz Hewetson:	<i>Na Mlecznej Drodze</i>	151
Stanisław Barańczak:	<i>„Szukając miary, może tworzysz miarę”</i>	154
Janina Katz Hewetson:	<i>Polska bibliografia w Danii</i>	158
KP:	<i>„Narodowiec” i Polska</i>	160
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	161

POLEMIKI

Anna Pratt:	<i>O Palestyńczykach inaczej</i>	163
-------------	--	-----



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	169
---	----------------------------------	-----



—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	174
---	----------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień - Avril

1983

INSTYTUT



LITERACKI

KONKURS

Do dnia zamknięcia konkursu na „pamiętnik z ostatnich 7 lat w Polsce”, ogłoszonego przez redakcję *Kultury* i Rozgłośnie Polską Radia Wolna Europa we wrześniu ubiegłego roku, wpłynęło 68 prac nadesłanych przez osoby mieszkające w różnych częściach świata, w tym sześć w kraju.

Jury Konkursu: Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski Grażyna Pomianowa, Wiesław Wawrzyniak i działacz Solidarności z kraju przystąpiło z dniem 15 lutego bież. roku do wnikliwego czytania każdego pamiętnika. Prace Jury będą trwały do 1 czerwca bież. roku i do tej daty będą przyjmowane pamiętniki nadchodzące z kraju, które ze względu na trudności komunikacyjne nie mogły dotrzeć w ustalonym terminie. Wyniki Konkursu zostaną ogłoszone w lipcu bież. roku w miesięczniku *Kultura* oraz przez Radio Wolna Europa.

Wszystkim, którzy nadesłali pamiętniki składamy serdeczne podziękowania.

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Wilhelm Bismayer, Des Plaines, IL (USA), po raz 17-ty — \$ 50,00	F. 340,00
Lesław K. Ludwig, Springfield, MA (USA), po raz 10-ty — \$ 13,00	F. 108,00
Bolesław Puszka, Lafrançaise (Francja)	F. 50,00
Jerzy Rachwał, mgr., Caracas (Wenezuela)	F. 60,00
Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii (nadesłał sekretarz p. Jacek Słowiński) — \$ US 20,00	F. 136,00
Maria Tracz, Dijon (Francja)	F. 100,00
S. J. Zaremba, Bordentown, N.J. (USA) — \$ 8,00	F. 54,50
Anonimowo z Cleveland, OH (USA) — \$ 10,00	F. 68,00
Beziemiennie z Bromma (Szwecja)	F. 20,00
Beziemiennie z Lugano (Szwajcaria), po raz 14-ty	F. 340,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ZEBY POLSKA BYŁA POLSKA”

Anonimowo z Winnipegu (Kanada) — zamiast imiennowych upominków — \$ c. 40,00	F. 224,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia RFN — na pomoc dla pisarzy w Polsce, prześladowanych ze względów politycznych ..	F. 5.000,00
Dla uczczenia pamięci Sabiny Wójcikiewicz — zamiast kwiatów na Jej grób — siostra ze Sztokholmu — Krs 100,00	F. 92,00
Dochód ze spotkania z prof. Władysławem Bartoszewskim dnia 28 stycznia 1983 r. w sali Akademii szwedzkiej — na pomoc dla pisarzy w Polsce — Krs 1.185,00	F. 1.090,00
Maria Halstead i dr Clark, Santa Barbara, CA (USA) — dla uczczenia pamięci przyjaciela i dobrego Polaka śp. Bogdana Deresiewicza — w rocznicę Jego śmierci — na pomoc dla dzieci rodzin uwięzionych lub pozbawionych pracy w Polsce	

(Dalszy ciąg Wpłać na str. 176)

Rzecz o inspiracji

Władimir Wołkow, francuski pisarz pochodzenia rosyjskiego, jest autorem ok. dziesięciu dobrych powieści i zasługiwałby na coś więcej niż tylko omówienie jego najnowszej książki pt. „Montaż”*, gdyby nie fakt, że samo jako tako pełne zdanie sprawy z tej ostatniej pozycji (szczególnie ważnej z racji jej aktualności) i tak zdaje się przekraczać przyjętą długość recenzji. Podobnie jak kilka poprzednich powieści tego autora, „Montaż” napisany jest w konwencji powieści szpiegowskiej i traktuje o akcji KGB we Francji, ale fabuła tej książki, skonstruowana zresztą precyzyjnie i „gęsto”, wydaje się tylko pretekstem do wyłożenia przez Wołkova jego teorii manipulowania przez Sowiety opinią publiczną na Zachodzie. Akcję tę można by nazwać „sztuką inspirowania”, bo taki sens ma używane przez autora słowo *influence*. Najzwięźlejsze zasady tej sztuki ujmuje akapit na str. 45: „*Inspiruje się zawsze przez pośredników. Tylko poprzez uaktywnienie ciągu kolejnych punktów oparcia udaje się umieścić strzałę-opinię w społeczeństwie-celu*”. Inspirowane opinie mają oczywiście za zadanie osłabianie społeczeństwa i władz kraju, w którym są szerzone. Działalność ta stanowi część strategii, mającej za punkt dojścia podbój Zachodu, a za wytyczną metodologiczną sentencję Sun Tsü — rodzaj chińskiego Clausewitza z V wieku przed Chr. — brzmiąca jak następuje: „*Mistrzowie sztuki wojennej zwyciężają przeciwnika bez walki. Zdobywają miasta bez szturmów i podbijają kraj bez przewlekłych operacji wojskowych*”.

Bohaterem powieści jest „agent inspiracyjny” Aleksander Dmitricz Psar, urodzony we Francji, syn białych emigrantów

* Vladimir Volkoff, *Le Montage*. Roman, 349 pages. Julliard/L'Age d'Homme, 1982.

1983 W 547/6
NA KUD 05 P.9786 chr. Arch.

rosyjskich. Zostaje zwerbowany przez KGB (które wtedy nazywa się jeszcze MWD, a w języku wewnętrznym jego funkcjonariuszy *patria nostra*) w pierwszym okresie po wojnie, kiedy to tysiące białych emigrantów pod wpływem uniesienia patriotycznego po rosyjskim zwycięstwie nad Niemcami, nostalgii i emigracyjnych upokorzeń rzuciło się do ambasady sowieckiej w Paryżu, by skorzystać z ogłoszonej „amnestii”. Wielu *wozwraszczeńcow* w istocie pozostało na emigracji nadal, gdyż władze sowieckie nie kwapiły się z ich repatriacją. Na Zachodzie byli użyteczniejsi: masa „czekających” miała służyć do kamuflowania tych, którzy dostali określone „zadania specjalne” i nie mieli wrócić w ogóle. Takim przetrzymanym był też ojciec Aleksandra, który jeszcze na paryskim łożu śmierci przykazuje kończącemu szkołę synowi: „Ty wrócisz zamiast mnie!”. Uzdolniony literacko Aleksander zostaje wciągnięty w grę KGB obietnicą: jeśli przez 30 lat będziesz wiernie służył, w nagrodę wrócisz do ojczyzny. Aleksander (w wewnętrznym kodzie zwany „Oprycznikiem”) zostaje wytypowany na przyszłego agenta inspiracji. W latach tuż-powojennych jest to jeszcze *novum*, ale genialny strateg-kagebista Abdulrahmanow przewiduje już sytuację na dziesięciolecie z góry. W jego gabinecie na ścianie wisi artystycznie wykonana tablica z 13-oma przykazaniami, stanowiącymi esencję doktryny miękkiego podboju Sün Tsü: 1. Dyskredytuj dobro; 2. Kompromituj przywódców; 3. Podrywaj zaufanie, podsycaj pogardę; 4. Posługuj się nikczemnikami; 5. Dezorganizuj władzę; 6. Siej niezgodę; 7. Buntuj młodych przeciw starym; 8. Ośmieszaj tradycje; 9. Zakłócaj zaopatrzenie; 10. Rozpowszechniaj lubieżną muzykę; 11. Szerz rozwydrzenie; 12. Płać hojnie; 13. Bądź poinformowany.

Zasady te w unowocześnionej formie ma realizować we Francji „Oprycznik”. KGB wybiera mu nawet fach — agenta literackiego. Aleksander po skończeniu Sorbony studiuje jeszcze dodatkowo w Nowym Jorku (Abdulrahmanow: „*Za kilka lat bez dobrej znajomości Ameryki nic na Zachodzie na serio nie da się zdziałać*”), po czym uruchamia w Paryżu biuro, służące pośredniczeniu między autorami a wydawcami. W chwili gdy zaczyna się właściwa akcja powieści — w 30 lat po wstąpieniu Aleksandra na służbę *patriae nostrae*, czyli ok. 1976 roku — agencja ta jest już stałym elementem francuskiego życia intelektualnego i ma na swym koncie (zarówno oficjalnym, jak i „właściwym”) nie lada osiągnięcia. Aleksander Psar ma opinię oświeconego prawnicowca (KGB jeszcze w latach szkolnych kazało mu zorganizować grupę popierającą agzekucję Rosenbergów w imię „nierozpowszechniania broni atomowej”); jest znany z tego, że mimo swych raczej antysowieckich przekonań nie

zatraca tak zwanego obiektywizmu, czyli że występując przeciw „praktykom stalinowskim” (nigdy „leninowskim”!) w ZSSR, nie zapomina też nigdy potępić na przykład dyktatury w Paragwaju; jego elegancja, powściągliwość, dobry smak (nigdy nie podjąłby się sprzedaży rękopisu wulgarnie i bez niuansów antykomunistycznego!) powodują, że ma on dobre stosunki w kołach tzw. demokratycznej lewicy, a także wśród nieskazitelnym, poprawnym i „obiektywnym” prawnicowców. Wydawniczym uosobieniem jego działalności jest seria tzw. „Białych Ksiąg”, poświęconych palącym zagadnieniom współczesności; nie trzeba dodawać, że i one są wzorem obiektywizmu, umiaru i w ogóle *comme il faut*: statystyki, podejście pełne zrozumienia, żadnej propagandy, tylko fakty; konkluzje pozostawia się czytelnikom, choćby serce krajało się z bólu. Oto nieco tytułów: „O rasizmie”; „O eksploatacji bogactw naturalnych w Ameryce Południowej”; „O neokolonializmie”; „O armii francuskiej”; „O Kościele katolickim”; „O policjach prywatnych”; „O systemie penitencjarnym we Francji”; „O odradzeniu się nazizmu”; „O CIA”; „O wyścigu zbrojeń”; „O obozach koncentracyjnych na świecie”; „O energii atomowej”. Za „Białą Księgę o systemie szkolnictwa we Francji” agent zwany „Oprycznikiem” dostał wewnętrzny (tajny oczywiście) awans z uzasadnieniem: za nieszkodliwienie uniwersytetów i gimnazjów francuskich na okres jednego pokolenia.

Oczywiście księgi te — nie pisane, ani nie wydawane wprost przez Psara, broń Boże, tylko inicjowane i inspirowane przez niego — pisane były według 10 zasad przyrządzania informacji tendencyjnej, które to zasady (wspominał już o nich obszerniej w *Kulturze* Adam Kruczek) warto przypomnieć. Zdarzenia, zjawiska lub fakty, będące przedmiotem informacji tendencyjnej, mogą stanowić: 1. niesprawdzalny fałsz, 2. mieszaninę prawdy i fałszu, 3. przekręcenie prawdy, 4. deformację prawdy przez umieszczenie jej w zmienionym kontekście, 5. prawdę osłabioną umieszczeniem w masie informacji bez związku, 6. prawdę niekompletną. Informacja może być też podana jako (7) li tylko *ilustracja* narzucanej czytelnikowi opinii ogólnej, lub też (8) może stanowić *punkt wyjścia* do szerokich i niesprawdzalnych uogólnień; reakcje opinii publicznej na referowany fakt mogą być odnotowywane według zasady (9) nierównej proporcji (1 głos contra: 10 pro), lub też odwrotnie, (10) według równej proporcji (10 pro i 10 contra, szczególnie jeśli naprawdę głosów było 10 pro i 1000 contra).

W powieści zasady te stanowią część taktyki, z którą zaznajomił Psara werbujący go młody kagebista, wierny uczeń Abdulrahmanowa, w czasie decydującej rozmowy na galerii katedry Notre

rosyjskich. Zostaje zwerbowany przez KGB (które wtedy nazywa się jeszcze MWD, a w języku wewnętrznym jego funkcjonariuszy *patria nostra*) w pierwszym okresie po wojnie, kiedy to tysiące białych emigrantów pod wpływem uniesienia patriotycznego po rosyjskim zwycięstwie nad Niemcami, nostalgii i emigracyjnych upokorzeń rzuciło się do ambasady sowieckiej w Paryżu, by skorzystać z ogłoszonej „amnestii”. Wielu *wozwraszczeńcow* w istocie pozostało na emigracji nadal, gdyż władze sowieckie nie kwapiły się z ich repatriacją. Na Zachodzie byli użyteczniejsi: masa „czekających” miała służyć do kamuflowania tych, którzy dostali określone „zadania specjalne” i nie mieli wrócić w ogóle. Takim przetrzymanym był też ojciec Aleksandra, który jeszcze na paryskim łóżu śmierci przykazuje kończącemu szkołę synowi: „Ty wrócisz zamiast mnie!”. Uzdolniony literacko Aleksander zostaje wciągnięty w grę KGB obietnicą: jeśli przez 30 lat będziesz wiernie służył, w nagrodę wrócisz do ojczyzny. Aleksander (w wewnętrznym kodzie zwany „Oprycznikiem”) zostaje wytypowany na przyszłego agenta inspiracji. W latach tużpowojennych jest to jeszcze *novum*, ale genialny strateg-kagebista Abdulrahmanow przewiduje już sytuacje na dziesięciolecia z góry. W jego gabinecie na ścianie wisi artystycznie wykonana tablica z 13-oma przykazaniami, stanowiącymi esencję doktryny miękkiego podboju Sün Tsü: 1. Dyskredytuj dobro; 2. Kompromituj przywódców; 3. Podrywaj zaufanie, podsycaj pogardę; 4. Posługuj się nikczemnikami; 5. Dezorganizuj władzę; 6. Siej niezgodę; 7. Buntuj młodych przeciw starym; 8. Ośmieszaj tradycje; 9. Zakłócaj zaopatrzenie; 10. Rozpowszechniaj lubieżną muzykę; 11. Szerz rozwydrzenie; 12. Płać hojnie; 13. Bądź poinformowany.

Zasady te w unowocześnionej formie ma realizować we Francji „Oprycznik”. KGB wybiera mu nawet fach — agenta literackiego. Aleksander po skończeniu Sorbony studiuje jeszcze dodatkowo w Nowym Jorku (Abdulrahmanow: „*Za kilka lat bez dobrej znajomości Ameryki nic na Zachodzie na serio nie da się działać*”), po czym uruchamia w Paryżu biuro, służące pośredniczeniu między autorami a wydawcami. W chwili gdy zaczyna się właściwa akcja powieści — w 30 lat po wstąpieniu Aleksandra na służbę *patriae nostrae*, czyli ok. 1976 roku — agencja ta jest już stałym elementem francuskiego życia intelektualnego i ma na swym koncie (zarówno oficjalnym, jak i „właściwym”) nie lada osiągnięcia. Aleksander Psar ma opinię oświeconego prawicowca (KGB jeszcze w latach szkolnych kazało mu zorganizować grupę popierającą agzekucję Rosenbergów w imię „nierozpowszechniania broni atomowej”); jest znany z tego, że mimo swych raczej antysowieckich przekonań nie

zatraca tak zwanego obiektywizmu, czyli że występując przeciw „praktykom stalinowskim” (nigdy „leninowskim”!) w ZSSR, nie zapomina też nigdy potępić na przykład dyktatury w Paragwaju; jego elegancja, powściągliwość, dobry smak (nigdy nie podjąłby się sprzedaży rękopisu wulgarnie i bez niuansów antykomunistycznego!) powodują, że ma on dobre stosunki w kołach tzw. demokratycznej lewicy, a także wśród nieskazitelnym, poprawnym i „obiektywnym” prawicowców. Wydawniczym uosobieniem jego działalności jest seria tzw. „Białych Ksiąg”, poświęconych palącym zagadnieniom współczesności; nie trzeba dodawać, że i one są wzorem obiektywizmu, umiaru i w ogóle *comme il faut*: statystyki, podejście pełne zrozumienia, żadnej propagandy, tylko fakty; konkluzje pozostawia się czytelnikom, choćby serce krajało się z bólu. Oto nieco tytułów: „O rasizmie”; „O eksploatacji bogactw naturalnych w Ameryce Południowej”; „O neokolonializmie”; „O armii francuskiej”; „O Kościele katolickim”; „O policjach prywatnych”; „O systemie penitencjarnym we Francji”; „O odrzuceniu się nazizmu”; „O CIA”; „O wyścigu zbrojeń”; „O obozach koncentracyjnych na świecie”; „O energii atomowej”. Za „Białą Księgę o systemie szkolnictwa we Francji” agent zwany „Oprycznikiem” dostał wewnętrzny (tajny oczywiście) awans z uzasadnieniem: za nieszkodliwienie uniwersytetów i gimnazjów francuskich na okres jednego pokolenia.

Oczywiście księgi te — nie pisane, ani nie wydawane wprost przez Psara, broń Boże, tylko inicjowane i inspirowane przez niego — pisane były według 10 zasad przyrządzania informacji tendencyjnej, które to zasady (wspominał już o nich obszerniej w *Kulturze* Adam Kruczek) warto przypomnieć. Zdarzenia, zjawiska lub fakty, będące przedmiotem informacji tendencyjnej, mogą stanowić: 1. niesprawdzalny fałsz, 2. mieszaninę prawdy i fałszu, 3. przekręcenie prawdy, 4. deformację prawdy przez umieszczenie jej w zmienionym kontekście, 5. prawdę osłabioną umieszczeniem w masie informacji bez związku, 6. prawdę niekompletną. Informacja może być też podana jako (7) li tylko *ilustracja* narzucanej czytelnikowi opinii ogólnej, lub też (8) może stanowić *punkt wyjścia* do szeroki i niesprawdzalnych uogólnień; reakcje opinii publicznej na referowany fakt mogą być odnotowywane według zasady (9) nierównej proporcji (1 głos contra: 10 pro), lub też odwrotnie, (10) według równej proporcji (10 pro i 10 contra, szczególnie jeśli naprawdę głosów było 10 pro i 1000 contra).

W powieści zasady te stanowią część taktyki, z którą zaznajomił Psara werbujący go młody kagebista, wierny uczeń Abdulrahmanowa, w czasie decydującej rozmowy na galerii katedry Notre

Dame. Psar, który zdecydował się na współpracę pod wpływem przekonania, że przyszłość świata należy do Sowietów, a także pod wpływem *rancune* wobec Francji i jej szowinizmu, domaga się od Pitmana (tak zwie się ów pierwszy oficer kontaktowy) wyjaśnienia na temat swej przyszłej działalności. Pitman szkicuje trzy główne metody subwersyjnego oddziaływania na kraj-ofiara: są to Dźwignia, Trójkąt i Drut. Zasadą Dźwigni tak jak w fizyce jest stwierdzenie, że efekt siły działającej wzrasta w miarę, jak punkt jej przyłożenia oddala się od punktu oddziaływania, innymi słowy: z im większego oddalenia się działa, tym skuteczniej się działa. Dźwignia jest w istocie symbolicznym uogólnieniem całej działalności inspiracyjnej: nigdy nie działać wprost, dawać tylko impuls i dbać, by impuls ten rozszerzał się dzięki niezaangażowanym i nieświadomym przekazywaczom — Pitman nazywa je „rezonatorami”.

Zasada „Drutu” jest uogólnieniem obserwacji, że stalowy drut najłatwiej złamać, gnąc go wiele razy w różnych kierunkach. W zastosowaniu do opinii publicznej oznacza to nagłe wolty propagandowe, raz w lewo, raz w prawo, powodujące, że ludzie zupełnie przestają się orientować w prawdziwych zamiarach przeciwnika. Drobnym zastosowaniem tej taktyki w karierze samego Psara są jego ni to lewicowe, ni to prawicowe powiązania, dezorientujące przyzwyczajone do ideologicznej grandilocwencji otoczenie.

Na temat zasady „Trójkąta” warto przytoczyć obszerniejszy wyjątek z książki (str. 68-69):

Załóżmy, że postanawiam podporządkować sobie jakieś państwo. Trójkąt będzie się składał ze mnie, z władz tego państwa oraz z jego ludności. Ludności nie będę traktował jako przeciwnika, lecz jako odskocznię. Postawię sobie trzy zadania: po pierwsze — spowodować rozkład tradycyjnych grup odniesienia, które mogłyby osłaniać ludność przed moim oddziaływaniem; po drugie — zdyskredytować przeciwnika, czyli władze, posługując się odskoczniami, czyli ludnością; po trzecie — zneutralizować samą ludność. Do przeprowadzenia każdego z tych punktów zastosuję specjalne metody.

By rozłożyć tradycyjne grupy, zacznę je oskarżać od zewnątrz i od wewnątrz: postaram się wmówić pozostałej części ludności, a także najbardziej chwiejnemu członkowi samych tych grup, że były one w przeszłości szkodliwe i że są jeszcze nadal; z drugiej strony, nie przejmując się zawartą w tym sprzecznością, będę wykazywał, że są zbędne i pasożytnicze, że są tylko fikcją, a nie czymś realnym. W ten sposób wykopię przepaść między dziećmi a rodzicami, pracownikami a pracodawcami, między stadem a przewodnikami. Moi agenci będą posługiwali się potrójnym hasłem: uczciwości, sprawiedliwości, zdrowego rozsądku. Z tej pozycji — pozycji siły — zaatakuję władze, czyniąc je odpowiedzialnymi za wszystkie rzeczywiste odmiany zła, jakie występują w danym społeczeństwie, nie mówiąc już o rzekomych. Społeczeństwo rzeczywiście autorytarne sięgnie po środki represji, które dostarczą mi męczenników i pozwolą odwołać się do opinii światowej. Społeczeństwo demokratyczne upadnie jeszcze prędzej, gdyż wykazawszy, że można je atakować bezkarnie — taki też jest zasadniczy cel

inteligentnie pojętego terroru — przejdę do trzeciej fazy mego działania. Już zawczasu zrobię trochę propagandy projektywnej, to znaczy oskarżę przeciwnika o stosowanie metod, którymi sam mam zamiar się posłużyć; w ten sposób ustawię się w pozycji człowieka stosującego obronę konieczną. Nie należy zapominać [...], że w przeciwieństwie do rewolucji dawnych obecnie skierowane są przeciwko większości, a nie mniejszości. A większość tę bierze się w garść szerząc wśród niej ogólny paraliż. To można osiągnąć rozmaitymi sposobami. Niekiedy udaje się przekształcić wspomnianą większość w gigantyczną trupę gimnastyczną: prawa noga w górę! — podnoszą; lewa noga w górę! — podnoszą; obie nogi w górę! — padają na tyłek. Niekiedy odwrotnie, trzeba podzielić całe społeczeństwo na miliony oddzielnych jednostek, z których każda staje samotnie wobec ukazywanej jej głowy Gorgony i każda czuje się bezbronna i gotowa do kapitulacji. Tę cichą panikę uzyskuje się pielęgnowaniem legendy o przewadze wroga, pewną dozą terroryzmu i fascynacją, jaką zmija wywiera na zabę. Czasem dodaje się sztafaż rzekomo nadnaturalny, składający się z przepowiedni, wróżb i innych sztuczek. W każdym razie mówiąc o „poruszaniu mas” ma się zawsze na oku jeden cel: ich unieruchomienie. Gdy to się osiągnie, to znaczy gdy odskocznia zostanie przykuta do swego miejsca, rzeczywisty przeciwnik spada w rękę jak oderwany od zbrocza kamień. Oto pokrótce teoria Trójkąta.

Zasadnicza akcja książki, tzn. ta, która toczy się w latach 70-tych, to zawiła historia „montażu” akcji inspiracyjnej, mającej na celu zdyskredytowanie na Zachodzie rosyjskich dysydentów. Jest ona połączeniem zasady Dźwigni: działania przez nie-lub półświadomych pośredników, oraz Drutu, czyli takiego skłólania opinii publicznej, że ta na słowo „dysydent” zacznie dostawać drgawek obrzydzenia. Akcja (kryptonim „Pskow”) polega na tym, że na Zachód dotarła rzekomo nielegalna książka jakiegoś tajemniczego więźnia-dysydenta, zamkniętego w którejś ze sławetnych „klinik psychiatrycznych” w ZSSR, która ma wywołać w ludziach tymi sprawami przejętych najpierw zaniepokojenie, potem oburzenie, a na końcu niesmak i obojętność. Pierwsze fragmenty dzieła nazwanego „Rosyjską prawdą”, a pisanego stylem przypowieściowo-słowianofilskim, budzą wielkie zainteresowanie. Psar, poinstruowany przez zwierzchników, zawiera kontrakty wydawnicze z „postępowymi” i „właściwymi” wydawcami (inaczej publiczność nie wzięłaby książki do ręki) zanim jeszcze cały manuskrypt znalazł się w ich rękach. W całości książka okazuje się brednią, mętnie atakującą zarówno Sowiety jak i Zachód i proponującą „trzecie wyjście” — rodzaj monarchofaszyzmu, spowitego w bizantyjską mgłę. Gotowa książka wywołuje wśród „demokratycznej lewicy” zachodniej wstrząs: więc tacy są ci dysydenci! mamy czegośmy chcieli!! W momencie najgorętszej polemiki, samooskarżeń i zamieszania pada następna bomba, przewidziana oczywiście w operacji „Pskow” jako jej faza trzecia: w dość przejrzysty, a zarazem niejasny sposób KGB demonstruje czytelnikom „Rosyjskiej prawdy”, że jej wyszmu-

głowanie z Rosji, publikacja na Zachodzie, ba, samo jej napisanie odbyło się za wiedzą, aprobatą i — być może — instygacją „organów”. Psar i jego „orkiestra”, czyli grono paryskich wydawców, krytyków i innych wpływowych figur (Wołkow, dobrze znający środowisko, nie szczędzi tu jadu) znajdują się pod podwójnym obstrzałem: jedni oskarżają ich o propagowanie faszyzmu, drudzy o to, że dali się użyć jako narzędzia sowieckiej dezinformacji. O jakichkolwiek dysydentach nikt już w ogóle słuchać nie chce...

W przewidzianym przez KGB planie Psar miał w fazie trzeciej stać się kozłem ofiarnym i „sam się zlikwidować”, przynajmniej w sensie cywilnym. Abdulrahmanow od początku nie miał zamiaru dotrzymać obietnicy: „*odrzucimy go w końcu Francji na kolana jak zużytą ścierekę*”, mawiał. Tak też sprawy się toczą do chwili, gdy kierownictwo akcji przejmuje Pitman. Ten postanawia użyć Psara do jeszcze jednej operacji, tym razem już jego własnego pomysłu. Akcja „Twardy znak” — nowy kryptonim, nowe zadanie — ma polegać na zmontowaniu na Zachodzie ruchu, który odetnie się zarówno od kapitalizmu, jak komunizmu. Ma on skupić ludzi, którzy usiłowałiby znaleźć „trzecie wyjście” pomiędzy agresywnym, lecz mało ponętym komunizmem, a coraz słabszym i wyraźnie defensywnym „kapitalizmem”. Pitman przewiduje, że tego rodzaju ruch może ewentualnie powstać samoistnie, więc chce rzecz uprzedzić, stwarzając jej odstręczającą karykaturę: partię faszystowską.

Operacja zaczyna się rozwijać, Psar rekonstruuje swą orkiestrę w nieco zmienionym składzie — i w tym momencie wkrada się tzw. czynnik ludzki... Przewidujący wszystko Abdulrahmanow zadbał w swoim czasie o stworzenie swemu podopiecznemu namiastki rodziny: w czasie idyllicznego urlopu w Jugosławii Psar spotkał i pokochał czarującą młodą Rosjanę (kapitaną KGB, rzecz prosta), która w stosownym czasie i w bezpiecznej odległości sowieckiej ojczyzny rodzi mu rzekomo syna i „czeka” na powrót swego gołąbka po wygaśnięciu kontraktu. W chwili gdy akcja toczy się w Paryżu, w Moskwie cała ta fikcja staje się już zbyt uciążliwa i niedoszła żona z synem rzekomo giną w wypadku samochodowym. Psar przyjmuje to ze stoicyzmem i nadal pracuje nad realizacją „Twardego znaku”. Jedyne co mu jeszcze pozostało, to miraż „powrotu do ojczyzny”.

W chwili gdy staje się ponownie zbyteczny, wpada mu w ręce (lub też: KGB podsuwa mu) dowód, że Alla (tak ma na imię ów czarujący kapitan) żyje. Psar orientuje się wreszcie, że został użyty i zużyty. W czymś w rodzaju cichego amoku zabija lokalnego zwierzchnika-kagebistę i daje nura w Paryż: postanawia wreszcie skontaktować się z francuską policją, nim dostaną go w ręce dawni towarzysze. Ale i tu rzeczy się komplikują:

komisarz francuski, który odbiera telefon Psara, sam jest nie bez powiązań... Zanim policja francuska zdąży zjawić się w kryjówce Psara, uprzedzają ją koledzy z przeciwnego obozu. Książka kończy się „powrotem” Psara: uśpiony narkotykami i zamknięty w skrzyni z napisem „sprzęt elektryczny” jedzie zaplombowaną ciężarówką sowiecką hen, w kierunku swych dawnych stron rodzinnych.

Właściwym zakończeniem jest jednak uwaga innego francuskiego policjanta, zwierzchnika owego komisarza-wtyczki, człowieka wiedzącego co w trawie piszczy: „... *sprawy kulturalne, intelektualne, duchowe, ludzkie nie są przewidziane przez nasz kodeks karny: wolno zatruwać naszą młodzież, dezorganizować nasze szkolnictwo, rozbijać naszą rodzinę, sabotować nasz Kościół, zasmradzać naszą literaturę; to wszystko jest dozwolone przez prawo. [...]* Gdyby pan Psar został skazany, byłaby to tylko niestychana pomyłka sądowa, której pierwszymi ofiarami staliibyśmy się my sami. [Gazeta] „Rozpętany indyk” znów utrzymywałaby, że zamykamy ludzi za ich opinie i wrażliwe sumienia francuskie zaniepokoiłyby się naszymi metodami represyjnymi. [...] *agent inspiracyjny towarzyszy poprzytykał się z towarzyszami; pozwólmy towarzyszom załatwić brudną robotę, której my sami nie jesteśmy w stanie wykonać [...]*”.

Tak więc i zakończenie powieści nie jest przypadkowe. Nic w niej w ogóle nie jest przypadkowe. Nawet autentyczne wypadki ostatnich lat i chwili bieżącej jawią się postaciom książki (czy może autorowi) jako realizacja złowrogiego planu z zewnątrz. Rodzaj przeciwstawienia Psara, „reakcyjny” francuski literat rosyjskiego pochodzenia Divo, tak referuje bohaterowi powieści fabułę swej planowanej „fikcji politycznej”:

Wyobraźmy sobie jakiś kraj, dajmy na to Konfederację Komun Konfuzjonistycznych, który postanawia uszczęśliwić cały świat swoim systemem politycznym. Wyobraźmy sobie inny kraj, którego położenie strategiczne jest istotne dla realizacji tego planu; nazwijmy ten kraj Galacją. Przez pięćdziesiąt lat KKK finansuje, faworyzuje, wychwala i popiera Konfuzjonistyczną Partię Galacji. Ale Galaci pomimo swej niefrasobliwości nigdy nie oddają więcej niż 15 % głosów na konfuzjonistów. Co więcej, różne czynniki złożyły się na to, że popularność konfuzjonistów zaczęła z roku na rok spadać. [...] Pewien wysiedlony z KKK pisarz ogłasza książkę o okropnościach reżymu, który tam panuje; prawdę mówiąc człowiek ten nie powiedział nic nowego, ale potrafił sprawić, że go wysłuchano, a to się liczy. Grupa filozofów niegdyś konfuzjonistycznych zmienia, jeśli tak można powiedzieć, front. Sytuacja międzynarodowa zmusza KKK do interwencji wojskowych w różnych punktach globu, co wywołuje wśród durniów wstrząs, durnie zaś nadal stanowią większość. Krótko mówiąc, 15 % głosów spada do 14, do 13... i dla przywódców KKK staje się oczywiste, że konfuzjonizm nigdy w Galacji nie zwycięży, o ile utrzyma się tam demokracja. [...] A zatem sprytnie głowy w KKK obmyślają następujący fortel. Na przywódcę Konfuzjonistycznej Partii Galacji wyznacza się rodzaj wściekłego błazna,

którego każde wystąpienie w telewizji jeszcze bardziej zmniejsza popularność jego klimki. Już spadła do 12 %, do 11, do 10,5... Rezultat jest podwójny: z jednej strony konfuzjonizm, który do niedawna jeszcze mieszczaucha przerażał, teraz go już tylko śmieszy, z drugiej zaś akcje pozostałej partii lewicowej, którą możemy nazwać synkretystyczną — [...] a jak wiadomo, w psychologii konfuzjonizm stanowi tylko szczególny stan myśli synkretycznej — wzrastają w błyskawicznym tempie. Zbliżają się wybory. Aby sobie zapewnić, że ustępujący prezydent nie zostanie ponownie wybrany, KKK oświadcza, że życzy mu zwycięstwa. To oczywiście podcina mu nogi na prawicy i kandydat synkretystyczny w tryumfie dochodzi do władzy.

Nazwijmy tego kandydata Puszkinem. Jest to awanturnik polityczny średniego lotu; niewiele o nim wiadomo poza tym, że od czasu do czasu organizuje fałszywe zamachy na siebie samego. Ledwo wybrany, co robi? Ułaskawia zabójcę policjanta. Frajerzy na prawicy zacierają ręce: Puszkin zraził sobie policję. Ale nie rozumieją oni, że każda forma zniechęcenia wśród policji destabilizuje republikę, a co za tym idzie, ułatwia subwersję. Następne pociągnięcie Puszkina [...] — w momencie, gdy synkretyści mają absolutną większość i gdy naród galacki oddał na konfuzjonistów mniej głosów niż kiedykolwiek, nowa głowa państwa rekrutuje czterech ministrów z tej właśnie partii, którą w ten sposób — rzekomo nakładając jej kaganiec — rehabilituje.

Zaobserwujmy elegancję tego manewru: ugrupowanie uchodzące z jednej strony za znaczące, z drugiej zaś za złowrogie, zostało umyślnie ośmieszone celem pozbawienia go obu tych cech; Puszkin zaś czym prędzej przywraca mu cechę pierwszą, ignorując wolę 90 % Galatów. Niech żyje demokracja. Puszkin idzie dalej: gra patriotę i dystansuje się wobec KKK. Nie należy więc sądzić, że teki ministerialne jakie podarował konfuzjonistom to Obrona czy Sprawy Wewnętrzne, co może by jednak trochę dobry ludek poruszyło. Nie, nie: to małe, nieszkodliwe teczuski, pomiędzy które zaplątuje się Transport; a oczywiście w momencie kryzysu człowiek, który ma w rękę transport, ma w rękę cały kraj. [...]

Puszkin świadomie sabotuje galacki przemysł nuklearny i to nie w zamiarze rozbrojenia narodowego, ponieważ wszelka otwarta wojna i tak stała się niemożliwa, ale celem oddania Galacji na łaskę i niełaskę KKK, która to KKK uznała za korzystne dla siebie sprzedawanie nadwyżek kolonialnego gazu, a zwłaszcza interesuje ją trzymanie ręki na kurku energii kraju, którego znaczenie strategiczne zostało już podkreślone. Ta ostatnia akcja to być może właśnie to, co filozofowie nazwaliby przyczyną sprawczą całego manewru. (Str. 105-109).

Książka Wołkowa otrzymała nagrodę Akademii Francuskiej i została — zbyteczne dodawać — przyjęta jak najgorzej przez „szerokie koła postępu i pokoju”. Zarzucono jej: obsesję antysowiecką, czarno-białą (a ściślej: czarne) przedstawienie intencji i metod ZSSR oraz ogólną reakcyjność. Zarzuty te zasługują na chwilę refleksji, ponieważ sugestia postawy liberalnej, z punktu widzenia której są one niby formułowane jest tak silna, że i ja — raczej daleki od „kół postępu” — pisząc to sprawozdanie miałem chwilami wrażenie, że marynarka zmienia mi się w koszulę falangisty, a do twarzy przyrasta wściekły grymas czarnosecińca. „Montaż” jest oczywiście przerysowany, bo fabuła jest w nim wyraźnie tylko ilustracją pewnej koncepcji sowieckiej penetracji. Zarzuty przeciw książce są więc w istocie zarzutami

wobec tej koncepcji; sprowadzają się do twierdzenia, że: 1. zajmowanie się problemem sowieckim jest *niestuszne* i *nie na czasie*; 2. intencje i metody działania sowieckich organów władzy i ekspansji *nie powinny* budzić na Zachodzie zaniepokojenia, ponieważ są *mniej* groźne i bezwzględne, niż przedstawia to Wołkow; 3. indyferentyzm i niezwracanie uwagi na skutki społeczne rozmaitych akcji oskarżycielskich pod adresem własnych instytucji jest w krajach zachodnich oznaką postępu — to znaczy: *zmianą na lepsze* — natomiast wezwanie do oględności i odpowiedzialności w tym względzie jest „reakcyjne”, czyli jest tendencją do utrzymania *szkodliwego* i *niesprawiedliwego* stanu rzeczy. Po takim przeformułowaniu zarzutów refleksję nad nimi pozostawiam czytelnikom. Jako tło do tej refleksji zaleca się chwilę namysłu nad obecną sytuacją w Polsce, która *nie* jest zjawiskiem izolowanym i przypadkowym, lecz przeciwnie: jest szkolną demonstracją tego, jak Sowiety wyobrażają sobie nowy, wspaniały świat. A czy chodzi im o *świat*? Arystoteles Onassis, zapytany przez znajomego jak dochodzi się do takiej fortuny jaką on zebrał, odpowiedział: „W tym celu trzeba tylko jednego — trzeba myśleć o pieniądzach. Stale, wyłącznie i tylko o pieniądzach”. Nie wydaje się, by ludzie rządzący Związkiem sowieckim myśleli o czymkolwiek innym niż tylko o władzy. Stale, wyłącznie i tylko o władzy.

M. BROŃSKI

napis: „Labiryntem, z którego najtrudniej a może i nie sposób się wydobyć, jest dla człowieka on sam. *Povero Casanova! Povero, povero diavolo!*”

Przez długi czas pamiętniki Casanovy uchodziły przede wszystkim za kopalnię erotomańskich przygód i nieprzystojnych opisów, a w ich autorze widziano głównie osiemnastowiecznego libertyna, pozbawionego wszelkich hamulców co najmniej w piórze, bo większy sceptycyzm otaczał ukryte, zawsze sprawne i gotowe do działania narzędzie męskie jego niezliczonych podbojów miłosnych i wyczynów kopulacyjnych. Innymi słowy, przylgnęła do Casanovy opinia utalentowanego co prawda kochanka, „bożyszczą kobiet”, ale i blagiera. A że płał w się w amorach i blade z jednakowym wdziękiem i talentem, traktowano udaną mieszkankę jak na to zasługiwała: z półpoważną uciechą smakowania do syta, czasem do przesytu, „pikantnych” i „pieprzonych” potraw memorialistycznych.

Historycy literatury mieli do Casanovy stosunek surowszy, czy bardziej wymagający. Hojnie obsypywali go pochwałami za żywy obraz epoki i obyczajów w całej niemal ówczesnej Europie, lekceważąc równocześnie i często nawet z odcieniem zniecierpliwienia kwitując monotonną ich zdaniem, jeśli nie wręcz nudną, paradę ustawicznych popisów łóżkowych i niestrudzonej nigdy rozwiązości. W takim ujęciu krytycznym Casanova popełniał grzech mechanicznego i nałogowego koloryzowania (i to wciąż tymi samymi kolorami, czemu zresztą dziwić się zbytnio nie należy, skoro podziwiany przez niego Aretino dwa wieki wcześniej ubolewał nad ograniczonością palety „rozkoszy cielesnych”), przychodziło mu zaś o tyle łatwo pomagać sobie błagą na papierze, że nie miał przecież zwyczaju brzydzić się zanadto szalbierstwem w życiu.

Potem spojrzenie na Casanowę uległo zmianie, zatarły się podziały na „boskiego kochanka” (albo „boskiego kawalera” w odróżnieniu od „boskiego markiza”) którego czyta się z podniecającym niedowierzaniem i na wiarygodnego, wyborczego malarza epoki. Czy wolno dzielić coś, co jest niepodzielne właśnie jako produkt epoki? Czy styl pamiętników, szybki, ruchliwy, pełen wigoru i precyzji, zwiastujący Stendhala, nie był dowodem że w osobie Casanovy zerwał się do lotu, tym swobodniejszego im szerzej rozwijał skrzydła fantazji, duch osiemnastego wieku? Oświeceniowy duch przedsiębiorczości, pomysłowości, zaufania do ludzkich możliwości, śmiałości posuniętej do granic zuchwalstwa, ikonoklastycznego rozmachu, zachłannego apetytu życia, inteligencji rozprasającej resztki dawnych mroków, libertynizmu który

Dziennik pisany nocą

Neapol, koniec stycznia 1983

Casanova czyli Labirynt.

Trzeba od końca zacząć te zapiski o kawalerze de Seingalt z własnego nadania i kawalerze Orderu Złotej Ostrogi z nadania papieskiego, o sławnym awanturniku, masonie wysokiego stopnia wtajemniczenia, zręcznym oszuście oskarżonym o praktyki czarnoksięskie, niezrównanym kochanku, niekoronowanemu królu życia, autorze dwunastotomowej *Historii mojego życia*.

Przed laty w Wenecji — gdzie się urodził w roku 1725, skąd uciekł w roku 1756 jako więzień *Piombi* na strychu Pałacu Dogów, dokąd pozwolono mu wreszcie wrócić w roku 1774 w charakterze konfidenta weneckiej Inkwizycji — zdarzyło mi się oglądać u mojego nieżyjącego już przyjaciela, wielkiego bibliofila, nadgryziony przez czas egzemplarz dziwnego albumu z kategorii białych kruków. Był to album sztychów z połowy ubiegłego stulecia, zatytułowany *Casanova na Zamku Dux (Duchov) w Boheimii czyli Ostatni Labirynt*. Jak wiadomo Casanova, zaproszony przez życzliwego mu hrabiego von Waldsteina, spędził tam trzysta ostatnich lat życia, do śmierci w roku 1798, na posadzie czy synekurze bibliotekarza zamkowego. Sugestywnie posępne obrazy przedstawiały raczej Zamek w wyobraźni anonimowego rysownika, niż jego bibliotekarza i rezydenta na łaskawym chlebie. Casanova pojawił się dopiero na dwóch sztychach, zamykających album nocną wizją Zamku w formie Labiryntu; widać go było w pozie ucieczki, z wyrazem przerażenia na starej i brzydkiej twarzy, z lichtarzem w którym dopalała się słabym płomieniem świeca. Album nie posiadał żadnego w ogóle tekstu, tylko pod tymi dwoma sztychami połączonymi w jedną całość widniał

staje się nieodzownym składnikiem wolności, przekonania że każde doświadczenie (choćby zmyślone lub urojone) wzbogaca: Casanova nie tylko odmalował dobrze swój wiek; był po prostu jego nieodrodnym, jakkolwiek nad miarę może zepsutym, dzieckiem. Brać go trzeba jakim się sam zaprezentował, łącznie z pościągami do blagi i przecherstwa. Był osiemnastowiecznym wyznawcą religii, którą nazywano później „pogonią za pełnią życia”.

Czego w praktykowaniu tej religii nie wiedział, lecz miał się z goryczą i zdumieniem jakby dowiedzieć na Zamku duchovskim, to jednej ważnej rzeczy odkrytej przez współczesnego mu Georga Lichtenberga: „Doświadczenie nie czyni człowieka mądrzejszym, gdyż każde nowe szaleństwo ukazuje mu się w nowym świetle”. Czują tu przedsmak Labiryntu ze sztychów weneckiego Anonima. Najpierw jednak o „syndromie” ucieczki w życiu Casanovy i o nakładanych mu na twarz maskach tragicznych.

Bez wątpienia najlepszą partią pamiętników Casanovy jest opis uwięzienia w Wenecji pod zarzutem „okultyzmu” i ucieczki z *Piombi* (tylko ta część zresztą wyszła drukiem za życia autora, w roku 1788, jako *Histoire de ma fuite*). Casanova więziony w ciągu piętnastu miesięcy, objający się o ściany celi jak schwytyany ptak, obmyślający dzień po dniu, noc po nocy, ucieczkę i pochłonięty przygotowaniami do niej — wszystko to ożywa po trzydziestu latach w jego autobiograficznej narracji z niezwykłą siłą, świeżością, dokładnością, skupieniem doskonałego realisty. Zwalniają się naraz szybkie obroty w rytmie opowiadania z innych tomów, pobieżne gdzie indziej choć bystre oko w locie patrzy i obserwuje za kratami z niesłabnącym ani na chwilę natężeniem. Chciałoby się powiedzieć: tak zachowuje się, myśli i działa ktoś, kto ma ucieczkę we krwi, w kim ucieczka była od początku i będzie do końca napiętą w podświadomości sprężyną. Ucieczka od czego i do czego? Od jednego romansu do drugiego i tak dalej, od jednej przygody do drugiej i tak dalej? Nic więcej? Pytanie czy tkwiło też w Casanovie, osiemnastowiecznym „bohaterze owych czasów”, podświadome pragnienie ucieczki *poza*.

Za wcześniej na odpowiedź, na próbę bodaj odpowiedzi. Tymczasem, w celi więziennej, ucieczka była wyłącznie synonimem wolności. Za wszelką cenę. Z *Historii mojej ucieczki* warto zapamiętać fragment o lekkim trzęsieniu ziemi w Wenecji. W *Piombi* Casanova zauważył wahadłowy ruch belek stropu i stracił równowagę. Po kilku sekundach wstrząs się powtórzył. Casanova, bliski uszczęśliwienia, wykrzyknął: „Jeszcze jeden! Jeszcze jeden, wielki Boże, ale mocniejszy!”. Strażnicy, sądząc

że oszalał, cofnęli się przerażeni. „Uważałem wtedy za możliwe zawalenie się Pałacu Dożów, a więc i za możliwy dzięki temu mój powrót na wolność. Rozpadając się w gruzy, monumentalny gmach musiałby mnie wyrzucić całego i zdrowego na Plac Świętego Marka; albo, gdyby źle poszło, przygniotłaby mnie ogromna masa kamieni. W sytuacji takiej jak moja wolność jest wszystkim, życie niczym lub prawie niczym. Już zatem dobrał się do mnie pustoszący obłęd. Wenecki wstrząs był dalekim pogłosem trzęsienia ziemi, które w proch i pył obróciło Lizbonę”.

Znamienne, że pierwsza maska tragiczna ma w tytule przeciwieństwo ucieczki: powrót. *Casanovas Heimfahrt* Artura Schnitzlera (1917) jest świetną w swoim rodzaju nowelą, nie draży jednak dostatecznie głęboko.

Otwiera ją natchmiastowa ekspozycja pomysłu w jednym zdaniu: „W wieku pięćdziesięciu trzech lat Casanova, od dłuższego już czasu popychany do wędrówek po świecie nie przez młodzieńczy smak przygody, lecz przez niepokój nadchodzącej starości, poczuł tak silną tęsknotę do rodzinnej Wenecji, że zaczął dokoła niej krążyć niczym ptak, który szykując się do umierania opada z wysokich przestworów w dół coraz węższymi zakosami”.

Wśród tego krążenia dokoła rodzinnej Wenecji, daremnego od dziesięciu lat pukania do jej bram, starzejący się i zbiedniały Casanova z noweli Schnitzlera staje w pokątnym zajeździe w Mantui. Spotyka w Mantui właściciela okolicznej posiadłości ziemskiej, któremu niegdyś ułatwił ożenek z ukochaną dziewczyną (oczywiście wypróbowaną uprzednio w łóżku przez „boskiego kawalera”). Jedzie z nim na wieś, odtrąca wzniecone na nowo w pani domu zapęły miłosne, natomiast okiem znawcy śledzi z tajemnym pomlaskiwaniem młodziutką siostrzenicę gospodarzy. W oku znawcy zapala się niebawem płomień pożądania, niestety chłodno przyjmowany przez śliczną i wykształconą pannę, która sławnego Casanovę pozwala sobie traktować z ironiczną rezerwą. Panna ma kochanka, krewkiego i przystojnego oficera. Oficer przegrywa w karty do Casanovy i innych znaczną sumę pieniędzy, zadłuża się, grozi mu skandal w pułku. Casanova proponuje targ: noc z śliczną panną, bez jej wiedzy, w zamian za pękaty trzosik; w ciemnościach o umówionej godzinie Casanova wkradnie się do jej pokoju zamiast spodziewanego kochanka, spędzi z nią kilka niebiańskich godzin w absolutnym milczeniu, przed świtem wymknie się nierozpoznany z pokoju i ruszy co koń wyskoczy prosto do Wenecji, skąd nareszcie otrzymał glejt powrotowy. Oficer,

z pobladał i gniewną twarzą, przystaje na propozycję. Wszystko odbywa się gładko, następuje opis niebiańskich godzin. „Boski kawaler” przechodzi samego siebie, śliczna panna jest wniebowzięta. „Czyż na jej wargach nie były jednym i tym samym życie i śmierć, czas i wieczność? Czyż on, Casanova, nie był bogiem? Czyż młodość i starość nie były tylko bajką wymyśloną przez ludzi?”. Wyczerpany trudami nocy, Casanova mocno zasypia, we śnie męczą go koszmary. Budzi się o świcie. Wpatrują się w niego szeroko rozwarte oczy. „I to co przeczytał w jej oczach nie było tym, co tysiąc razy bardziej wolałby przeczytać: złodziej, rozpustnik, łajdak; przeczytał jedno tylko słowo, gorsze od wszelkich obelg, najstraszniejsze słowo ostatecznego wyroku: stary”. Ucieka w popłochu wściekły, za murem wpada na oczekującego oficera, zabija go w pojedynku, pędzi na złamanie karku do Wenecji. Uteśnione miasto rodzinne ofiarowuje zdeponowanemu „królowi życia” nędzne zajęcie agenta urzędu Inkwizytorów Państwowych.

Freud wysoko cenił Schnitzlera, toteż freudyści ze szczególną uwagą opukują i osłuchują *Powrót Casanovy*. Rzecz jasna, strzał oddany przez Casanovę do oficera jest w rzeczywistości strzałem samobójcy: „stary” zabija siebie jako „młodego”. Powiedzmy że tak, ale postna to interpretacja nie tyle noweli, co złożonej postaci „boskiego kawalera”. Schnitzlerowi zabrakło imaginacji czy wnikliwości, by pod powierzchowną maską tragiczną zgranego kochanka, starzejącego się libertyna, dojrzał głębszy o wiele tragizm „pogoni za pełnią życia”, która prowadzi do samotności, wyobcowania, czczej błąkaniny. Błąkaniny w złudnej nadziei, że jeszcze można uciec, wyrwać się na światło dzienne z ciemnych i krętych korytarzy. Schnitzler zubożył mit Casanovy.

W ogromnym *Giudizio Universale* Papiniego (1957) Casanova występuje na Sądzie Ostatecznym wśród „rozwiązanych i zmysłowych”, obok (między innymi) „boskiego markiza” De Sade i Sachera Masocha. Przyznaje, że był „bardziej awanturnikiem niż literatem, bardziej szarlatanem niż filozofem”, lecz przede wszystkim „żadnym użycia łowcą kobiet”. Nie kochał nigdy żadnej kobiety, w każdej widział tylko „maszynę rozkoszy” i źródło „nowego doświadczenia”. Teraz, doświadczony przez śmierć, ma prawie wstręt do siebie: wydawał się sobie kiedyś zdobywcą, a był jedynie „nosicielem własnej lubieżności”. Jego pozorne triumfy były w istocie łańcuchem ciągłych „abdykacji”. Także on posiadał niegdyś nieśmiertelną duszę; zgubił ją, stawszy się „marionetką rozwiązłości”. Urodził się może półbogiem; żył

i umarł jak „próżna bestia”. Ignorował Stwórcę, gardził Nim, lecz nie umiał pokochać ani jednego z Jego stworzeń. Jak więc zwrócić się ma do Tego, który żąda tylko miłości?

Przy całym kaznodziejskim nadęciu moralisty na ambonie, Papini z większą od Schnitzlera intuicją wyobraża sobie maskę tragiczną Casanovy. Uchwycił w niej mianowicie rys Don Juana, szczyptę owego „popiołu z płonącego (i niedoścignionego) widma miłości”, o którym mówi Miguel Manara w dramacie Oskara Miłosza. „Pewnego dnia wieczorem rozwiążość o podłym spojrzaniu, o niskim czole, usiadła na moim legowisku i przyglądała mi się w milczeniu, jak patrzy się na umarłych”. Tak jak u Don Miguela wieczór mógł się Casanovie przytrafić na Zamku duchowskim, zanim śmierć powołała go do strefy jurysdykcji Sądu Ostatecznego.

Historia mojego życia urywa się w momencie powrotu do Wenecji, pozostawiając wielką białą plamę lat 1774-1798.

Okres wenecki okazał się katastrofą: szybka utrata posady policyjnej, nieudane imprezy wydawnicze, popiskująca bieda, lodowaty stosunek współobywateli, intrygi i spory, rzadkie miłostki plebejskie, wyskoki z konieczności do obskurnych i tanich lupanarów. Opuszcza Wenecję w roku 1783 i znowu włóczy się z miejsca na miejsce. W Wiedniu poznaje hrabiego von Waldsteina. Zbliża ich wspólne zainteresowanie „czarną magią”. Hrabia chciałby mieć na swoim Zamku takiego właśnie bibliotekarza. Casanova waha się, ale nie za długo. Odczuwa nieodpartą potrzebę bezpiecznej i spokojnej przystani.

Skąpe są wiadomości o ostatnich trzynastu latach na Zamku duchowskim (nazywał się wówczas *Dux*), skąpe i niepewne. Sam Zamek, sądząc z malowidła epoki, był eleganckim osiemnastowiecznym pałacem i swoim wyglądem nie upoważniał do posępnych wizji gotyckich w stylu szesnastowiecznego Anonima weneckiego. Casanova zaczął karierę bibliotekarza i famulusa od prób brylowania w licznym często i świetnym z urodzenia towarzystwie. Nie powiodły się. Traktowano go z uprzejmą wyniosłością, niekiedy tylko dając się ponieść potokowi jego wspominkarskiej wymowy. Służba odnosiła się do niego bez należytego szacunku, czasem nawet z nieukrywaną i drwiącą niechęcią. Zdaje się że parokrotnie zagroził wyjazdem, co przyjmowano bodaj tak jak groźby Fomy Fomicza Opiskina w powieści Dostojewskiego *Wież Stiepanczikowo*. W roku 1789 usunął się w cień i zasiadł do pisania pamiętników; pracował nad nimi trzy lata, po jedenaście godzin dziennie. W następnych latach, a do śmier-

ci było ich jeszcze sześć, pędził życie obiboka i darmoziada. Na spacerach podszczypywał dziewczynki, korespondował z niezliczonymi przyjaciółmi, usiłował podtrzymywać jakieś flirty epistolarne. Gdy Wenecja przeszła w ręce Austrii, napisał do hrabiego von Waldsteina bilecik: „Giacomo Casanova, obecnie poddany austriacki, pragnie udać się z pożegnalną wizytą do swojej ojczyzny, szczęśliwy że stała się austriacka”. Na pożegnalną wizytę było już późno, świeżo upieczony poddany austriacki ciężko zachorował. Przeczując bliską śmierć, wyznał w jednym z ostatnich listów, że uważa naturalnie za śmiertelne swoje ciało, co zaś do duszy, żałuje że nie może być świadkiem jej nieśmiertelności po nadejściu horacjańskiej *ultima linea rerum*. „Nic nie wiem o nieśmiertelności duszy; a jeśli dla dowiedzenia się że jestem nieśmiertelny muszę umrzeć, nie pilno mi do poznania podobnej prawdy. Zbyt drogo kosztuje prawda, której ceną jest życie; lecz jeśli zdarzy mi się czuć jeszcze po śmierci, nigdy nie uznam się za umarłego. Śmierć jest potworem, którego nienawidzę”. W dniu agonii zgodził się jednak przyjąć sakramenty i miał jakoby powiedzieć szeptem: „Wielki Boże i wy wszyscy, świadkowie mojej śmierci: żyłem jak filozof, umieram jak chrześcijanin”.



Podczas kręcenia filmu o „boskim kawalerze” Fellini westchnął: „Któż to wie czym był naprawdę Casanova?”. Cokolwiek o nim wiadomo na pozór pewnego, rywalizuje z innymi wersjami, wcale nie mniej prawdopodobnymi. W jakimkolwiek ogląda go się wcieleniu, nie wolno zapominać że jest umowne i wymienne. Wątpliwe, czy sam lepiej od nas wiedział czym był naprawdę.

Którejś nocy leżał w swoim pokoju na Zamku duchovskim nękany pierwszymi atakami choroby, znajdując trochę ulgi w obserwowaniu gry cieni na ścianach i sklepieniu. Dopalała się świeca na stoliku obok łóżka, Zamek po wyjeździe gospodarza i jego gości pogrążony był w ciszy. Myślał o swoim życiu. Wszystko co chciał o sobie opowiedzieć, zostało już dawno zamknięte w skrzyni rękopisów. Ale uprzytomnił sobie teraz, w cztery lata od ukończenia pamiętników, że z gór zapisanego papieru pozostało mu w głowie tak mało, jak gdyby jego życie było wirującą miazgą niewiele znaczących, bliźniaczo do siebie podobnych epizodów i twarzy. Gdzieś w oddali czy pod spodem coś kotłowało się chaotycznie, przewalało, przypluwało i odpływało; nie był jednak w stanie, mimo wysiłku pamięci, wycisnąć z niej nic prócz uczuć zamętu i jałowości. Przymknął oczy,

jeszcze intensywniej wysilił pamięć. Nagle wydało mu się, że ktoś się w niego wpatruje. Otworzył oczy. Płomień dogasającej świecy rozjarzył się i wydłużył, cienie na ścianach i sklepieniu zdrząły gwałtownie. Przekłęty Zamek! Musiało przecież istnieć na świecie miejsce, w którym u schyłku życia widać je inaczej, nie jak obłądne kołowanie, lecz jak wiodącą dokądś i ku czemuś drogę!

Czyli taki również Casanova, do jakiego podniętą imaginacyjną mogłyby być sztychy Anonima weneckiego. Poderwany nocą do ucieczki przez straszną zjawę, która usiadła na brzegu jego łóżka i utopiła w nim bez słowa wzrok. Błąkający się po korytarzach z gasnącą świecą, a później po omacku gdy zgasła. Osuwający się wreszcie ze zmęczenia na podłogę pod ścianą. Przebudzony o świcie przez służbę tuż koło drzwi swojego pokoju. Biedny Casanova! Biedny, biedny diabeł!

1 lutego

Jak w dwóchsetną rocznicę urodzin Stendhala pokłonić się jego ceniom? Przeczytać na nowo jego pierwszą powieść *Armance*, przez większość „stendhalistów” raczej lekceważoną, odsuwaną na bok, przez wydawców rzadko wznawianą. Co właśnie zrobiłem.

W szkicu Crocego o Stendhalu bardzo dobrze uwidoczniła jest ambiwalencja, „podwójna dusza”, jego bohaterów: namiętność sąsiadująca z wyrachowaniem, miłość o krok od nudy, „romantyczny pasjonat” obok „chłodnego prałata”, huśtawka nieprzytomnych porywów i uniesień i aż nadto przytomnych oziebień, oscylacja między gwałtownym do zraty niemal impulsem działania i niespodzianym, równie gwałtownym odruchem wycofania się na pozycje obserwatora własnego działania. Postaciami analizowanymi przez Crocego są Julien Sorel i Fabrizio del Dongo, ale w zakończeniu szkic przechodzi do samego Stendhala: „Siła i piękno sztuki Stendhala tkwią w tym wyrażaniu samego siebie ze swoimi pustymi aspiracjami i zrodzoną przez nie mimowolną ironią, ze swoimi złudzeniami i rozczarowaniami, ze swoją konsekwencją i niekonsekwencją; udało mu się w ten sposób nie wyjść nigdy poza to, czym był rzeczywiście: człowiekiem chorym na nerwy; chorym który leczył się opowiadając, gdyż jego powieści są zawsze wzorem przejrzystości”.

Sugestywny jest obraz Stendhala, leczącego swoje chore nerwy za pomocą opowiadania. Przychodzi zaraz na myśl jego własna uwaga w dzienniku, że pisząc *Czerwone i czarne* był „doskonale szczęśliwy”. Powstanie *Pustelni Parmeńskiej* w ciągu

siedmiu tygodni można uznać za coś w rodzaju zawrotnie przyspieszonej kuracji. Nie mówiąc już o *Życiu Henry Brularda*, które dzisiaj odczytywane jest z podziwem przez wielu specjalistów jako seria posiedzeń auto-psychoanalitycznych.

Niepojęte jednak, że w swoim szkicu *Croce „nie zauważył słonia”*, pominął *Armanca*. Byłby to przecież dowód koronny. Bohaterem pierwszej powieści Stendhala jest młody arystokrata Octave, seksualny impotent, zakochany w swojej kuzynce Armanca. Nikt nie zna jego sekretu (w powieści słowo „impotencja” nie pojawia się ani razu), tyle tylko że Octave zachowuje się enigmatycznie, to wpada w miłosną euforię to stacza się na dno apatii, doprowadzając uwielbiającą go matkę i zakochaną w nim kuzynkę do rozpacz. Żeni się w końcu, po czym odbiera sobie życie. Jego matka i Armanca wstępują do tego samego klasztoru.

Stendhal napisał *Armanca* w burzliwym i „czarnym” okresie po zerwaniu z Clementine Curial, opanowany obsesją samobójstwa. Od powrotu z kampanii rosyjskiej Napoleona miewał przelotne kryzysy niemocy płciowej, albo co najmniej nagłej *frigidity*. Rękopis *Armanca* posłał do Prospera Mérimée, z listem w którym niedwuznacznie odkrył sekret bohatera, dodając: „Jest na świecie więcej impotentów, niż się przypuszcza”. W tak zwanym „egzemplarzu Bucciego” (podarowanym w Civitavecchia włoskiemu przyjacielowi) jest sporo autorskich not na marginesach, wśród nich takie jak: *This book written in désespoir*, czy (z myślą o sobie): *He was very near of pistolet*.

Organiczne kalectwo, zaburzenia nerwowe, pióro narratora w roli leku. Powiedziawszy to, wyjaśnia się sekret bohatera *Armanca* i autora powieści. A sekret samej powieści? Jednej z piękniejszych według mnie powieści o miłości, której postacią główną (choć, rzecz charakterystyczna, nie tytułową) jest impotent? Stendhal zadebiutował jako powieściopisarz jakby paradygmatem całej swojej sztuki powieściowej, sprowadzonym do absurdu: kocha ten kto nie może w pełni kochać, kochany jest ten kto nie może być w pełni kochany. Oktawiusz ze swoją ambivalencją organiczną stanowi prefigurację „podwójnej duszy” Juliana i Fabrycego. Wszyscy trzej są bohaterami romantycznymi. I wszyscy trzej, dzięki ruchowi wahadłowemu ustawicznego rozdwojenia, nadają temu romantyzmowi zadziwiający wigor realistyczny. Pewnie, w wypadku bohatera *Armanca* operacja jest subtelniejsza, bo w podtekście musi się stale odzywać dyskretnym dźwiękiem struna sublimacyjna. W *Armanca* Stendhal mało przeznacza miejsca dla pobocznych akcesoriów, bądź spraw towarzyszących miłości. Tam przecież pada słynne, wielokrotnie przytaczane zdanie o „polityce, która łamiąc opowieść tak prostą, może wywołać efekt strzału z pistoletu w samym środku koncertu”.

Pierwsza i najbardziej chyba „muzyczna” powieść Stendhala. Od początku wprowadził ulubiony proceder poprzedzania każdego prawie rozdziału mottem, często przedstawiając po swojemu pożyczone od innych fragmenty, czasem zmyślając po prostu nieistniejące cytaty z nieistniejących autorów. Po co mu to było? Nie dla wskazania rdzenia rozdziału; dla nastrojenia go z punktu na odpowiednią, za każdym razem odmienną, tonację. Powieść jako „zwierciadło przesuwane po gościńcu” obrosła później dopiero pierwotne marzenie o czystym i harmonijnym utworze sztuki opowiadania.

4 lutego

Dostałem z Paryża fotokopię listu z Warszawy, który ma się ukazać w marcowej *Kulturze*. Korespondent warszawski polemizuje z moim dziennikiem, ale „nie bardzo ma ochotę na podtrzymywanie dyskusji na odległość”, wyjaśniając dłaczego: „On na emigracji, ja w naszej rzeczywistości”. Nie zanadto to chyba istotne jak wskazuje choćby fakt, że mój dziennik w grudniowej *Kulturze* nie tak znowu daleko odbiega od refleksji i ocen krajowego autora Klempskiego w numerze styczniowym. Ja w każdym razie mam ochotę posłużyć się listem warszawskiego korespondenta dla sformułowania kilku uwag natury ogólniejszej.

Załóżmy, że nie jest on odosobniony w pytaniach: „Co wybrać, wątpliwości czy nadzieje?”; „czy nie czas skończyć tę nierówną walkę, w której oni są silni, my coraz słabsi, a może raczej coraz bardziej samotni w naszych działaniach?”; „czy wolno nam dalej budować mur, który im solidniejszy, tym trudniejszy będzie do zburzenia, jeśli taki czas nadejdzie?”; „może lepszym rozwiązaniem byłoby ugięcie karku?”. W imię ścisłości wypada dodać, że pewną przeciwwagę dla tych pytań stanowią w liście dwa stwierdzenia. Pierwsze: „Coraz częściej zdarza mi się wątpić w możliwość przebudowania naszego polskiego świata, wierzę jednak że potrafimy utkać sieć solidarnej konspiracji, czy zakonspirowanej solidarności, która może kiedyś na coś się przyda. Być może jest to jeszcze jeden, tym razem mój prywatny mit, ale pozbawienie się złudzeń może być równie zabójcze, jak pozbawienie ludzi wspólnoty, która właśnie po grudniu powstała”. Drugie: „W swym pesymizmie jedno jednak znajduję pocieszenie, że jak w każdym niewolnictwie nie tylko my bez pana, ale również i on nic nie zdoła zdziałać bez naszego przyzwolenia”.

Uderzającą cechą półtorarocznej Rewolucji Sierpniowej w

Polsce było przecenianie sił własnych i niedocenywanie sił przeciwnika. Zwycięstwo czekało za węglem, przeciwnik (jak mawiano) „leżał na obu łopatkach”. Być może, przy tak masowym i piorunującym zrywie triumfalistyczny *élan* był nieunikniony; a nawet nie być może, na pewno. Siłą ruchu Solidarności była jego powszechność; i w jakimś sensie jego słabością. W tej „optyce”, w sytuacji ogólnonarodowego bezkrwawego powstania, coraz trudniejsze stawało się myślenie i działanie stopniowane i dalekowzroczne, coraz łatwiejsze i naturalniejsze skracanie etapów w przyspieszonym pędzie historii.

Dzisiaj (jeśli uznać list korespondenta warszawskiego za coś więcej, niż świadectwo czysto osobistych wątpliwości i rozterek) nastąpiło przegięcie w odwrotnym kierunku: *anti-élan* kłękowy zabarwia nastroje, przecenia się siły przeciwnika i nie docenia własnych. Ten sam błąd i być może tak samo nieunikniony, a w każdym razie psychologicznie zrozumiały: upadek z bardzo wysoka jest zawsze boleśniejszy. Ale „wybicie się Polaków na niepodległość” będzie znowu procesem długotrwałym, zwłaszcza w walce z takim ustrojem jak obecny. Kto od sierpnia 1980 do grudnia 1981 wytworzył sobie, i z własnej potrzeby duchowej i pod wpływem rosnącego tempa wypadków, różowy obraz biegu na przelaj; kto później, od 13 grudnia 1981, zastąpił go czarnym obrazem zarycia się w piasku bez żadnych widoków na przyszłość — musi, nie poprzestawszy na przekreśleniu pierwszego, zrewidować gruntownie drugi.

W rachunku na długi dystans bezkrwawa Rewolucja Sierpniowa przyniosła dwa wielkie zwycięstwa, bez precedensu w całym „bloku”, których kontrrewolucja generalska Polakom nie wyrwała, lecz przeciwnie — jakby nasiliła dramatycznie ich doniosłość. Został zwichnięty, nie wykluczone że definitywnie, kręgosłup partii; to co z partii ocalało, wymaga stałego, zbrojnego gorsetu wojskowo-policyjnego. Świadomość społeczna i narodo-wa uległa tak gwałtownemu i głębokiemu przeobrażeniu, że jedyne narzędzie totalitarnego władania, znijaczenie społeczeństwa, wymknęło się z rąk władzy bezpowrotnie. Wiadomo dziś raz na zawsze, dobrze wiadomo, „co jest grane”. Odpadły nareszcie „ideologiczne” listki figowe przewrotów pałacowych typu Gomułki i Gierka. Pałac jest izolowany. To niemało, gdy się myśli kategoriami lat a nie miesięcy. Nie bez kozery bystry felietonista *Polityki* ostrzega władzę przed niebezpieczeństwem *gotowokrużeniya ot uspiecha*, powtarzając sobie zapewne w duchu stare porzekadło „złapał Kozak Tatarzyna”. Ja, w odpowiedzi na list korespondenta warszawskiego, mam ochotę ostrzec przeciwną stronę przed niebezpieczeństwem zawrotu głowy od niepowodzenia.

10 lutego

Odpisana z taśmy rozmowa Mieczysława Rakowskiego z Bohdanem Lewandowskim (dyplomata, b. ambasadorem PRL do ONZ). Odybła się 22 grudnia 1981 roku. Miejscami chaotyczna i dywagacyjna, ale dzięki temu znamienna i ciekawa. Cel rozmowy formułuje Rakowski: „Jeżeli potrafisz choć trochę zmienić spojrzenie Zachodu (na świeże ogłoszenie stanu wojennego), albo obniżyć stopień ekscytacji, to powiedz mi gdzie mam znieść kamienie na pomnik dla ciebie”. A więc wersja na użytek „dezinformowanych” niedowiarków i krytyków zachodnich, dla rozładowania niechęci czy nawet wrogości: chciałbym, żeby tak oto widziano sytuację w Polsce i mnie, jednego z jej protagonistów; jak sytuację i siebie widzę sam, jest inną nieco sprawą, częściowo tylko i *en passant* wchodzącą w zakres naszej poufnej, przyjacielskiej pogawędki. Jeśli się o tym stale pamięta, można potok objaśnień, wytycznych, wynurzeń i inwektyw Rakowskiego uznać śmiało za dokument, którego nie wrzucą do kosza przyszli historycy.

Atmosfera rozmowy jest po koleżeńsku swobodna i rozluźniona. Jaruzelskiego nazywa Rakowski po prostu Wojtkiem i wystawia mu chlubną laurkę jako „człowieku o wysokiej kulturze, mówiącemu i piszącemu pięknie po polsku”. Olszowskiego czyli Funia „nie lubi”: „ograniczony jak diabli człowiek”. Siebie samego, nie grzesząc nadmierną skromnością, uważa za polskiego Męża Opatrzności, któremu mądrością dorównywał jedynie prymas Wyszyński. W tej roli pilnuje Wojtka, doradza mu i sugeruje, dba by z braku doświadczenia politycznego nie popełnił jakiegoś błędu. Dumnie brzmia zdania: „Chciałem położyć kres anarchii, bo była. Chciałem nie dopuścić do rozpadu państwa polskiego, bo się rozpadało. Chciałem skończyć z politykierstwem, bo było wszędzie”. Jego domeną, na prawach absolutnej wyłączności, jest *Polityka* z dużej litery.

W *Polityce* z dużej litery ważną jest kartą (i nią właśnie winien się posługiwać Lewandowski nieony obietnicą pomnika) uprzytomnienie Zachodowi, że izolacja polityczna i ekonomiczna Wojtka oznacza „poddanie Polski jeszcze większym wpływom naszego wschodniego sąsiada”. Trzeba Zachodowi wytłumaczyć, ile w dalszej perspektywie zyskałby na podaniu Wojtkowi pomocnej ręki. Przecież tak dalej rzeczy toczyć się nie mogły! Solidarność była rozpedzonym, rozhukanym koniem, nie zważającym na żadne przeszkody. Władza — koniem ze spętanymi

przednimi nogami na pastwisku obok szosy. Lewandowski, przywołując inne porównanie z repertuaru zwierzęcego: „A teraz siedzicie, ty i Wojtek, na tygrysie; nie możecie z niego zeskończyć, bo by was zagryzł”. Rakowski: „Zagryzł, to ja wiem o tym, ale może nas ponieść także w złym kierunku; ja sobie z tego zdaję sprawę”. Tymczasem zaś 13 grudnia został rozpięty „parasol”, pod którym musi się dokonać wymarzona przez Wojtkę „druga rewolucja, zasadnicza przebudowa struktur państwa i życia politycznego”, równoznaczna ze „stworzeniem nowego systemu politycznego”. Gdyby pewnego dnia świat dowiedział się o ustąpieniu Rakowskiego, nie byłby to wynik jego osobistej porażki, lecz „sygnał, że wielki eksperyment polski został pogrzebany”.

Lewandowski dość rozsądnie wyraża wątpliwości odnośnie „bazy” owego „wielkiego eksperymentu polskiego”, skoro społeczeństwo jest przeciw. Rakowski kręci się i wierci, mówi o „stojącym ostro zagadnieniu powołania nowej partii komunistycznej i nowych organizacji, nowej partii chłopskiej i nowej partii demokratycznej”, ubolewa nad „straszną pustką”, przyznaje że „całe nasze KC to jest puste KC”, winą obciąża „negatywną politykę kadrową przez dziesiątki lat stosowaną”. Pada wreszcie zdanie niezwykłe, godne kursywy: „*W zasadzie mamy permanentny stan wojenny w społeczeństwie od trzydziestu kilku lat*”. W takim razie o czym tu kogokolwiek przekonywać? Miotaniem się we własnej starej sieci jest odkrycie, że „terrorem można czasem dość długo rządzić, ale w końcu ponosi się klęskę”. Co zatem chwilowo robić? Lżyć działaczy Solidarności („szczeniaków i gówniarzy”) i jej „zbrodniczych” doradców (zwłaszcza „sukinsyna” Mazowieckiego), obiecując równocześnie w przyszłości „stabilizację na gruncie przestrzegania norm demokratycznych”. Zapewniać że „bzdurą jest gadanina o doradcach radzieckich” i o naciskach Kulikowa w Warszawie, dorzucając jednym tchem że „Związek Radziecki dwukrotnie był przygotowany do wejścia, lecz potem zmienił swoją koncepcję, uznał mianowicie że wejście w momencie wybuchu wojny domowej, masakry wewnętrznej”. Gdyby polityczny mentor Wojtka dzisiaj przeczytał tekst swojej rozmowy z Lewandowskim, zrozumiałby odrobinę lepiej na czym polega błędne koło „permanentnego stanu wojennego”, które ruch sierpniowy usiłował przełamać zbyt szybko i za bardzo pewny swojej potęgi. Jedno Rakowski zdaje się wiedzieć: błędne koło terroru nie może trwać wiecznie. Dobrze i to. Wojtek i Funio nawet do takiej wiedzy nie dorosli.

Obecny kolega Rakowskiego w rządzie, a niegdysiejszy w *Polityce*, ukuł ostatnio maksymę nadzwyczajną: „W naszym

mechanizmie życia zbiorowego opozycja jest kulą u nogi postępu”. Wystarczy ją zgodnie z prawdą poprawić na: „W naszym mechanizmie życia zbiorowego społeczeństwo jest kulą u nogi władzy”, aby dostąpiła makszytu figurowania w annałach „socjalizmu realnego” obok maksymy Brechta ułożonej po rewolcie berlińskiej w roku 1953.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Uzupełnienie

Pisząc o książce Jerzego Andrzejewskiego *POPIÓŁ I DIAMENT* (*Kultura* nr 3, 1983) Gustaw Herling-Grudziński cytuje zdanie „książka kłamliwa, ale dobrze napisana”. Cytat odnosi się do innej książki, ale Gustaw Herling-Grudziński przypuszcza, że taką opinię Andrzejewski mógłby wyrazić o *POPIELE I DIAMENCIE*. Sam takiej ewentualnej opinii o *POPIELE I DIAMENCIE* ani nie podziela, ani jej nie zaprzecza, zajmuje się bowiem sprawą kłamliwości, a nie jakości literackiej tej książki. Również nie wypowiada bezpośrednio swojego sądu ogólnego w sprawie ogólnej: czy jakaś książka może być kłamliwa, ale dobrze napisana. Niemniej ten problem stawia.

Nawiązuje przy tym do mojego artykułu o *POPIELE I DIAMENCIE* zamieszczonego w *Kulturze* nr 1/2 z 1983 r., w którym ja również powstrzymałem się od wszelkich ocen literackich tej książki. Teraz jednakże, po zapisie w dzienniku Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, w którym pojawiło się zagadnienie „książka kłamliwa, ale dobrze napisana”, pojawiło się, ale pozostało częściowo otwarte — czuję się zobowiązany do uzupełnienia. Nie chcę bowiem pozostawiać wrażenia, albo dawać możliwości do przypuszczeń, że miotam się w dylemacie: „*POPIÓŁ I DIAMENT* to książka kłamliwa, ale dobrze napisana”. Inaczej mówiąc, że w konflikcie między Cnotą a Sztuką wziąłem stronę Cnoty, poświęcając Sztukę.

Oświadczam więc, że według mnie *POPIÓŁ I DIAMENT* nie jest książką dobrze napisaną. Raczej jest to utwór pełen tandety, a miejscami wręcz grafomański.

Powyższy sąd opieram na podstawie lektury, do której przystąpiłem nie tylko bez żadnych uprzedzeń od strony profesjonalnej, ale nawet z pewnym szacunkiem. Czyli wspomnieniem moich wrażeń sprzed trzydziestu pięciu lat, kiedy przeczytałem tę książkę po raz pierwszy mając lat osiemnaście. Niestety, tych wrażeń nie udało mi się odnowić.

Jest to sąd oczywiście tylko mój osobisty i nie podejmuję dyskusji, jeżeli ktoś sądzi inaczej. Nie chcę tylko być podejrzany o wewnętrzne zmagania między Szarą Cnotą a Pięknym Grzechem. W których to rzekomych zmaganiach jako cnotliwy oddaję się wprawdzie Cnocie, ale jako artysta tęsknię za urodą Grzechu.

Stawomir MROZEK

Z dziejów jednej rozprawy sądowej

Fragment, który w tej chwili publikuję, jest kawałkiem przypadkowej zupełnie części mego rękopisu, jaka po wielu miesiącach dotarła do mnie z kraju. Początek książki — zresztą pod tytułem „Początki” — wydrukowała dwa lata temu Kultura w numerze lipcowym. Między tamtym a dziś przedstawianym fragmentem (mówiącym o styczniu 1977 r.) napisałam kilkadziesiąt stron i wolałabym wybierać spośród tamtych. Jak mi się zdaje, bez tej części, która gdzieś do mnie jeszcze po świecie wędruje, niektóre miejsca w tekście dzisiejszym nie są zupełnie jasne. Tu i ówdzie dodaję odnośniki, ale i tak czuję niepełność przekazu. Przyczyna, dla której mimo wszystko go publikuję, jest chyba zrozumiała, gdy Zosia i Zbyszek Romaszewscy odsiadują już wieloletnie wyroki, a inni bliscy mojemu sercu czekają w więzieniu na proces.

Ogłaszając jednak to, co mam, a nie to, co bym chciała, dokonuję na sobie gwałtu. Stąd dołączony do fragmentu rodzaj listu przewodniego („Zamiast didaskaliów”), o charakterze równie osobistym, jaki mam zamiar zachować w całej książce, do której zresztą „Zamiast didaskaliów” prawdopodobnie włączę.

A.K.

Znaleziona u mnie podczas rewizji kartka nie stała się na szczęście przyczyną dodatkowych udręk robotnika, którego nazwisko na kartce widniało: w przeddzień akurat dał znać, że odwołuje wszystkie swoje wahania i ostatecznie skargę do prokuratury podpisuje. Mieli go więc bez „mojej” pomocy. Ale w Radomiu działa się w ogóle coraz gorzej, robotnicy płacili

policii haracz za postawę setek ludzi ze środowisk twórczych, naukowych, studenckich, żądających od sejmu zajęcia stanowiska wobec bezprawia w Radomiu i Ursusie. Wysłannicy KOR-u na rozprawy wracali z Radomia często znów po czterdziestu ośmiu godzinach aresztu, jak w początkowym okresie procesów. Po którejś z rozpraw jeszcze w sali sądowej rozpętało awanturę, szarpaninę, miotano obelgi na adwokata i KOR. Na najbliższy proces postanowiliśmy jechać w możliwie sporej grupie; mieli zrozumieć, że w ten sposób się nas nie pozbędą. I „oficjalnie”, pociągiem — niech nas biorą na dworcu, jeśli chcą.

Piąta trzydzieści, styczeń, śnieg z błotem na ulicach; pustawy tramwaj. Pod kasami na Centralnym Kuroń jak kwoka zagarniający ku sobie każdego z nas, dobra, jesteś, jesteście, dwa, trzy, pięć, dziewięć, szybko, bilety, Anka, to Blumsztajn.

Sewek wydał mi się nadzwyczaj elegancki w białym kożuszku (o który nieraz potem robiłam mu zazdrosne wyrzuty. — Albo się ma w kraju rodzinę, albo zagraniczny kożuszek — odpowiadał, bo został w Polsce sam jak palec po sześćdziesiątym ósmym), krótko i gładziutko obsmyczony, śniady, pod śniadym czołem liryczne, migdałowe oczy; uśmiezek jakby życziwej kpiny w tych oczach i na wargach, sposób poruszania się i chodzenia, jakby się bez żadnego celu po prostu wałęsał. Pozostałych już widywałam albo znałam. Jechali z nami: Wiktor Nagórski, Mirek Chojecki, Ryś Rubinsztejn, Grześ Liese, Stefan Kawalec i — niespodzianka: Jacek Bocheński, drugi po Andrzejku Drawiczku z kolei i ostatni członek Związku Literatów Polskich, który zdecydował się na wyprawę do radomskich sądów — nie licząc Jana Józefa i mnie.

Nikt nie zatrzymał nas na dworcu w Radomiu, choć i na rytualną kawę, i do sądu szliśmy w towarzystwie znacznie liczniejszym od własnego. Mieli inny pomysł. Zobaczyliśmy to już na korytarzu przed rozprawą: wyjątkowo tłumnie zgromadzona zgraja, smród alkoholu, temperatura bezczelności wyższa od normalnej. Znajomi Radomiacy dobiegali do nas przerażeni, jeszcze idą, jeszcze się schodzą, pijani są. O Jezusie, uważajcie. Postanowiliśmy trzymać się jak najbliżej siebie i nie dać się rozdzielić. Dwu czy trzech robotników zapowiadających, że będą z nami i cholera jasna, niech tylko spróbują, stanowczo „wyprosiliśmy” z gmachu.

Przepychanka pod drzwiami i w drzwiach jakby dobrotliwsza*, wesołość zgrai kilka tonów wyższa od przeciętnej. Znalę-

* Sale rozpraw zawsze obleżone były przez tłum „nieznanych osobników”. Trzeba było toczyć niemal bitwy, aby się dostać do środka.

liśmy się w sali wszyscy, cała dziewiątka, jak w bajce: bez żadnych trudności. Sprawę miał Józef Smagowski, doprowadzony z aresztu, oskarżony o „podburzanie do podpalania” Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Drobny, niemłody, przyznawał się do pijaństwa w dniu dwudziestego piątego czerwca: pił piwo i wódkę, padł gdzieś pod płotem. Widzieli go świadkowie obrony, jak leżąc kłął, jak spał, jak nie miał siły ruszyć się spod tego muru czy płotu ani w ogóle stanąć. Widzieli go też świadkowie oskarżenia, milicjanci. Według jednego i drugiego oskarżony był pijany do nieprzytomności. Tutaj żadnych nie było sprzeczności w ich zeznaniach. Tylko według jednego nawoływał do podpalania uwijając się chyżo w takim to a takim miejscu, a według drugiego leżał jak kłoda w całkiem innym miejscu, z którego jednak nawoływał oczywiście do podpalania. Bez szkieleka i oka mędrca widać było, że milicjanci może i pamiętają pijanego, którego zwlekli z ulicy, bo się znalazł pod ręką, ale że nie mają pojęcia, jak zeznawać, by z zalanego doszczętnie zrobić trybuna, który wielkim głosem wezwał posłuszny lud do wzniecenia pożaru. Adwokat Siła-Nowicki bez szczególnych trudności ustalił przed sądem, że świadkowie oskarżenia przeczą sobie nawzajem, i że wspólnie ze świadkami obrony jedno tylko zgodnie stwierdzają: pijany i bezsilny Smagowski kłął na „czerwonych” bardzo brzydkimi słowami, za co zresztą siedział już ponad pół roku.

Zespół sędziowski mniej dziś wydawał się arcykapłański, a bardziej znerwicowany. Trzasnęły drzwi, przez salę przebiegła do stołu urzędniczka w czerwonym sweterku. Wyciągnęła szyję do przewodniczącego: — Do pana sędziego telefon.

Zdumiliśmy się wszyscy, sędziemu przez twarz przeleciał tik: — Słucham?

— Pilny telefon do pana sędziego — powtórzyła urzędniczka; czerwień swetra przeniosła się jej na szyję i policzki. — Od rodziny.

Usiłowałam wyobrazić sobie moją matkę wywołującą ojca* z rozprawy sądowej: — czy na deser wolałbyś budyń, czy szarlotkę? — Nie potrafiłam; na podrzędnym filmie też byłoby to złe wymyślane. Jednak przewodniczący wstał i ściągając toę przez głowę urzędowym tonem zawiadomił o chwilowej przerwie: — Proszę nie opuszczać sali. — Siła powiódł po nas wymownym wzrokiem. Sewek pochylił się do moich i Kuronia uszu: — Jak to jest telefon od rodziny, to ja nie jestem Żyd. — Jesteś Żyd — szepnęła chrapliwie Kuroń. Sędzia przebiegł obok nas ciskając toę woźnemu.

* Ojciec mój był sędzią przed 1939 r.

Ledwie wyszedł, przez drzwi wlała się hurma „osobników”. Nawet nie siadali, rozlali się pod ścianami, witani porozumiewawczym pomrukiem tych, których mieliśmy już tu na miejscu. Czy awantura znów będzie tu na sali i skończy się na wrzasku? Poprzednim razem rozpoczęły ryki i szamotaninę jeszcze w sali rozpraw, tuż po ogłoszeniu wyroku, na oczach sędziowskiego zespołu. Poinformowałam Kuronia szeptem, że ja nie umiem krzyczeć. Bo tamtym razem podobno wszystkie wrzaski zagłuszyła Bosia Blajfer podniósłszy krzyk krzyków. Niosła się fama, że Bośka umie wydać z siebie krzyk niebываły, przenikliwy, wstrząsający. — Szkoda — odparł Kuroń.

Sędzia wrócił po niedługiej chwili po to tylko, aby włożyć toę i oznajmić, że sąd musi odbyć tu na miejscu natychmiastową naradę; musieliśmy więc opuścić salę, a wdarcie się do niej ponowne po szybkim zakończeniu narady łączyło się z bitwą cięższą niż kiedykolwiek przedtem. Oberwałam guzik u rękawa, aby usłyszeć, że rozprawa zostaje odroczone do następnego tygodnia.

Proces toczył się w innej niż zwykle salce, położonej na samym końcu jednej z korytarzowych odnóg zbiegających się w generalnym punkcie gmachu, przed drzwiami do sali rozpraw Sądu Wojewódzkiego i posterunku MO, naprzeciw klatki schodowej. Po wyjściu z salki zgraja puściła nas przodem, pochód otwieraliśmy mecenas Siła-Nowicki i ja, grupki ludzi pod mijanymi drzwiami sal sądowych widziałam przed sobą i nagle za sobą usłyszałam wzbierający, dziwny, głuchy odgłos, bałam się przetłumaczyć go na słowa, tylko serce skoczyło. Głos Kuroń: — Łomot — i odwróciliśmy się twarzami do narastającego wrzasku, do tej czerni podnoszącej na nas buciory i kolana, ktoś z nas kopnięty stęknął, wołanie Siły: — Milicja! — Złapaliśmy się pod ręce, rozwrzeszczane mordy przed oczami, cofaliśmy się pod naporem tłuszczu, won z Radomia, nikt was tu nie chce, zjeżdżać stąd, odór alkoholu z rozwartych gąb, kopniaki, cofaliśmy się, ludzie dokoła krzyczeli rozplaszczeni na ścianach. Kuroń wyrwał się w przód, dostał pięścią w pierś, łupnęło tępo; złapałam go za kurtkę, wybiegłam przed niego, mnie przecież nie będą bić? Jakaś twarz szczeciniasta, uderzyłam czołem o czyjś nastawiony bark, cofaliśmy się, Kuroń zasłonił mnie i dostał w twarz, uśmiechnął się jak w kinie, ktoś pod ścianami krzyczał, cofaliśmy się i już nie było dokąd, bo nam pod plecy podeszły drzwi do sali rozpraw Sądu Wojewódzkiego i te drugie, do posterunku milicji, a rozwrzeszczana tłuszcza barykadując sobą dojście do schodów rozpostarła się przed nami.

To pierwszych kilka minut tego filmu; cały nie bardzo daje się opowiedzieć i nie tak dobrze też daje się go obejrzeć, jeśli

się w nim samemu uczestniczy. Wszystko działo się razem, dokoła i we mnie, fonia i wizja, i refleksja pod kośćmi czoła.

Więc fonia:

— — — ten zmasowany wrzask i na jego tle pojedyncze okrzyki, przekleństwa, kobiece zawodzenie, Kuroń: — Nie dać się sprowokować! — odgłos walenia do zamkniętych drzwi posterunku MO, to Siła: — Na pomoc, napadnięto nas, milicja, milicja! — a z tamtej strony cisza — — —

I obraz:

— — — jak na filmie w zwolnionym tempie Stefan Kawalec zdejmuje okulary i odsłania całkiem nową twarz, bezbroną jak zbudzoną ze snu, i rękę z okularami chowa za siebie; i, słowo honoru, uśmiechnięty szyderczo Sewek wygodnie rozparty na ścianie. W chwili, w której poleciał na nas biały grad, myślałam, że to kamienie, i zdziwiłam się, kiedy pierwszy kamień trafił mnie nieco powyżej skroni, a uderzenie okazało się tak lekkie, chrzęst, chlap, ucho i policzek w czymś lekko spływającym, bryzgi i chlapy wokół, pac, pac, chrzęst, wybuch smrodu, to nie może być prawda? — ale była — — —

I fonia:

— — — chóralny rechot, histeryczny krzyk jakiejś kobiety, coś jakby „tak nie wolno, tak z ludźmi nie wolno”, i jazgot zgrai, i któryś z naszych: wy wszarze, wy lokaje — — —

I obraz:

— — — Jacek Bocheński obok ze swym profilem Boskiego Juliusza nie dającym się w ogóle dopasować do tej karczemnej sceny, i zabarykadowane drzwi posterunku, i Siła w adwokackiej splamionej todze otwiera gwałtownie drzwi do sali Sądu Wojewódzkiego, gdzie stół sędziowski i sędziowski komplet pod państwowym godłem, Wysoki Sądzie, proszę o udzielenie nam pomocy, a pociski lecą w głąb sali i jeden pięknym łukiem na sam stół, i togi zrywają się z krzykiem, milicjant z wewnątrz sali przemocą wypycha za próg Siłę i zamyka drzwi — — —

Obraz i fonia razem:

— — — bryzgają jajka, a my stoimy nie osłaniając twarzy, zdrajcy, agenci, sprzedajecie Polskę za izraelskie dolary, won do Izraela, a wtedy Kuroń wprost w najbliższej drącą się czerwoną gębę krzyknął:

— Ty folksdojczu za ruble!

To, co myślałam: cały czas miałam ostrą świadomość, że jedne głucho drzwie za naszymi plecami to sala rozpraw, za którymi siedzi zespół sędziowski i prokurator; że drugie głucho drzwie odgradzają nas od przedstawicieli sił porządkowych; i że cały ten tumult i wrzask, i zawodzenie skądś Jezus-Jezus słyszą togi i słyszą mundury. Z ich wiedzą wydani zostaliśmy tutaj

na łaskę pijanej ciżby. Ci tutaj, dwudziesto- i pięćdziesięcioletni, twarze brutalne, ordynarne, twarze z marginesu. Nie wyglądało na to, aby opłacano ich hojniej niż półlitrowką czy dwiema czystej na głowę. Może jeszcze przydatną znajomością: na przykład sierżant Dalbiak mówi do nich na ulicy „cześć, Franek, jak leci”. Może nawieźli ich tu skądś, żeby swoich nie narażać ludności miejscowej. Występowali jako reprezentanci robotniczej społeczności, w imię świętego gniewu ludu doskakiwali do nas z kopniakami, łapami, usiłovali poniżyć umazaniem nas „w zgniłych jajach”, wypluwali wyzwiska i groźby, żywi stąd nie wyjdziecie. Najpierw śmiertelnie się bałam, że któryś z naszych nie wytrzyma, rzuci się i uderzy, a wtedy zgraja nakryje go sobą, bo tylko na to czekają, i już nie będzie ratunku, bo przecież nasza reszta skoczy mu na pomoc, i koniec, stratuja nas, zdepczą, wgniotą obcasami w parkiet. Ale pod nagłym deszczem jajek, w smrodzie zbuków (musieli postarać się o skrzynki najdawniej tkwiące w magazynach) uspokoiłam się: ten pomysł z całą pewnością na dzisiaj był kulminacyjny.

Cała awantura trwała chyba około trzech godzin. Wiem, że były w tym czasie jakieś przerwy „na spoczni”. Tamci ze dwa razy rzedli i spokojnieli; widzieliśmy, jak się luzują, odwracają, gadają, palą — myśmy zresztą robili to samo. Uchylały się podczas takich przerw drzwi posterunku, mundurowi z kamiennymi twarzami szli w tę i tamtą stronę po skorupach jajek, siusiu i po papierosy, jeden z drugim otrząsali z rękawów dłoń Siły domagającego się od nich oczyszczenia sądu z awanturników. Żądać pomocy od ich macierzystej komendy było pomysłem z Mrożka; tyle mniej więcej powiedzieliśmy sobie z Jackiem Bocheńskim idąc zgodnie z życzeniem reszty, a przede wszystkim Siły, z takim właśnie żądaniem do prezesa sądu*.

Byliśmy u niego dwukrotnie: raz, gdy zacichło pierwsze natarcie, a czereda zachęcała nas do opuszczenia sądu życzliwymi nawoływaniami w rodzaju „wyjdźcie stąd, gnoje, to się nie pozobieracie”, i drugi, gdy zużyli już na nas zapas jajek, a ściany, para drzwie za naszymi plecami i podłoga wokół, — nie mówiąc o nas — upakane były śliskimi żółtymi plamami i drobinami skorup. Za każdym razem rozluźniona wówczas tłuszcza przepuszczała Bocheńskiego i mnie szarmancko niemal rozstępując

* Nazywam go tak, ale był to chyba w rzeczywistości prezes czy też przewodniczący któregoś z wydziałów Sądu Wojewódzkiego; nazwiska nie pamiętam.

się w szpaler gąb uśmiechniętych tak beczelnie, jak gdyby były świadkami naszych rozmów z panem prezesem.

Obie nasze u niego wizyty taką miały wartość, jaką ma kropka nad „i”.

Wizyta pierwsza. W kancelarii nikt nie pracował — jak w całym sądzie, wszystkie drzwi szczelnie pozamykane, przez cały czas na korytarzu śladu urzędnika — oczy pań i panów uciekające w bok, ogólne zmieszanie naszym widokiem. W gabinecie prezesa kilku panów — sędziowie, prokuratorzy, aplikanci? wszyscy bez zajęcia — i sam prezes, niski, śniady, czarny, nawet na oko sympatyczny. Bardzo mu przykro, ale nic nie może, nie, tutejszej milicji też nie może wydawać żadnych poleceń. Robił wrażenie zakłopotanego; co, dzwonić po pomoc do Komendy Wojewódzkiej?!

Stanowczo żądałam odprawienia tej groteskowej ceremonii. Oficer dyżurny w Komendzie odpowiedział mu przy nas przez telefon, że w tej chwili nie mają n i k o g o, ale że oczywiście, natychmiast, gdy tylko.

Wizyta druga, „po jajkach”. Wnieśliśmy do kancelarii i gabinetu nasze szkliste i żółte plamy na płaszczech, mokre, sklezione włosy, odrażający smród, budząc w urzędniczkach wyraźną mieszaninę przerażenia, współczucia i wstrętu. Panowie w gabinecie bez zajęcia jak przedtem, prezes już nie śniady, tylko ciemnoczerwony. Może wyjdzie pan sędzia na korytarz i zobaczy, jak wygląda sąd. Jeśli nasz wygląd nie wystarczy. Robił wrażenie prawdziwie nieszczęsnego. Daje słowo, Komendę monitował, wciąż nie ma ludzi; jest mu naprawdę bardzo przykro. I było, chcę być sprawiedliwa, myślę, że czuł się rzucony na klęczki — miał formalne prawo czuć się „kimś”, a SB uprzytomniła mu dzisiaj raz jeszcze, że jest nikim. Nawet wybuchnął: — Cały sąd jest nieczynny, rozprawy odwołano, ja też mam tego dość, my wszyscy.

Powiedziałam jednak nieustępliwie, że napastowani w sądzie czekamy na pomoc od ponad dwu godzin.

— Tutejsza milicja obrony nam odmawia. Poczekamy jeszcze z pół godziny. Potem spróbujemy przedrzeć się i wyjść. Jeśli napadną na nas tu lub na ulicy i komuś z nas stanie się coś złego, będzie pan — jak i wszyscy tutaj — za to odpowiedzialny. To wszystko nie dzieje się na bezludnej wyspie ani w karczmie, pan wie.

Jakoś wkrótce potem oblężenie „puściło”. Trwały wśród nas dyskusje: wychodzić czy nie? Co odważniejsi z Radomiaków wylatywali przed gmach na przespiergi i wracali z błaganiem, żebyśmy się stąd nie ruszali: oni tam są, bandziory, mają bu-

telki, piją, gromadzą się, czekają, będzie nieszczęście. Jedni z nas chcieli mimo to wyjść: ma być wycisk, to będzie, wszystko jedno, o której. Inni byli ciekawi, czy kiedykolwiek przyjdzie milicja z Wojewódzkiej. A jak nie, to siedzimy tu choćby do nocy, do rana, żądamy ochrony i koniec. Jednak przeważało zdanie, że zgodnie z zapowiedzią złożoną prezesowi odczekujemy pół godziny i wychodzimy.

Przez to pół godziny poszłam jeszcze raz do kancelarii i poprosiłam o klucz do umywalni dla pracowników. Urzędniczki dały mi czysty ręcznik i mydło, czyściliśmy się i obmywali, umyłam sobie nawet kawałek włosów sklejonych po jednej stronie głowy na szyćwono. Kuroń myjąc się rażno parskał. Siła-Nowicki nie pozwolił nawet tknąć wodą schlapanej szklivem jaj togi, symbolu pełnienia funkcji gwarantującej nietykalność. (Tę togę, własność sądu radomskiego, ociekającą wstrętnym mazidłem, powiesi potem na wieszaku między inne niepokalane togi). Jakaś kobieta w czerwonym berecie pogłaskała mnie po rękawie, gdy wracaliśmy na „nasze stanowisko”. Minęłam w korytarzu blade-go, spokojnego ubeka*, ucharakteryzowanego jak zawsze na zaferowanego urzędnika w granatowym dwurzędowym paltociku, z czarną walizczką-akuszerką w ręku, jak zawsze osobno, broń Boże, nie należy go mieszać z czeredą chamów, rozdartnione spojrzenie człowieka zajętego ważnymi problemami. Zgrają rzedła, zachlapane ściany i podłoga ukazywały się oczom w całej okazałości, nogi ślizgały się na rozniesionym błocie z jajek, chrzęściły pod butami skorupy.

Dochodziła pierwsza, postawiony przez nas termin upływał. Nagle resztkami czeredy coś jakby szarpnęło i zobaczyliśmy dwie milicyjne czapki wznoszące się ku nam nad linią schodów naprzeciw naszych oczu, z prawej — a jednocześnie bandziory pchając się i śmiejąc runęty ku opadającemu w dół skrzydłu schodów, z lewej. — Już zniknęły ich nogi — już widzieliśmy milicyjne ramiona — już bandziorom schody odjęły biodra — już tu pasy skórzane, pałki i kabury — już tamtym tylko karki i łby — już ci stawiali każdy jedną nogę na nasz podest — już łby zapadły się w dół — już ci dwaj cali od czapek po buty naprzeciw nas. Milkło echo tamtych buciurów.

Staliśmy w ciszy i pustce zaświnionego korytarza przyglądając się sobie nawzajem. Od oficera i sierżanta MO biła świeżość mroźnego powietrza, zasadniczość i nabzdyczona godność. Z drewnianymi twarzami patrzyli na nas cuchnących, wyplamionych, wśród ociekających mazią ścian, na pełnym skorup parkiecie.

— Sierżancie, proszę spisać personalia tych państwa.

* Stary „znajomy”, obecny na każdej rozprawie w Radomiu.

Po schodach wszedł młody więzień w drelichu, z cieniem zarostu na wygolonej czaszce. Niósł wiadro wody i ścierkę. Przez cały czas, gdy Komenda Wojewódzka udzielała nam pomocy przepisując nasze dane z dowodów osobistych, na klęczkach mył podłogę. Stał nad nim równie młody milicjant z sądowego posterunku. Nareszcie miał zajęcie.

— Do czysta, do czysta zmywać, dokładnie.

Kiedy po kilku dniach zjawiłam się w sądzie ponownie, parkiet lśnił, ściany pachniały świeżym tynkiem.

Wyszliśmy z gmachu razem z panami milicjantami: zaśnieżony plac, słońce, spokój. — Widzicie państwo, że spokój — rzekł oficer. Widzieliśmy. Niemal chórem podziękowaliśmy za udzielenie nam tak sprawnej obrony i ochrony. Panowie milicjanci ponuro przyłożyli palce do daszków i poszli w stronę przeciwną do tej, w którą udaliśmy się my.

Nikt już nas nie zaczepił, choć na dworcu autobusowym tajniak przy tajniaku asystowali odejściu naszego autobusu. Już w drodze powrotnej ustaliliśmy, że na rozprawę odłożoną o parę dni trzeba się zjawić znów możliwie licznie; innej odpowiedzi na te wzmożone próby zastraszenia nie ma. Kuroń wydawał się wprost uradowany tym, co nas dziś spotkało: — Oni naprawdę myślą, że przekonają nas jajkami! — Zgnitymi — dodałam zjadliwie, bo od samego początku Kuroń twierdził, że jajka były świeże, i nie zmienił zdania bodaj do dnia dzisiejszego. Istotnie, jaj użyto tak wiele, że z pewnością znalazły się wśród nich i świeże, ale te — żartowaliśmy — przeznaczono wyłącznie dla Kuroń. Ani ja, ani inni nie czuliśmy się równie uprzywilejowani, chociaż jedno przynajmniej cudownie bezwonne jajko uplასowano mi na prawym ramieniu, na futrzanym obrzeżu kaptura, i ku temu ramieniu mogłam pochyłać nos bez wstrętu. Zresztą wszystkie mazie, smrodliwe i nie, wyschły na nas przez parę godzin do sucha i nasze zaszarganie mogło razić tylko wzrok, a nie węż pasażerów autobusu Radom - Warszawa.

W ciągu następnych dni złożyliśmy zbiorową skargę do ministra sprawiedliwości Jerzego Bafii; jak to było w zwyczaju, nigdy nie otrzymaliśmy na nią odpowiedzi. Za to po latach — nie pamiętam, czy w siedemdziesiątym dziewiątym, czy już w osiemdziesiątym roku — na swą osobną skargę odpowiedź otrzymał mecenas Siła-Nowicki. Dochodzenie — jak widać, długotrwałe i sumienne — wykazało mianowicie, że grupa osób przybyłych na rozprawę z Warszawy swym aroganckim i napastliwym zachowaniem wywołała istotnie godny pożałowania i nagany

incydent, wzbudzając przeciw sobie miejscową publiczność. Ofiarą tego incydentu padł przy okazji adwokat, co w rzeczy samej jest przykre, a nawet niedopuszczalne.

Termin wznowienia rozprawy Smagowskiego wyznaczony był tak blisko, że mój zimowy płaszcz nie wrócił jeszcze z ekspresowej pralni. Na wyjazd do Radomia musiałam zabrać lekki skórzany płaszczyk, za to jechałam luksusowo samochodem, który wiozł Siłę. Pojęcia nie miałam, kto zdecydował się na rozprawę zaraz po tych jajkach i złożonych nam obietnicach, że się nie pozberamy, jeśli raz jeszcze pokażemy się w Radomiu. Miałam spotkać w sądzie na pewno Kuroń, który nie pojechałby tylko, gdyby nie żył, lub gdyby go zamknięto w celi. Żywy i na wolności musiał się na rozprawie znaleźć i jego wielozęby uśmiech zobaczyłam natychmiast, gdyśmy się ukazali z mecenasem Siła-Nowickim na korytarzu sądu. Szumiało, huczało, wrzało: czerń kłębiła się w okolicy „naszej” sali, gorączka wrogości; jaki mają scenariusz na dzisiaj? — Ale zobacz, ile nas przyjechało — szepnął Kuroń.

Właśnie przez to, że nie jechałam razem z nimi, nie pamiętam wszystkich obecnych w Radomiu tego dnia. Mogłam też być zbyt zdenerwowana. Nie wiem, czemu komunikat z tego okresu nie wymienia nazwisk obserwatorów na tej rozprawie. Pamiętam Jana Józefa, bo się zmartwiłam: jak można było dopuścić, żeby tu jechał na takie niewiadome właśnie on, ze swoim chorym sercem? Był też jego syn, Jan Tomasz, jeszcze wtedy student (?), jasna twarz, jasne włosy, rysy Maruty. Dwie panie z Instytutu Badań Literackich i jeszcze jedna, której zrobiło się słabo wśród gromadzącej się koło nas hałastry*. Ktoś barczysty, mała głowa, brązowe oczy, duży nos trochę krzywy, to Bierezin, znałam nazwisko i wiersze. Krzysztof Bobiński, korespondent *Financial Times*: przyjechał na następny odcinek horroru.

Tym razem spora grupka naszych nie przecisnęła się przez obstawę do sali rozpraw; wiem, że znaleźliśmy się tam w każdym razie Jan Józef i ja, nie pamiętam, kto jeszcze. Bobińskiego zatrzymał milicjant przy drzwiach i nie wpuścił. Przez cały czas z korytarza dochodził pomruk bandziorów, ordynarna wrzawa, uszy miałam podzielone między to, co tam, a co tutaj. Wobec sprzecznych zeznań świadków oskarżenia Siła wniósł o zwolnienie Smagowskiego z aresztu. Do sali wpadł spóźniony korespondent

* Nazwiska dwu z tych trzech pań podaję dziś za J. Bierezinem: Izabela Jarosińska i Barbara Kopeć.

Financial Times: okazało się, że jakoś sobie wstęp na rozprawę wywalczył. Przez uchylone na chwilę drzwi wdarły się rumor i wściekłość z korytarza. Spytałam szeptem Bobińskiego, co się tam dzieje. — Na razie nic, ale to niebezpiecznie wygląda. — Proszę o spokój — zażądał sędzia.

Przemawiał Siła: otworzyły się drzwi, wszedł facet, zza niego łeb wystawił drugi. Położyli wzrok na Bobińskim najzupełniej nie krępując się Wysokiego Sądu. — Pan jest proszony. — Ja? — Pan jest pan Bobiński? — Ja. — Pan jest proszony. — Proszę opuścić salę i nie przeszkadzać — zażądał sędzia najwyraźniej adresując naganę do Bobińskiego. Fagasy wyszły razem z niepewnie uśmiechniętym korespondentem. — Zabierają go, żeby nie widział tego, co ma być dziś — mruknęłam do Jana Józefa. — Prawdopodobnie — odmruknął. Wielkimi literami notował przebieg rozprawy na małych karteczkach. Właśnie: zespół sędziowski tak tego dnia spocziwiął, że nie zabraniał nam notować. Niczego nigdy nie można było przewidzieć.

Przerwa. Bobińskiego na korytarzu ani śladu. Pod oknem dzisiaj jakiś stolik; na parapecie okna i na tym stoliku reszta naszych, dokoła kilkudziesięciu kraciastych, wатовanych, rozognionych. Czarno od dymu. Bary i wielki nos Bierzina na tle szyby: siedział na parapecie wyciągnawszy nogi. Na te nogi, jak się później dowiedziałam, nałożył ochraniacze używane na treningach judo, spryciarz. W zeszłym tygodniu przyjechał z Łodzi do Kuronia akurat w momencie, gdy tamten w wannie entuzjastycznie zmywał z siebie jajka: — Stary, pojechałbyś, kopia, biją, jajkami rzucają, grożą, że jak się kto jeszcze raz w Radomiu pokaże... Stary, gola wkopują do własnej bramki.

Ostatnim człowiekiem, którego namawiałabym do zjawienia się tam, gdzie lżą, biją i kopiają, a gdzie samemu bić nie wolno i jeszcze trzeba zachować równowagę, byłby Jacek Bierzina, gdybym go wówczas znała. Ale namawiać go na taką wyprawę Kuroń oczywiście nie musiał.

Sam Kuroń, schrypnięty i w doskonałym humorze, hałasował obok dodając otuchy paniom z IBL-u, które po raz pierwszy znalazły się łokieć w łokieć i twarz w twarz z robiącym tu grozę tałatajstwem. Rozpoznawałam fizjognomie aktorów z poprzedniotygodniowego występu. Doczekałam się od nich nawet paru komplementów z gatunku tych, jakich nie przepuszcza płazem męczyzna obecny przy składaniu kobiecie podobnych wyrazów uznania. Bałam się, że je usłyszy ktoś z naszych, ale jednocześnie rozumiałam, że chamstwo wystawia mi tu po swojemu rodzaj szczytnego świadectwa za to, że się jednak stawiałam na kolejne spotkanie.

Nagle widok jak z innego filmu, z innej opery: przedzierając

się przez korytarz kroczyła ku nam kostiumowa para. Wysoki, smukły muzyk Büchner cały w czerni, z białym gorsem i nie wiedzieć czemu — w tej czerni i w styczniu — w sandałach (!), ze śliczniutką, malutką, kulistą żoną w długiej do ziemi fałdzistej sukni. Spóźnili się na ranny pociąg i dobrnęli dopiero teraz. Wyglądali na dosyć przerażonych; świeżość wrażeń na ich twarzach, lekkie pantofelki i stroje wprost wieczorowe wśród zwykłych tutaj dekoracji i ordynarnej atmosfery, w tej ciżbie, która nie wiadomo na co otrzymała dzisiaj zezwolenie — jakoś mnie odprężyły i rozweseliły. Tak w przerwie nakręcania w różnych studiach różnych filmów może wyglądać an przykład palarnia w wytwórni filmowej, gdzie pierrot z klasycznego baletu przypala papierosa gangsterowi ze spluwą u boku, a rosyjskie muzyki podpierają ściany z żującymi gumę hippisami. W atmosferze napięcia coś „puściło” i wróciłam na salę rozpraw z jakimś poczuciem ogólnej barwności życia.

Nieoczekiwane było i to, że choć sprawę znów odroczone, wniosek adwokata został przyjęty: Smagowski miał opuścić tymczasowy areszt! Wyszliśmy z sali dosyć pewni, że czas na rozprawę z nami. Jednak pohukujące za nami i pchające się na nas groźne typy demonstrowały wciąż tylko siłę, liczebność i możliwości. Na razie nie atakowali; zniknął za to bezpowrotnie Bobiński i wysłano mnie do prezesa sądu, abym spróbowała dowiedzieć się od niego, co się stało. Dopuszczona przed jego oblicze odbyłam z nim raczej banalną rozmowę, w której on mi powtórzył, że to nieładnie prac ojczyste brudy przy obcych, a ja jemu, że na otwartą rozprawę wstęp ma każdy. Jednak w końcu zaprzysiągł mi, że Bobiński został po prostu nakłoniony do wyjazdu z Radomia, i że go zastaniemy w Warszawie. Z tą wiadomością (która się zresztą okazała prawdziwa) wróciłam do naszej ekipy stwierdzając ze zdumieniem, że zbiry sobie poszły. Zeszliśmy na dół, ale przylecieli Radomiacy z ostrzeżeniem, że hałastrą czeka pod sądem. Siła żądał, abyśmy w każdym razie poczekali na niego, coś tam jeszcze miał w kancelarii do załatwienia. Wieści o sytuacji przed gmachem zmieniały się, raz gorsze, raz lepsze, namyślaliśmy się stojąc w naniesionym przez setki buciorów błotku tuż u wyjścia z sądu, przed głuchymi kutymi drzwiami. Nagle otworzyłam je i wyszłam; Bierzina chwycił mnie za ramię i wyskoczył za mną. Schody i placyk przed gmachem były puste. Wojnę na jajka i nerwy wygraliśmy my.

Poszliśmy uczcić zwycięstwo do kawiarni; mecenas Siła-Nowicki postawił wszystkim pączki. Nie jadam słodczy i mój przydział zjadł pewno Bierzina. Siedzieliśmy przy dwu zsuniętych stolikach ledwo się przy nich mieszcząc; tuż obok z lewa i z prawa znani nam i nieznanymi, a doskonale rozpoznawalni jawni

tajniacy. Tak jak my pili kawę, obsługiwani przez te same kelnerki. Nie udawali, że nas nie pilnują, nie liczą, nie podsłuchują, wszystko było jednoznaczne, proste, czarno-białe, bo i my niczego nie potrzebowaliśmy przed nimi udawać. Przyjechalśmy tu, bośmy chcieli, a oni łażą za nami, bo muszą. Coś prócz satysfakcji, że nie my, a oni musieli na razie zrezygnować, że siedzimy tu cali, zdrowi, Smagowski opuszcza właśnie areszt, a sąd — istny cud! — uznał zeznania milicjantów za sprzeczne, i że nie mogło to wszystko stać się tak, ot, sobie — coś więc prócz tej radosnej satysfakcji krążyło mi po głowie, jakieś uczucie odprężenia i psychicznej wygody, które nazwać obiecywałam sobie później, jakaś refleksja zagłuszana przez hałas kawiarni.

Siła opowiadał jedną ze swych niezliczonych anegdot; ani to, ani fakt, że w ciasnocie stolików i krzesel brak nam było wszystkim miejsca na stopy w dole, a na ramiona w górze, nie przeszkadzało mu we wstawaniu na całą wysokość, aby zapalić papierosa znajdującym się w jego towarzystwie damom. Zachichotałam w myśli na wspomnienie, że z taką samą rewerencją kilka dni wcześniej podawał ogień damie ze zgniłym jajkiem we włosach.

Kuroń nie chciał słyszeć żadnych anegdot. Po prostu nie mieścił się we własnej skórze. — Zobaczycie — mówił — zobaczycie, coś się przelamuje, zaczną się teraz uginać, będą odkręcać, będą robotnikom „przebaczać”. Trzeba by... musimy...

Jan Józef pożerał pączek, siwy kosmyk spadł mu na czoło, przypomniałam sobie tę chwilę sprzed paru miesięcy, kiedy — też w kawiarni — zapisywał sobie mój adres i telefon, i nagle złapałam w słowa, zrozumiałam w całej sobie tę refleksję odkładaną na później, owo uczucie rozparte we mnie wygodnie i ciepło. Tamta chwila z Lipskim w pałacu Staszica, gdy się zgłosiłam do pracy w KOR-ze, drobnostka, która wszystko zmieniła. Nie wiedziałam wtedy, że robię wielki interes: zyskuje poczucie wewnętrznej wolności — luksus nie dający się z niczym porównać w tym kraju, w którym każdy — niezależnie od tego, ile miał w kieszeni i na koncie, jakie przywileje i ordery — coś musiał albo czegoś nie mógł — zależnie od kogoś, kto mu wydawał polecenia lub zakazy.

Byłam wolna i poruszałam się wśród ludzi wolnych. W tej chwili garstka z nich jadła pączki.

ZAMIAST DIDASKALIÓW

Napisawszy ostatnie dwa zdania — patrz wyżej — odeszłam od biurka, pewna, że się rozstaję z maszynopisem na jedną noc.

Był późny wieczór dwunastego grudnia osiemdziesiątego pierwszego roku i w pół godziny później dom do słownię za trząsał się w posadach. Walono żelaziwem i kopano w drzwi na dole do całego jednorodzinnego domku, którego drugie pięterko zajmuje moja kawalerka. Zaraz potem policja zabrała mnie z domu jak tysiące innych tej nocy i pisanie książki przerwałam na ponad rok.

Jeszcze w więziennej celi o rozbitych za kratami szybkach, ze śniegiem nawianym na prycze bez sienników i koców, jeszcze nim przewieziono mnie stamtąd do pierwszego obozu internowanych powstałego poza więzieniami — stanął mi kiedyś w oczach obraz bezbronno rękopisu porzuconego na niepewne w opustoszałym mieszkaniu. Aż mnie politowanie ogarnęło, tak śmieszny wydał mi się ten rękopis. I nie tylko on: wrzuciłam „wewnętrznie” ramionami na samo wspomnienie zapachu, z jakim rzuciłam się w pisanie tej książki o KOR-ze po wybuchu „Solidarności”, kiedy mogłam wreszcie spróbować znów powoli stawać się pisarzem. Coś się działo z moim zdrowiem, ale tak strasznie chciałam pisać, że się ociążałam z leczeniem. Przeglądałam stare dokumenty, nie nadążałam za nałożonymi na mnie wspomnieniami, obrazami, przeżyciami. Byłam taka pewna, że to się przyda, że się okaże potrzebne, ten prywatny zapis naszej drogi aż do sierpnia 80, szkice o żywych ludziach, tak odmiennych, a na lata z sobą związanych, wspominki z naszej chałupniczej pracy nad... nad... chyba nad świadomością społeczną.

Teraz w grochowskim więzieniu na rękopis i na własny zapach pisarski machnęłam lekceważąco ręką. Kogo miałyby dziś ta książka obchodzić? Naród, naród mordują.

Naród siedział w więzieniu, to był naród w całym jego społecznym przekroju. Jeśli pozamykano tyle matek małych lub niedorośliwych dzieci — a między nimi znalazła się nawet matka niemowlęcia — ilu zamknięto ojców? Jeśli tyle wśród kobiet było zupełnie młodziutkich lub całkiem niemłodych, tyle wręcz ciężko chorych — ilu starych i chorych mężczyzn posadzono, ilu chłopców? A jeszcze potem przyszyły wieści ze Śląska.

Mnie w każdym razie nie interesowało nic więcej oprócz tego, w jaki sposób pomieścić to wszystko w głowie, jak oswoić i choć trochę zracjonalizować. Milkliwa i jakby odwrócona od świata przeszłam przez więzienie, niedorzeczny i z innego świata lot helikopterem do Jaworza, kilkanaście dni w tym obozie-dziwadle dla nie wiedzieć przez kogo wytypowanych intelektualistów (niektórzy pisarze i uczeni siedzieli od początku do końca w obozach normalnych). Około dwudziestogodzinny transport przez tamtą istic syberyjską zimę w roztrzęsionej więźniarce krytej blachą,

bez resorów, zakratowanej i pełnej spalin zniosłam już jakby bardziej gotowa do praktykowania teraźniejszości. Okazał się nią obóz internowanych kobiet.

Pozwożono nas tam — do Gołdapi, pięćset metrów od granicy radzieckiej — z obszaru całego niemal kraju i z wszelkich możliwych środowisk. Nieszczęścia widziało się tak wiele, że tym bardziej czasu nie było na żadne wspomnienie, a pióro bywało potrzebne tylko po to, aby — oprócz nie dochodzących listów — możliwie przemyślnie sporządzać (a potem ukryć i wysłać „na zewnątrz”) dokumentację.

Jednakże wkrótce okazało się, że za tę nie tak znowu bezpieczną robotę biorą się przede wszystkim kobiety ze środowisk dawnego KOR-u; że o tej i owej z nas internowane słyszały; że wspólnie wykazujemy pewną umiejętność samoorganizacji; że większość obdarza nas kredytem zaufania; że nasza „firma” budzi szacunek albo przynajmniej ciekawość. Jeszcze raz potwierdziła się chętnie zapomniana prawda, że teraźniejszość zawsze bierze się skądś, ma rodowód, nie jest podrzutkiem z domu sierot. Zawaliło się niebo, przeżywałyśmy trzęsienie ziemi, a one, te wydarte z rąk dzieci, mężów, rodziców, przesłuchiwane, szantażowane, straszone — żądały wiadomości o KOR-ze, o naszym doświadczeniu i pracy, jak wyglądało nasze życie, i w ogóle co to takiego było — KOR.

Nie było: jest. I one, i władze — przemawiając slangiem *Żołnierza Wolności* i innej prasy stanu wojennego — traktowały Komitet Samoobrony Społecznej „KOR” jakby się wcale nie rozwiązał w sierpniu 81. W umundurowanych programach telewizyjnych oglądałyśmy KOR-owskich szpiegów, ekstremistów, manipulatorów, zdrajców narodu — sama się kiedyś widziałam głaszczącą psa Romaszewskich. Internowane przekładały sobie język propagandy na własny: coraz tłumniej zwracały się do kobiet-członków KOR-u lub z KOR-owskich środowisk po radę czy pomoc (!?) w rozwiązywaniu problemów od ściśle prawnych począwszy, na zagadnieniach wręcz już ze sfery moralności kończąc. Podlegałyśmy też krytyce — jako KOR: te dwie z nas, które były jego członkami, i te, które z nim współpracowały. Widocznie dla wszystkich miałyśmy coś wspólnego w mentalności czy stosunku do poszczególnych spraw, choć przecież wiele KOR-owskich kobiet poznało się dopiero w obozie.

W rezultacie wciąż trzeba było na jakieś pytania odpowiadać, coś tłumaczyć, wiele razy po parę godzin snuć opowieści.

Pewnego dnia usłyszałam od którejś — już to chyba było w Darłówku — że muszę to wszystko opisać. Pamiętam, pomyślałam wtedy, że nie chcę, nie mam już siły, nie. Niedługo

powiedziała to samo inna. Później słyszałam te słowa od wielu. Wciąż mi to powtarzały Mikołajska i Danusia, dwie moje najbliższe. Przecież to kawał historii, chcą go opłuć, zatrzeć, zakłamać. Jak wyjdiesz — zabieraj się i pisz.

Ale zapał nie wracał, tylko zaczęła jawić się tęsknota za nim. Może po prostu choroba postępowała, okropne, śmiertelne zmęczenie, poczucie zmęczenia materiału, z jakiego się jest zmontowanym. Żal, że tak mało miałam czasu, kiedy byłam na wolności i zdrowa, niewiara, że ten czas dogonię. Tylko trapiącą świadomość obowiązku odzyskałam. Że trzeba by. Że warto. Że usypali już na nas góry kłamstw, zarzucili obelgami jak śmieciem. Odgarnąć to, przemówić.

Kiedy mnie po pół roku zwolnili „na przepustkę” do szpitala, na długim korytarzu co noc ktoś kładł na którymś z krzesel pod ścianami „bibułę”. Chorzy ostrożnie podkradali się, czytali, kładli na następne krzesło, „bibuła” wędrowała przez szpital. Zaraz się dowiedzieli, że ja z KOR-u. Jeśli z KOR-u, to powinnam była wszystko wiedzieć: dlaczego i jak stało się to, co się stało, co będzie i co trzeba robić. Jeśli z KOR-u, to czy wśród was byli sami Żydzi? Albo: zrobiliście błąd, bo trzeba było objąć władzę. Albo: co to właściwie jest — KOR?

Chowałam się pod szpitalny koc, umykałam w krzaki szpitalnego ogrodu. Nadaremnie. Przyjaciele podczas odwiedzin szepotali, że udało im się wszystko, co do dwunastego grudnia napisałam, ukryć. Jak tylko wyzdrowiejesz... Brzmiało to dla mnie jak pogróżki.

Okazało się, że „zdrowieć” mogę tylko ewentualnie na Zachodzie. Paszport mi niemal wmówiono, i to z pieczętką gwarantującą prawo powrotu. Zanim wyjechałam, mogliśmy się uściskać z internowanym w Białolece Michnikiem na pogrzebie jego ojca.

— Mówię ci to od siebie i od Jacka — powiedział, zaszeptał mi Adam gdzieś w szyję. — Masz jechać, masz wyzdrowieć, masz napisać tę książkę. Traktuj to jak zamówienie, my tu czekamy, Anka.

I on, i Jacek, a także Henio Wujec i Janek Lityński w kilka dni później wyładowali w więzieniu, a po paru tygodniach dobił do nich z Anglii Janek Lipski. Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego palcem Prokuratury Generalnej wskazała na ostatecznie winnych wszelkim wstrząsom i kłęskom, które zdruzgotały państwo. Winien okazał się oczywiście KOR, a szczególnie ta piątka (z Chojeckim jako szóstym za granicą), i szept Adama wydał mi się we wspomnieniu donośniejszy i bardziej natarczywy.

Ja tymczasem znalazłam się w Paryżu. Bez korzeni, rodziny, domu, dawnych sił, z pustą kieszenią i sztuczną aortą, jedynym

moim tu na Zachodzie dorobkiem. Jeszcze przed operacją i zaraz po wyjściu ze szpitala prawie wszyscy z dawnych znajomych i wszędzie. — Piszesz? Napisałaś? Musisz.

Muszę w każdym razie rozumieć, że ze wszystkich pozostałych mi sił powinnam przynajmniej próbować ciągnąć tę książkę. Bez względu na warunki życia i pracy, absolutną — bez najmniejszej przenośni — niepewność jutra, namiętą chęć powrotu do kraju, w którym prócz kraju i jego niebezpieczeństw czeka na mnie mój własny pokój z biurkiem i z oknem wychodzącym na wielkie piękne drzewo. Muszę rozumieć, że powinnam pisać bez względu na wszystko dokoła, co jest mojemu pisaniu przeciwne.

Anka KOWALSKA

Pierwszy fragment ukazał się w numerze 7-8/1981.

§ † P

ANTONINA M. TERLECKA — TOLA KORIAN

artystka dramatyczna, pieśniarka, diseuse'a, uczennica Yvette Guilbert, znana na estradach i scenach kilku kontynentów i wielu krajów, odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Polonia Restituta, doktor literatury porównawczej (University of Chicago), profesor literatury francuskiej na University of Indiana i w St. Xavier College w Chicago —

zmarła nagle 2 marca 1983 roku w Queen Mary's Hospital w Londynie.

Zegnamy w Niej z najgłębszym żalem niepospolity talent twórczy, fenomenalną muzykalność, rozległą źródłową znajomość pieśniarstwa, zwłaszcza europejskiego i amerykańskiego, niezwykle uzdolnienia językowe, niezawodny instynkt artystyczny, wirtuozowską technikę wykonawczą.

Zegnamy najlepszą Żonę, Przyjaciela, Towarzysza dobrych i złych losów, Polkę o wyczulonym sumieniu społecznym, wzór lojalności koleżeńskiej, bezinteresowną przyjaciółkę młodych,

Mąż, Krewni i Przyjaciele w Polsce,
w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie,
we Francji, Niemczech i Izraelu.

Drugie wrota w las

Rano poszli zwiedzać miasto. Nadzieja zwlókł się z hotelowego łóżka i poszedł z nimi, nieogolony i niewyspany, pociągając od czasu do czasu z płaskiej piersiówki ze srebrną nakrętką. Była niedziela. Radzieccy projektanci spali po przepitej nocy.

Poszli pod murami Kremla nad Dniepr — tam usiedli na ławce. Patrzyli na ogromną przestrzeń za rzeką. Linia horyzontu zacierała się we mgle. Gołębowicz opowiadał, że nad rzeką krążyło dużo białych ptaków — słyszeli daleki skwir. Nad nimi błyszczały złote kopuły cerkwi Matki Bożej, w której popi przechowywali podobno glejt z podpisem Lenina. W czasie rewolucji chronił cerkiew przed spalaniem, a później przed zamianą na magazyn pasz. Niżej stał pomnik Kutuzowa.

Mówił, że było ich trzech: on sam, Gołębowicz, lat dwadzieścia dziewięć, absolwent Wydziału Budownictwa Przemysłowego PW (od dwóch lat na budowie w Związku Radzieckim); zastępca kierownika bazy magister inżynier Dąbrowski — tłusty czterdziestolatek z brzuchem, który wypadł ze spodni oraz technik Nadzieja — operator ciężkiego sprzętu, lat pięćdziesiąt parę. Mówili, że powstaniec warszawski.

Do miasta przyjechali z ekipą radzieckich projektantów (w sprawie nowego odcinka rurociągu).

Gołębowicz robił zdjęcia aparatem „Zenit”. Siedzieli na zielonej ławce. Upał był coraz większy. Nadzieja ścierał pot z twarzy i karku, pluł na ścieżkę, kaszlał. Łyk po łyku opróżniał piersiówkę.

Dałbyś pan trochę — mówił Dąbrowski. — Sam ciągnie jabłeczny napitok, a kolegom zasycha w gardle.

— Jaki tam napitok! — kaszlał Nadzieja. Zalatywało wódką.

Gołębowicz opowiadał, że to Nadzieja zapytała: — A może tak pojechać do nich?

— Do kogo, panie Janku?

— Oni tu leżą niedaleko. W lasku, wiecie jakim.

Wtedy zamilkli. Słyszeli tylko skwir ptaków krążących nad Dnieprem. Patrzyli w jasnoblękitną dal za miastem. Wiał ciepły wiatr. I znów odezwał się Nadzieja: — Kwiaty zawieziemy. Zmówimy pacierz.

Gołębowicz mówił, że kiedy szli ulicą w stronę mostu, wiatr pędził tumany kurzu. Na moście pachniało rzeką. Gdzieś dalej z łaskotem przejeżdżały pociągi. Dworzec autobusowy był po tamtej stronie Dniepru. Minęli pawilon meblowy z pustymi witrzynami, dalej był nieczynny dom towarowy i kołchoźniczy rynek. W hali targowej kupili kwiaty: czerwone i białe mieczyki. Nadzieja wytargowała dwie butelki po mleku od kołchoźniczkwiaciarki. Owinęli mieczyki w *Prawdę*, *Prawdę* w marynarki. Gołębowicz schował w kwiatach aparat.

Dąbrowski rozglądał się niespokojnie, kiedy kupowali bilety. Przedtem patrzył za siebie idąc przez most. Sapał — męczył się łatwo — brzuch przeszkadzał w marszu. — Panowie, z nimi nie ma żartów! — ostrzegął kilka razy.

— *Nu chto, w les na progulku nie rozrieszajetsia?* — mrużył oko Nadzieja.

Autobus linii sto jeden — przez Gniezdowo i Kozi Gory — odjeżdżał dwunasta piętnaście. Poszli na ostatnie stanowisko i czekali w tłumie kołchoźników wracających z miasta. Gołębowicz twierdził, że wyglądali obco. Może jeden Nadzieja — z piersiówką sterczącą w kieszeni i butelkami po mleku — wyglądał zwyczajnie. Przestali rozmawiać.

Tu Gołębowicz opowiedział o starej kołchoźnicy — babce w dziurawej chuście, która boso wędrowała drogą. Stanęli przy niej, żeby zapytać, jak jechać (zapędzili się w bok od szosy). A ona, kiedy zauważyła obcy wóz z polską rejestracją, pośpieszenie, śliniacz kopioowy ołówek, który wysuwała z kieszeni spodnicy, zapisała na dłoni numery.

— Po co jej nasze numery? — zapytał, kiedy pojechali dalej (było to w pierwszych dniach pracy na budowie). Rosjanie milczeli, tylko Nadzieja wyjaśnił krótko: — Żeby donieść, jasne.

Odetchnęli, kiedy Ikarus podjechał na stanowisko. Ludzie zaczęli tłoczyć się przy drzwiach. Wsiadli na końcu.

W środku cuchnęło potem, smarami i pachniało świeżo upieczonym chlebem (pewno ktoś wioził w torbie kilka bochenków). Kiedy wyjechali za miasto, zakłósało na nierównej drodze. Za oknami widzieli ugory lub pola, na których żyta stały w ostach.

Milczeli przez cały czas. Chcieli wysiąść w Gniezdowie i pójść trasą czarnych wron z oknami zamazanymi wapnem. Taki spacer zaproponował Nadzieja: — To niedaleko, dwa, trzy kilometry.

Gołębowicz opowiadał, że już zaczęli się niepokoić: nie było Gniezdowa. Autobus stawał, ruszał — ludzie wysiadali i wsiadali, a oni byli coraz bardziej niespokojni. Mówił, że zapytał półgłosem starą kobietę, nad którą stali: — *Izwinitie, mamasza, Gniezdowo daleko?*

A wtedy ta skulona stara, od której zalatywało czosnkiem, pilnująca jak kwoka swoich biednych tobołków (przeszkadzały swobodnie stać) — bezzębna, w czerwonej chustce, jak kropla krwi w środku szarego tłumy, uniosła pomarszczoną twarz i śmiejąc się głośno (zwracając śmiechem uwagę pasażerów), odpowiedziała: — *Nie biezpokojtieś, rebiata, nie biezpokojtieś! Kak nada wychodit', ja wam skażu!*

— *A wy, rebiata, kuda?* — zapytał mężczyzna w kolejarskiej kurcie (stał wciśnięty między Nadzieję i brzuch Dąbrowskiego).

Ale oni milczeli, pochyleni, patrząc w okna, choć ten człowiek spytał jeszcze dwa lub trzy razy: — *A wy, rebiata, kuda?*

— I tak — opowiadał Gołębowicz — w tłoku, z mieczykami w marynarkach, podzwaniając butelkami, doczekaliśmy chwili, kiedy stara tak samo głośno zaczęła powtarzać: — *Wot i astanowka Gniezdowo! Wam nada wychodit'. Wot i astanowka Gniezdowo!*

I w Gniezdowie wiatr bił kurzem po twarzach. Szukali stacji kolejowej i bocznicy, na której stawiano wagony. Placu, którego pilnowali funkcjonariusze w czapkach z błękitnymi otokami. Zapewne niewiele zostało z tamtych dni. Tak samo szyny świeciły w słońcu. Wzdłuż nasypu rosły chwasty, kury uciekały spod nog. Pachniało smołą.

Przeszli po niewielkim moście nad strumieniem. Za przejazdem, po lewej stronie były zakłady produkcji keramzytu. Po prawej, na wzgórzu, stały nieotynkowane bloki. Podchodzili do wiaduktu nad drogą w kierunku Witebska. W lewo szła szosa na Briańsk.

Dąbrowski mówił co pewien czas: — Zwiną nas za chwilę, zobaczycie. Nawet okiem pan nie mrugnie, panie Janku! — Szedł sapiąc z wypiętym brzuchem.

— *Nie biezpokojtieś, nie biezpokojtieś!* — powtarzał Nadzieja.

Gołębowicz mówi, że szli pod wiatr, a mimo to lekko było iść. Nieśli kupione na kołchoźniczym rynku mieczyki — wiatr rozwiewał płachty *Prawdy* i kwiaty wyglądały ze środka. Gołę-

bowicz opowiadał, że idąc myślał, czy który z tamtych — przez rysę na szybie zamazanej wapnem lub przez mały odprysk — widział pola i łąki? Jak wyglądali ci ludzie w polskich mundurach? Zieleń była świeża, na łąkach stały w wodzie kaczeńce. Ten sam wiatr wiał od Dniepru.

Ciężkie żyły przejeżdżając wzniecały kurz. Trzeba było uciekać na rowy. Dąbrowski chciał wracać, kiedy zobaczyli między filarami wiaduktu posterunek GAJ-a — milicji drogowej. Dawał głowę, że ich widzieli. Zatrzymali się za kępą drzew (chyba topoli lub brzoź).

— Po co ryzykować? Deportacja murowana. Bez zezwolenia, poza strefą pobytu!

— *Nu chto, w les na progutku nie rozrieszajetsia?* — mru-gnął Nadzieja.

— Coś pan dziecko? — Gołębowicz mówił, że Dąbrowski tylko pot ścierał z twarzy. Wcisnął przeponą koszulę do spodni. Zaproponował, żeby głosowali.

Gołębowicz był zdecydowany iść, nawet gdyby tamci cofnęli się. Ale Nadzieja uprzedził go: — Niech pan wraca sam, inżynierze. — Powiedział jeszcze o bracie matki, który tam może leżeć. Dlatego musi pójść. — Major Dąbrowski to pana krewny? — spytał.

Magister inżynier nie wiedział. — Mało to Dąbrowskich?

Po tej rozmowie postali jeszcze chwilę, a potem, jakby jej nie było, poszli dalej.

Skręcili na Briąnsk, później na polną ścieżkę. Prowadziła pod górę. Chcieli obejść łąkiem posterunek GAJ-a. Gdzieś wyżej technik zaproponował, żeby pójść w stronę Dniepru.

— Brzegiem dojdziemy do dączy. Znajdziemy choć fundamenty, cegły, gruz. Oni rozstrzelili obok.

Gołębowicz mówił, że weszli na moczary, w grzęzawiska porośnięte wysokimi trawami. Droga na Witebsk i linia lasu, do którego chcieli dojść — zaczęły się oddalać. Przed nimi otworzyła się przestrzeń za rzeką — siwa dal. Obłoki, ptaki. Musieli zawrócić.

To wtedy, idąc na przełaj przez pola, trafili na żwirowisko, przy którym dwóch młodych robotników stało koło ciężarówki — ziła pięćset pięćdziesiąt pięć. Nie mogli cofnąć się — nie było dokąd.

— *Zdrastwujtie!*

— *Zdrastwujtie!*

Podali sobie ręce. Nadzieja podsunął paczkę papierosów: — *Poprobujecie naszi cigarety? Kakoj wkus...*

Wzięli chętnie. Zapalili odwracając twarze od wiatru (zapałki

gasły, przypalali papieros od papierosa). Później spytali: — *A wy otkuda?*

— *Iz Polszi.*

— *Polaki!* — uśmiechali się przyjaźnie. Gołębowicz mówił, że mieli błękitne oczy. Niedbale ubrani (stare koszule z podwiniętymi rękawami, lepkie od smarów spodnie), stali oboz ziła nad żwirowiskiem. W głębokim dole świeciły kałuże wody. Wiatr rozwiewał dym papierosów.

Nadzieja zapytał: — *Wy znajetie, gdzie w lesu kładbiszcie polskich oficerow?*

— *Da, da, my znajem* — odpowiedzieli zgodnie. A potem wyższy, wskazując drogę i skraj lasu: — *Iditie priamo darogoj. I budut pierwyje worota w les i drugije worota w les. Wam nada w drugije.*

Tak było, mówił Gołębowicz. Poszli przez pola do traktu na Witebsk. Później poboczem drogi. Brzęczało w telegraficznych drutach. Na skraju lasu zapachniało igłami. Las był ogrodzony płotem. Płot stał od strony pola i ciągnął się wzdłuż szosy. Zielone sztachety na podmurówce przedzielono betonowymi słupkami. I były dwie bramy: pierwsza, którą minęli i druga, uchylona, z dużym znakiem zakazu wjazdu. Gołębowicz opowiadał, że wyglądało to na teren wojskowy. Spodziewał się, że zaraz zobaczą tablice zabraniające wstępu lub żołnierza z karabinem Kłasznikowa. Ale nikogo nie było. Przez uchylone wrota weszli między młode sosny rosnące po dwóch stronach asfaltowej ścieżki. Obok przystanku Kozi Gory.

Minęli przybite do drzew tablice: „*Zakaźnik! Sbor cwielow strogo zaprieczen!*” Dalej był zakaz rozpalania ognisk. Mówił, że zapamiętał ciszę. Nie było ptaków. Drzewa stały bez ruchu, jakby wiatr tamtędy nie wiał. Kiedy odchodzili od szosy asfaltową ścieżką, zdawało się, że im dalej idą, tym większa cisza.

Przeszli dwieście, może trzysta metrów i zobaczyli w dole płytę z czerwonego kamienia. Leżała między drzewami, naokoło rosły kwiaty. W dół prowadziły kamienne stopnie, dalej ułożono chodnik z szarych płytek. Po dwóch stronach uformowano symboliczne mogiły, na których także rosły kwiaty. Były to begonie. Schodzili powoli po stopniach. Za płytą, na tle lasu, widać było biały mur przedzielony kratą. Nieduże czarne tablice z napisami przystawały do kraty. Stanęli na chwilę.

Nadzieja podszedł pierwszy, za nim Dąbrowski, Gołębowicz na końcu. I znów stanęli. Potem uklękli na szarych płytkach. Gołębowicz mówił, że klęczeli przez kilka minut. Słyszał tylko bicie serca.

Na czarnych tablicach były napisy. Z lewej wyryto po rosyjsku: „Zertwam faszizma — polskim oficerom rozstrzelanym gitlerowcami w 1941 roku”. Po prawej po polsku: „Ofiarom faszyzmu — ofiserom polskim rozstrzelanym przez hitlerowców w 1941 roku”.

— Ofiserom — powtórzył Nadzieja.

— W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym — powiedział Dąbrowski.

To wszystko. Cztery młode sosny rosły blisko białego muru, zasłaniając niektóre słowa. Nadzieja podniósł się pierwszy. Powiesili marynarki na gałęziach i zaczęli chodzić między drzewami. Gołębowicz robił zdjęcia. Zmiotł chustką igły z czerwonej płyty. Zastanawiali się, gdzie nabrać wody do butelek.

— Może pójść do Dniepru? — spytał operator.

— Nie bądź pan dzieckiem! — sapnął Dąbrowski.

Gołębowicz mówił, że nagle poczuł znużenie. Odszedł na bok i usiadł pod sosną. — Ta cisza, ta cisza — powiedział. Omiijając pnie przeleciał biały motyl. Bezwiednie spojrzął za nim i zobaczył chłopca. Stał nad dużą czubajką-kania (rosła pod drzewem). W nogach postawił koszyk z grzybami. Patrzył na inżyniera.

— Zdrastwuj, malczik — powiedział Gołębowicz. Podniósł aparat i zrobił zdjęcie. Mały wyglądał na dwanaście lat. Na bosych nogach miał męskie gumki. Uszy odstające i niebieskie oczy.

— Zdrastwujcie. — Głos miał cienki (chyba zaczynał mutację).

— Nu czto, mnogo gribow sobrał?

Chłopiec zbliżył się człapiąc kaloszami i pokazał koszyk pełen kurek i maślaków. Czubajka-kania leżała na wierzchu. Kucnął obok inżyniera.

— Malczik — mówił o nim Gołębowicz (imienia nie zapamiętał). Mieszkał w Gniezdowie. Ojciec pracował w zakładach produkcji keramzytu.

Podeszli Nadzieja z Dąbrowskim. Operator pogłodził chłopca po głowie. Magister inżynier pochylił się i stracił palcem czubajkę-kania (spadła na mech — nóżka odleciała od kapelusza).

— Wot ty, Wasia, za gribami suda prziszot, a znajesz pocziemu my prijechali?

— Wy Polaki. Wy priwiezli cwiety polskim oficeram — odpowiedział cienkim głosem mały. Uniósł głowę.

— A znajesz kto ich ubił?

— Faszisty.

— Niet — powiedział Dąbrowski. Stał nad chłopcem sapiąc i wypinając brzuch.

— Da, da, faszisty!

— Niet!

— Dajże pan spokój — odezwał się Nadzieja — z dzieckiem chcesz dyskutować?

Gołębowicz opowiadał, że Dąbrowski podniósł głos: — A niech wie, niech opowiada w szkole! Jak im ręce wiązali drutem, strzelali w kark i kopali w plecy. Jego bracia! Tam ma być czterdziesty rok, *ponimajesz?*

Malczik patrzył na Dąbrowskiego niebieskimi oczami. Chyba nie zrozumiał. Znow przeleciał biały motyl omijając pnie.

— Dajże pan spokój — powtórzył Nadzieja. Poklepał małego po ramieniu: — *Niczewo, niczewo.*

Gołębowicz chciał rozładować sytuację, zapytał, co z wodą? — Kwiaty zaraz zwiędną. Za duży upał.

Mały zrozumiał. Podniósł się z kucek. — Woda tam! Niedaleko.

Poszli na asfaltową ścieżkę (magister inżynier kilka kroków z tyłu). Nadzieja zabrał po drodze butelki. Chłopiec człapał kaloszami po asfalcie. Gołębowicz mówił, że za drugim zakrętem wyszli na bajorko — czarne oko. Korony sosen odbijały się w wodzie, jak w ciemnej szybie. Malczik zsunął się ze skarpy razem z lawiną piasku. Wyciągnął rękę po butelkę — nabrał do jednej, potem do drugiej i podał Nadziei. Stali chwilę patrząc na nieruchomą wodę. Zapachniało bagnem.

Operator zaproponował, żeby pójść kawałek dalej: — Może dając znajdziemy?

Malczik nie zdążył wygramolić się po stromej skarpie (ciężkie kalosze przeszkadzały). Kiedy wyszedł na brzeg, zawołał: — *Tam nielzia! Nie rozrieszajetsia!*

Gołębowicz opowiadał, że biegł chwilę człapiąc kaloszami. Później stanął i patrzył, jak odchodzili. Mówił, że niedaleko zaszli: za następnym zakrętem była tablica przybita do sosny: „*Wchod zaprieszczen*”. Dalej był ten sam las, pusto — ścieżka nikła między drzewami. Nie chcieli ryzykować. Zawrócili.

Malczik czekał koło czerwonej płyty. Przyglądał się, jak układali bukiety z biało-czerwonych mieczyków i ustawiali w butelkach. Na płatkach kwiatów zaszklity się krople wody z bajorka. Jeden z bukietów postawili pod tablicą z polskim napisem, drugi na czerwonej płycie.

Potem stali w milczeniu.

Mały podeszedł do Gołębowicza. Pociągnął za rękaw: — *Ja eto naszot w lesu!* — Na małej dłoni leżał guzik z orłem w koro-

nie. Gołębowicz opowiadał, że błysnął w słońcu. Wziął go i chwilę oglądał obracając w palcach. Wewnątrz wypukłości widoczne były plamki rdzy, także metalowa wypustka była zarzewiała, ale orzełek błyszczał, jakby guzik przed chwilą oderwano z munduru. Podał Nadziei.

— *Za żuwaczkę oddasz?* — spytał operator. Zaczął przeszukiwać kieszenie.

Malczik potrząsnął głową. — *Niet.* — wyciągnął rękę.

Nadzieja oddał guzik. Patrzyli, jak owijał go w kawałek bibułki.

Gołębowicz mówił, że stali jeszcze nad czerwoną płytą, kiedy usłyszeli warkot. Niespodziewanie przejechały asfaltową ścieżką dwa wozy: Żiguli dwa tysiące sto trzy a za nią mikrobus Riga. Wyłoniły się zza sosem, minęły ich i zniknęły wśród drzew, tam gdzie była tablica „*Wchod zapieszczon*”. Gołębowicz twierdził, że w obu siedzieli radzieccy oficerowie w okrągłych czapkach z czarnymi otokami. Patrzyli na nich, ale samochody nie zatrzymały się. Kiedy zniknęły, Dąbrowski, trzęsąc brzuchem, podbiegł do sosny, na której powiesił marynarę.

— Już pan wiesz, panie Janku, gdzie jest dacza.

Nadzieja poprawił kwiaty w butelkach. Gołębowicz owinął aparat w marynarę. Mały podniósł koszyk z grzybami. Weszli po schodkach na asfaltową ścieżkę i poszli w kierunku drogi.

Na przystanku Kozi Gory czekali piętnaście minut. Chłopiec nie odchodził. Rozmawiał z Nadzieją. Stali naprzeciw tej drugiej bramy, obok słupa z rozkładem jazdy. Brzęczało w telegraficznych drutach. Gołębowiczowi zdawało się, że mały spytał:

— *Pocziemu wasz drug skazał, szto nie faszisty?*

Nie dosłyszał odpowiedzi Nadziei (później zapomniał zapytać).

Kiedy autobus zbliżał się do przystanku, zjechał na pobocze i wszystko zniknęło w kurzu: szara chmura przykryła tablicę „*Kozi Gory*”, bramę, znak zakazu wjazdu, zielony płot, Nadzieję i Dąbrowskiego. Operator mówił jeszcze do małego — chyba „*nie bojsia, pomni...*”. Gołębowicz źle słyszał. *Malczik* chciał żegnać się z nimi — zdaje się, że biegł z wyciągniętą ręką, ale grzyby posypały się z kosza. Kucnął, żeby je pozbierać, a oni wsiedli do zatłoczonego autobusu Gniezdowo - Katyń - Smoleńsk, w zaduch i ścisk.

Gołębowicz mówił, że od razu stracili małego z oczu.

Kazimierz ORŁOS

Wiersze

Kazimiera IŁŁAKOWICZÓWNA

O BOŻE...

O Boże!...
 Najpierw jechali długo,
 wieziono ich wiosenną szarugą.
 ... Ilu ich było? Dwa? Pięć? Osiem? Dwanaście tysięcy?...
 Pamiętamy ich zbrojnych i hojnych,
 pamiętamy młodziutkich przed wojną...
 O Boże... Nie myśleć więcej!
 Każdy dzień ma swoją pracę,
 a tamto — nie powraca.
 ... A jednak...
 O czym myślał zanim umierał
 za szeregiem walący się szereg?
 Będziemy kiedyś wiedzieli,
 skoro już wyszli spod ziemi.
 Ktoś ocalony cudem,
 ktoś schowany przypadkiem w rowie
 straszliwą opowieść opowie:
 czy szarpały ich ręce brudne?
 czy poszli na rzeź bez oporu?
 czy konali wiosennym wieczorem?
 czy zabito ich w mroźne rano?
 O Boże...
 Czy się im pożegnać dano?
 Czy do końca, aż kat wystrzelił,
 o niczym nie wiedzieli?

Jeden był jednak u matki,
 a drugi u ojca ostatni;

a trzeci popełnił zbrodnię
i jeszcze jej nie zamodlił.
U czwartego synek i żona,
piątemu — wielkość sądzona...
... Jak to być może?
A katów przecie także Pan Bóg stworzył...

O Boże,
który w jaskółce mieszkasz co obłoki mija,
i w jastrzębiu co w locie jaskółkę zabija,
w kwiatuszku — wypieszczonym w cieniu leśnych malin,
i w tych, co i maliny i kwiat podeptali...
... Który zlatujesz ogniem w lecącym pocisku
i w mózgu świecisz co od ciosu się rozpryska...
... Który jesteś — i to mnie zdumiewa najwięcej —
jednocześnie w Polaku, Moskalu i Niemcu...

O Boże,
z tej wichury, co pali pół świata,
zstąp i zamieszkaż, błagam Ciebie, nie w dzieciach, nie w kwiatach,
nie w czystych duszach, ani jasnych wodach, ale w sercach katów!

Kazimiera IŁŁAKOWICZÓWNA

Archiwum polityczne

Czy Kościół pozostanie obojętny wobec przeludnienia świata

„W sensie intelektualnym od dawna rozumiałem konsekwencje światowej eksplozji demograficznej. Uczuciowo poznałem je kilka lat temu, pewnej upalnej nocy w Delhi. Z żoną i córką wracaliśmy do hotelu starą taksówką. Siedzenia roily się od pecheł. Jedynym działającym biegiem była trójka. Wlokąc się przez miasto wjechaliśmy do zatłoczonej dzielnicy *slums'ów*. Było blisko 40° C; mgliste powietrze stanowiło mieszaninę kurzu i dymu. Ulice kipiały masą ludzką. Ludzie, ludzie, ludzie, jedzący, piorący, śpiący. Odwiedzający się, kłócący, krzyczący. Ludzie wypychający ręce przez okna taksówki — żebrzący. Ludzie wypróżniający się i oddający moc. Uczepieni autobusów. Poganiający zwierzęta. Ludzie, ludzie, ludzie. W miarę jak posuwaliśmy się wolno przez tłum przy dźwiękach skrzeczącego ręcznego klaksonu, kurz, hałas, spiekota i ogień na których gotowano strawę nadawały całej scenierii diabelski charakter. Czy kiedykolwiek dobrniemy do hotelu? Mówiąc szczerze ogarnął nas strach...”

W ten sposób opisuje swoje bezpośrednie zetknięcie z problemem przeludnienia prof. Paul R. Ehrlich z kalifornijskiego Stanford University w wydanej w roku 1968 głośnej książce „The Population Bomb”. Chociaż przytoczony opis, typowy dla *slums'ów* megalopolii Indii jak Bombaj czy Kalkuta, stanowi ilustrację sytuacji krańcowej, ktokolwiek miał możliwość zwiedzać współczesne wielkie miasta biednych krajów Azji czy Afryki, odnajdzie w nim bez trudu elementy własnych odczuć czy przeżyć. W krajach Ameryki Południowej i Łacińskiej dotkniętych eksplozją demograficzną próg nędzy znajduje się o kilka szczebli wyżej, co oszczędzić może przygodnemu turyście podobnie nieprzyjemnych wrażeń. Nie wpływa to jednak w istocie rzeczy na skalę i konsekwencje przeludnienia.

1. Wzbierająca fala powodzi ludzkiej

W roku 1980 opublikowany został na zlecenie prezydenta Stanów Zjednoczonych Jimmy Cartera raport o sytuacji globalnej

pt. „The Global 2000 Report to the President: Entering the Twenty-first Century”. Stanowi on przygnębiającą lekturę. Ludność świata wzrośnie z obecnych 4 i pół miliardów do 6-ciu. Co roku przybywa na świecie 100 milionów ludzi — cyfra trzykrotnie przekraczająca ludność Polski, lub stanowiąca 40 % liczby mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Wzrost ten odbywa się, rzecz jasna, w krajach najbiedniejszych, które w roku 2000 obejmą cztery piąte (80 %) mieszkańców globu. Według obecnych wskaźników, w roku 2030 ludność świata liczyć będzie 10 miliardów, a przy końcu drugiego stulecia przyszłego wieku (w roku 2199) prawie 30 miliardów.

Jak wygląda światowa mapa eksplozji demograficznej? Które rejon i jakie kraje dotknięte są najbardziej problemem przeludnienia? Na pytania te odpowie poniższa tabela:

AFRYKA, AZJA, AMERYKA ŚRODKOWA I POŁUDNIOWA
(według 1981 *World Atlas — Gross National Product, Population and Growth Rates* *)

AFRYKA — Ilość mieszkańców ogółem 456 milionów.

Rejon/kraj	Ilość mieszkańców w połowie 1979 r. (000)	Wskaźniki wzrostu (% p.a.)	
		Ludności 1970-1979	DNB (G.N.P.) per capita 1970-1979
Algieria	18,260	3,2	2,8
Angola (szacunkowo)	6,901	2,4	— 9,6
Kamerun	8,245	2,2	3,1
Egipt	38,868	2,0	5,3
Etiopia	30,861	2,2	0,3
Ghana	11,313	3,1	— 3,0
Gwinea	5,275	2,9	0,6
Wybrzeże Kości Słoniowej	8,227	5,7	1,3
Kenia	15,274	3,5	2,6
Malgaska Republika	8,480	2,5	— 2,5
Malawi	5,817	2,9	3,0
Mali	6,750	2,6	2,5
Maroko	19,538	3,0	3,5
Mozambik	10,199	2,5	— 5,3
Niger	5,163	2,8	— 1,2
Nigeria	82,603	2,5	5,3
Senegal	5,518	2,6	0,1
Afryka Południowa	28,469	2,7	0,6
Sudan	17,862	2,7	1,5
Tanzania	17,538	3,4	0,8
Tunezja	6,194	2,1	5,7
Uganda (szacunkowo)	12,797	3,0	— 3,5
Górna Wolta	5,642	1,6	— 1,2
Zair	27,509	2,7	— 2,6
Zambia	5,580	3,1	— 1,9
Zimbabwe	7,146	3,3	— 1,7

* Pominięte zostały mniejsze kraje poszczególnych rejonów.

AZJA — Ilość mieszkańców ogółem 2,165 miliardów (bez Japonii i Bliskiego Wschodu).

Rejon/kraj	Ilość mieszkańców w połowie 1979 r. (000)	Wskaźniki wzrostu (% p.a.)	
		Ludności 1970-1979	DNB (G.N.P.) per capita 1970-1979
Afganistan	15,542	2,6	...
Bangladesz	87,668	3,0	0,8
Burma	32,573	2,2	2,0
Chiny (włącz. Taiwan)	981,812	1,9	2,8
Filipiny	46,748	2,7	3,9
Indie	659,590	2,1	1,6
Indonezja	142,870	2,3	4,6
Irak	12,631	3,4	9,3
Iran	36,971	3,0	...
Jemen	5,718	1,8	...
Korea Północna	17,474	2,6	...
Korea Południowa	37,814	1,9	8,1
Malajzja	13,137	2,3	5,4
Nepal	13,963	2,4	0,3
Pakistan	79,705	3,1	1,5
Arabia Saudyjska	8,606	4,6	9,6
Sri Lanka (Cejlon)	14,542	1,7	2,5
Syria	8,639	3,6	4,6
Syjam (Tajlandia)	45,475	2,5	4,4
Wietnam	52,943	2,9	...

AMERYKA ŚRODKOWA I POŁUDNIOWA — Ilość mieszkańców ogółem 339 milionów.

Rejon/kraj	Ilość mieszkańców w połowie 1979 r. (000)	Wskaźniki wzrostu (% p.a.)	
		Ludności 1970-1979	DNB (G.N.P.) per capita 1970-1979
Argentyna	27,313	1,6	1,0
Boliwia	5,428	2,6	2,3
Brazylia	116,539	2,3	6,1
Chile	10,917	1,7	0,8
Dominikana	5,280	3,0	3,7
Ekwador	8,081	3,3	5,4
Gwatemala	6,811	2,9	3,1
Haiti	4,921	1,7	1,8
Honduras	3,563	3,4	0,5
Kolumbia	26,122	2,3	3,7
Kuba	9,760	1,4	...
Meksyk	65,509	3,0	1,9
Nikaragua	2,584	3,3	— 1,6
Paragwaj	2,974	2,9	5,3
Peru	17,149	2,7	0,2
Salwador	4,410	2,9	1,4
Urugwaj	2,904	0,3	2,9
Wenezuela	14,453	3,4	2,7

Według 1981 *World Bank Atlas* ludność świata w połowie 1979 roku wynosiła 4,181 miliardów. W powyższej tabeli, ze zrozumiałych względów, nie zostały uwzględnione bogate rejony świata, ponieważ nie są one terenem eksplozji demograficznej. Pominięte więc zostały: Ameryka Północna (Kanada i USA), Japonia, Oceania, Europa oraz Bliski Wschód. Łączna ilość mieszkańców tych rejonów wynosi 957 milionów. Nieuwzględniony także został ZSSR jako dla naszych rozważań nieistotny z punktu widzenia wzrostu demograficznego w tym kraju (264 miliony mieszkańców).

Łączna ilość mieszkańców rejonów objętych eksplozją demograficzną (Afryka, Azja, Ameryka Środkowa i Południowa) wynosi 2,960 miliardów.

2. Beznadziejność nędzy i brak perspektywy polepszenia

Przeludnienie kojarzy nam się z miejsca z obrazem tłoku i zagęszczenia z opisu prof. Ehrlicha. Nie stanowi ono jednak prostej relacji wynikającej z określonej liczby ludności rozrzuconej na danym obszarze. Nie trzeba uzasadniać, iż niektóre rejony globu (np. góry czy pustynie) nie nadają się do życia lub mogą być wykorzystane tylko w ograniczonym zakresie. Tak więc studiując przytoczoną wyżej tabelę warto zwrócić uwagę na dwa podstawowe czynniki. Jednym z nich będzie geograficzno-fizyczny charakter danego obszaru. On to decyduje w ostatecznym rozrachunku o możliwościach rozwoju rolnictwa i przemysłu, a także związanej z tym infrastruktury. Drugim czynnikiem jest stopa przyrostu ludności odnosząca się do danego kraju czy obszaru. Operując tym wskaźnikiem warto jest patrzeć na ewentualne konsekwencje przez pryzmat okresów podwojenia. I tak: przy 2 % rocznej stopie wzrostu ludność będzie się *podwajać* co 35 lat, przy stopie 2,5 % co 28 lat, przy stopie wzrostu 3 % rocznie — co 23 lata itd. Nietrudno zauważyć, iż *tylko dla utrzymania obecnego poziomu życia* oznacza to konieczność podwojenia produkcji żywności i innych towarów co 35, 28 czy 23 lata. To nie wszystko. Już tylko dla utrzymania istniejącego (nędznego, niewystarczającego, wołającego o pomstę do nieba) poziomu życia zachodzi konieczność podwojenia ilości domów, szkół czy miejsc w szpitalach (o ile o tego rodzaju luksusie może w ogóle być mowa).

Za wskaźnik rozwoju gospodarczego przyjmuje się na ogół przyrost produktu narodowego brutto (*Gross National Product* — GNP). Załóżmy na chwilę, iż dochód ten jest sprawiedliwie

rozdzielany i mądrze wykorzystywany w interesie wzrostu stopy życiowej mieszkańców kraju. Nawet przy tych utopijnych założeniach jasno widać, iż stopa wzrostu GNP musi *przekroczyć* stopę przyrostu naturalnego, aby w ogóle mogła być mowa o jakimś *dotatkowym* dochodzie. Dla przykładu: przy stopie wzrostu GNP 4 % rocznie w kraju posiadającym 2 % przyrostu naturalnego tylko różnica, tj. 2 %, może być traktowana jako dodatkowy dochód. Jak wiemy, w praktyce sprawa wykorzystania tego dochodu pozostawia wiele do życzenia. Po pierwsze duża jego część zagarnięta zostaje przez niewielką w krajach biednych grupę bogatych czy uprzywilejowanych. Znaczna część wydatkowana jest na cele nie mające nic wspólnego z poziomem życia mas ludności, np. na zakup wszelkiego rodzaju sprzętu wojennego czy uzbrojenia. Wreszcie część dochodu narodowego zostaje zmarnowana na skutek nieudolnej gospodarki. Tak więc niewiele pozostaje dla polepszenia doli żyjącej w nędzy większości mieszkańców. W efekcie w krajach o bardzo wysokiej stopie przyrostu naturalnego obserwujemy minimalną tylko poprawę warunków życia mas ludności, utrzymanie istniejącej nędzy lub nawet wzrost pauperyzacji. Ale nie jest to bynajmniej jedyna poważna konsekwencja światowej eksplozji demograficznej.

3. Radykalizacja mas

Innym następstwem omawianego zjawiska jest *radykalizacja mas*. W krajach biednych ogromna większość ludności żyje, a raczej *stara się żyć* z pracy na roli. To ostatnie określenie bardziej odpowiada rzeczywistości, gdyż wielodzietne rodziny wieśniaków szybko dochodzą do wniosku, że z małego poletka nie da się utrzymać przy życiu licznego potomstwa. Rozpoczyna się więc ogólny exodus do miast w poszukiwaniu pracy lub jakiegokolwiek możliwości przeżycia. Odchodzą oczywiście grupy w odpowiednim wieku — nastolatki i ludzie młodzi, aby zasilić sklecone z tektury i blachy, pękające już w szwach wielomilionowe *shanty towns* na przedmieściach Kalkuty, Kairu, Mexico City czy Rio de Janeiro. Nić losu pojedynczej osoby prowadzić będzie wielu do prostytucji, pospolitych przestępstw czy zbrodni. Tylko uprzywilejowani dochrapią się może „normalnej” nędznej egzystencji. Ze społecznego punktu widzenia większość tych ludzi dołączyć musi odczuwać jako oczywistą niesprawiedliwość, co czyni z nich potencjalnych klientów wszelkich ruchów radykalnych. Istotnym elementem tego procesu jest fakt, iż wielu młodych ludzi jeszcze w czasie pobytu w rodzinnej wsi lub (jeśli urodzili się już w mieście) w miejscu obecnego pobytu skończyli

jakoś przynajmniej dwie czy trzy klasy szkoły powszechnej, zdobywając podstawową umiejętność czytania i pisania.

A oto jak proces ten scharakteryzował prof. Zbigniew Brzeziński w wywiadzie udzielonym 31 grudnia 1978 roku *The New York Times*:

„... Umiejętność czytania i pisania czyni ludzi podatnymi na mobilizację do działalności politycznej. Nie jest przypadkiem, iż działalność polityczna opiera się na rozdawaniu ulotek, a fakt zdobycia wspomnianych umiejętności stanowi o wielkiej różnicy w zachowaniu się ludzi”.

Podkreślając, iż przy końcu naszego stulecia 80 % mieszkańców globu przypadnie na kraje Trzeciego Świata, Brzeziński kontynuuje:

„Większość z nich stanowić będą ludzie młodzi, biedni. Będą oni politycznie rozbudzeni, skoncentrowani w miastach oraz podatni na udział w ruchach masowych...”.

Uwagi prof. Brzezińskiego stanowią bardzo wnikliwie spojrzenie na jedną z konsekwencji przeludnienia we współczesnym świecie. Przychodzą one na myśl za każdym razem, gdy na ekranie telewizyjnym oglądamy taki czy inny przejaw masowego obłędu młodzieży w Iranie kierowanym przez fanatyka Chomejniego. Fakt, że ludność Iranu wzrasta o 3 % rocznie i podwaja się co 23 lata odgrywa tu kardynalną rolę. Wiemy jednak, że renesans radykalnego Islamu nie stanowi bynajmniej jedyne lub najbardziej rozpowszechnione przykłady ruchu radykalnego. Będzie nim w takiej czy w innej szacie, pod tym lub innym bezpośrednim kierownictwem taka lub inna odmiana marksizmu czy komunizmu. Wypadki obserwowane na bieżąco w Salwadorze czy Nikaragui dostarczają tu odpowiednich przykładów. Warto zastanowić się chwilę nad podanymi w naszej tabeli wskaźnikami przyrostu naturalnego w porównaniu do wzrostu dochodu narodowego w tych krajach. Nie mamy także wątpliwości co do źródła inspiracji. Zresztą Moskwa potrafi łowić ryby także w mętnych wodach radykalizmu religijnego Iranu lub konfliktu irańsko-irackiego. W tym sensie wszelkie ruchy radykalne w krajach Trzeciego Świata stanowią wodę na młyn Kremla i przyczyniają się do realizacji stale korygowanych planów opanowania świata.

W dotychczasowych wywodach uznaliśmy, iż jednym z kardynalnych następstw światowej eksplozji demograficznej jest radykalizacja mas Trzeciego Świata, ta zaś z kolei działa w kierunku przechylenia światowej równowagi sił na korzyść Moskwy. Prawidłowe będzie więc także stwierdzenie, iż utrzymanie eksplo-

zji demograficznej w biednych krajach jest na rękę władcom ZSSR i idzie po linii ich interesów. Z tego zaś wynika, że *wszelka polityka pozwalająca na utrzymanie tej eksplozji i nie przeciwstawiająca się jej czynnie jest nolens volens skierowana przeciwko interesom wolnego świata.*

Taka jest więc konkluzja co do skutków *Population Bomb* rozpatrywanych na osi stosunków Wschód - Zachód, ale nie jest to bynajmniej jedyna perspektywa.

4. Groźba katastrofy ekologicznej

Z punktu widzenia ekologicznego już sama *liczba* ludzi zamieszkujących kulę ziemską powoduje istotne konsekwencje dla systemu globalnego. Chodzi tu o następstwa w postaci konsumpcji ograniczonych zasobów surowcowych globu, a także o zdolność kuli ziemskiej oraz otaczającej jej atmosfery do wytrzymania określonego stopnia eksploatacji systemu. W języku angielskim granica ta określana jest terminem *carrying capacity of the Earth*.

Ekologiczna perspektywa w rozważaniach konsekwencji przeludnienia naszego globu opiera się na dwóch podstawowych tezach. Pierwsza dotyczy pewnych ograniczonych, wyczerpywalnych (czy wyczerpujących się) zasobów surowcowych (angielskie *non-renewable, finite resources*). Wiadomo, iż szereg surowców używanych przez człowieka ma charakter odnawialny, czy odtwarzalny (angielskie *renewable resources*). Przy racjonalnej gospodarce, tj. zbilansowaniu zużycia z zakładaniem nowych baz surowcowych, surowce takie mogą być używane *in perpetuum*. Dobrym przykładem jest drewno. Dopóki stopień karczowania lasów będzie uzależniony od sadzenia nowych — surowca tego *teoretycznie* nigdy nie zabraknie. Teoretycznie zaś dlatego, iż w praktyce zająć może konieczność wyboru pomiędzy różnymi rodzajami upraw. Tak więc istnieć może w określonym rejonie (czy nawet globalnie) możliwość zasadzenia pewnych (nowych) obszarów lasów pod warunkiem zrezygnowania z przeznaczenia tychże terenów pod uprawę zbóż.

Drugą grupę zasobów ziemi stanowią tzw. zasoby wyczerpywalne. Są to te, których wytworzenie wymagało *milionów lat* i które po wyczerpaniu wymagać będą takichże milionów lat, aby się odtworzyć. Są więc one w praktycznym sensie ograniczone, gdyż geologiczna skala czasu potrzebna do ich ponownego wytworzenia jest niewspółmiernie długa do jakiegokolwiek przyszłościowej perspektywy ludzkości. Do takich zasobów należą przede

wszystkim zasoby energetyczne, jak ropa naftowa, gaz ziemny czy węgiel. Należą do nich także metale.

Zwolennicy poglądu, iż nasza kula ziemską może pomieścić nieograniczoną niemal ilość ludzi wysuwają wątpliwy argument, iż w miarę wyczerpywania jednych zasobów używane będą inne jako substytuty. Pomijając już ograniczony charakter fizycznej zastępowalności pewnych surowców, jasne jest przecież, że *wszystkie ograniczone zasoby muszą wreszcie ulec wyczerpaniu*. Jeśli idzie o zasoby energetyczne, niewątpliwie najważniejsze, wskazują oni na możliwość wykorzystania np. nieograniczonej ilościowo energii słonecznej. Zapominają jednak, iż w trakcie zużywania jakiegokolwiek energii wydzielane jest ciepło, zaś ekologiczny system ziemski ma ograniczoną (choć trudną jeszcze do określenia) wytrzymałość (*carrying capacity*) jeśli idzie o temperaturę otoczenia. Innym przykładem granic wytrzymałości systemu są możliwości absorbowania coraz większej ilości wszelkiego rodzaju odpadów produkowanych przez stale rosnącą ilość mieszkańców globu.

Rozpatrując w dalszym ciągu perspektywę ekologiczną systemu ziemskiego, nietrudno zgodzić się z następującymi dwoma twierdzeniami:

- (a) im większa będzie *ilość* mieszkańców globu, tym bardziej wzrośnie ogólne zużycie zasobów ziemskich oraz nacisk na wytrzymałość systemu ekologicznego kuli ziemskiej;
- (b) im wyższy będzie materialny standard życiowy *większości* mieszkańców globu, tym szybsze stanie się tempo wykorzystywania tych zasobów.

Z tych dwóch czynników należy zwrócić szczególną uwagę na czynnik ilości. Zakładając bowiem nawet, że stopa życiowa mieszkańców globu pozostanie na tym samym poziomie, samo przeludnienie doprowadzić musi nieuchronnie do ostatecznych granic ekologicznych systemu ziemskiego.

Tak więc konkluzją krótkiej analizy perspektywy ekologicznej będzie następujące stwierdzenie: *światowa eksplozja demograficzna musi kiedyś nieuchronnie doprowadzić do załamania się systemu ziemskiego. Wszelka polityka pomagająca w utrzymaniu tej eksplozji i nie przeciwstawiająca się jej czynnie jest więc w rzeczy samej skierowana przeciwko interesom człowieka.*

5. Niebezpieczeństwo wojny nuklearnej

Przeprowadzona dotychczas analiza konsekwencji światowej eksplozji demograficznej zwróciła uwagę na dwa czynniki: radykalizacji mas ludzkich oraz zwiększającego się nacisku na ograni-

czone zasoby globu. Te dwa czynniki *razem* stwarzają jednak konieczność spojrzenia na omawiany tu problem z jeszcze jednej perspektywy. Jest nią niebezpieczeństwo światowego konfliktu nuklearnego.

Prawdopodobieństwo wybuchu takiego konfliktu zależy od dwóch czynników: (a) umiejętności wyprodukowania czy łatwości zdobycia broni nuklearnych oraz (b) ostrości zarysowujących się konfliktów. Obserwując arenę międzynarodową oraz zjawisko proliferacji nuklearnej nie trudno zauważyć, jak łatwo szereg biednych krajów potrafiło zdobyć technologię produkcji broni nuklearnych. Indie, Pakistan czy Irak stanowią tutaj najlepsze przykłady. W miarę narastania problemów wyżywienia coraz większej ilości ludności, przy uwzględnieniu postępującego procesu radykalizacji mas, zwiększać się będzie nacisk na przywódców tych krajów w kierunku odebrania czy przejęcia potrzebnych zasobów od innych krajów (przede wszystkie od krajów bogatych). Stąd już tylko logiczny krok do *szantażu nuklearnego*.

Znany fizyk australijski, jeden z współtwórców bomby atomowej w czasie drugiej wojny światowej, były gubernator Południowej Australii prof. Mark Oliphant tak przedstawił ten problem na konferencji Australian Institute of Food Science and Technology w maju 1975 roku:

„Na północ od nas żyją miliony głodnych ludzi. W tej chwili są oni zdeorganizowani, nie posiadają dużej marynarki wojennej czy lotnictwa. Niemniej jednak, mimo zapewnień (tych krajów), iż nie rozwiną lub nie zdobędą broni nuklearnych, jako naukowiec mogę stwierdzić, że kraje takie jak Indie są w stanie to uczynić, jeśli będą miały tego rodzaju zamiar”.

Fakt, iż możliwość tego rodzaju szantażu oraz prawdopodobieństwo wojny nuklearnej o kurczące się zasoby ziemskie nie zarysowuje się w perspektywie *najbliższych kilku lat* jest tutaj bez znaczenia. Na konsekwencje światowej eksplozji demograficznej trzeba patrzeć, rzecz jasna, z dłuższą perspektywą.

Nie sposób jednak zaprzeczyć, iż rosnąca szybko ilość mieszkańców globu zwiększa bezpośrednio niebezpieczeństwo wybuchu wojny nuklearnej. Tak więc *polityka pomagająca w utrzymaniu eksplozji demograficznej i nie przeciwstawiająca się jej czynnie prowadzi do zwiększenia możliwości zagłady ludzkości poprzez użycie broni nuklearnych.*

6. Geneza eksplozji demograficznej

Jakie są przyczyny światowej eksplozji demograficznej? Jakie uzasadnienie wielodzietnych rodzin? Jak dobrze wiemy, histo-

rycznie rodziny takie są typowe dla biednych mas ludności. Do połowy bieżącego stulecia, kiedy to zdobycze nowoczesnej medycyny zmniejszyły radykalnie śmiertelność niemowląt, liczne potomstwo w większości rodzin równoważone było przedwczesną śmiercią wielu dzieci oraz znacznie krótszą przeciętną życia w ogóle. W efekcie w poszczególnych rodzinach przeżywała (lub dożywała późniejszego wieku) tylko część ich członków. W skali społeczeństw czy rejonów świata oznaczało to stosunkowo powolny wzrost demograficzny. Tak na przykład w roku 1600 ludność naszego globu wynosiła 500 milionów. Podwojenie tej liczby zajęło około 200 lat, okres równy sześciu pokoleniom. Z 1 miliarda ludności w roku 1810 ilość mieszkańców globu podwoiła się znowu po 120 latach i w roku 1930 wynosiła 2 miliardy. Tym razem okres podwojenia był krótszy, zajął jednak całe cztery pokolenia. Po drugiej wojnie światowej ilość potomstwa przychodzącego na świat w biednych rodzinach nie uległa zasadniczej zmianie (tj. była nadal równie duża), lecz spadła znacznie śmiertelność i wydłużyła się przeciętna życia. Na skutek tego powstawało coraz więcej rodzin, w których szereg dzieci dochodziło do stanu dojrzałości, aby z kolei założyć własne rodziny. Przy obecnym tempie wzrostu w skali światowej — około 2 % rocznie — okres podwojenia ilości mieszkańców globu skurczył się do około 35 lat, a więc niemal do jednego pokolenia!

Jak wytłumaczyć zjawisko wielodzietnych rodzin wśród mas biednych ludzi, najgorzej sytuowanych i najmniej predestynowanych do utrzymania i wychowania liczego potomstwa? Istnieją po temu dwie główne przyczyny. Pierwsza to po prostu nieumiejętność zapobiegania ciąży. Druga — to dążność do posiadania jak największej ilości dzieci w oczekiwaniu, że przynajmniej niektóre z nich dożyją późniejszego wieku i zdołają zapewnić pomoc i opiekę innym członkom rodziny, niedołącznym czy starym. W tym sensie liczna rodzina była zawsze swego rodzaju odpowiednikiem współczesnej instytucji opieki społecznej.

Z punktu widzenia tej drugiej przyczyny posiadanie licznej rodziny należy wśród biednych ludzi do *tradycji*, której wyrazem są wszelkiego rodzaju zwyczaje, zabobony, a także *wierzenia religijne*. We współczesnym świecie, nawet w krajach najbiedniejszych, posiadanie liczego potomstwa (z jednej czy z drugiej z wymienionych przyczyn) jest niewątpliwie przejawem ciemnoty. Przy stosunkowo niewielkim wysiłku można bowiem nawet w najbiedniejszych rodzinach zdobyć wiedzę (i środki) pozwalające na zapobieganie ciąży. Jeśli zaś idzie o zabezpieczenie się na wypadek niedołączności lub choroby, to nawet w najbiedniejszych rejonach i zakątkach świata istnieją dziś w jakimś sensie lepsze niż dawniej możliwości uzyskania podstawowej opieki

lekarskiej lub jakiejś formy choćby najbardziej prymitywnej pomocy społecznej. Tak więc kontynuowanie praktyki „co rok — prorok” świadczy po prostu o braku uświadomienia i podstawowej wiedzy o współczesnym życiu. Obowiązek uświadomienia mas biednych ludzi spada na aparat państwowy, na organizacje społeczne, a także na kapłanów religii panujących na danym obszarze.

Bardziej niż państwo, czy organizacje świeckie *właśnie kapłani i duszpasterze* mają tutaj szczególną rolę do spełnienia. Wynika to z zaufania, jakim darzą ich masy ludzkie, z faktu iż w znacznym stopniu oczekują *od nich* wskazówek i oparcia w borykaniu się z codziennymi przeciwnościami nędznej egzystencji. Widać to doskonale na przykładzie dwóch największych krajów świata: Chin i Indii. W Indiach, kraju głębokiej wiary, panujące religie nie włączyły się do walki o zahamowanie eksplozji demograficznej. Ciężar tej walki spoczywa na administracji państwowej oraz organizacjach świeckich i mimo dużego wysiłku, pomocy międzynarodowej i nakładów pieniężnych akcja ta dotychczas nie przyniosła istotnych rezultatów. Pokazuje to wyraźnie wagę wierzeń religijnych i tradycji i — co się z tym wiąże — rolę religii w zahamowaniu przyrostu naturalnego. W totalitarnych Chinach państwo przywiązuje ogromną wagę do tej sprawy, nie szczędząc środków materialnych, propagandy oraz nacisku. Pomimo tego w tym zlaicyzowanym kraju program zmniejszenia przyrostu naturalnego może pochwalić się tylko częściowym, dotychczas niezadowolającym powodzeniem. Co więcej: istnieją liczne przykłady, iż ludność kieruje się nadal tradycyjnymi wierzeniami w tej materii. Niekiedy, jak w przypadkach zabijania przez rodziców niemowląt-dziewcząt w oczekiwaniu upragnionego syna, przybiera to tragiczne formy. Do sytuacji w Chinach i w Indiach powrócimy jeszcze w dalszych rozważaniach.

7. Rola wielkich religii

Komentując liczby podane w naszej tabeli stwierdziliśmy, iż łączna liczba mieszkańców rejonów objętych eksplozją demograficzną (Afryka, Azja, Ameryka Środkowa i Południowa) wynosi około 3 miliardów. Jeśli dla naszych dalszych rozważań z cyfry tej odliczymy ludność komunistycznych Chin — około 1 miliarda, pozostałe 2 miliardy ludzi, prawie połowa mieszkańców naszego globu, pozostają pod „duchowymi rządami” i kierunkiem czterech wielkich religii: islamu, buddyzmu, hinduizmu oraz Kościoła katolickiego. W Azji niemal całkowicie, w Afryce w dużym stopniu „rządy dusz” sprawują głównie trzy pierwsze religie. Z wielu względów nie spełniają one pozytywnej roli w dążeniu do za-

trzymania lub radykalnego zmniejszenia eksplozji demograficznej. Zakres naszych rozważań nie pozwala nawet na próbę analizy przyczyn takiego stanu rzeczy. Poprzestańmy więc na stwierdzeniu, iż w pewnym stopniu już sam charakter i struktura organizacyjna tych religii są dla takiej roli przeszkodą. Islam rozczłonkowany jest na różne odłamy, buddyzm stanowi bardziej filozofię jednostki aniżeli duchowy ruch społeczny, hinduizm wiąże się ściśle ze specyfiką układu społecznego jednego wielkiego kraju. Żadna z tych trzech religii — i to jest moment niezmiernie ważny — nie posiada poza tym mocno zbudowanej i dobrze zorganizowanej hierarchii opartej na centralnej dyspozycji i nadawaniu duchowego kierunku. Te właśnie cechy reprezentuje w skali światowej Kościół katolicki.

Z omawianych przez nas trzech rejonów świata Kościół sprawuje niepodzielny niemal „rząd dusz” w Ameryce Południowej i Centralnej. W tym sensie odpowiedzialny jest więc za los około 340 milionów ludzi. Jeśli do cyfry tej dodamy te kraje Afryki, w których właśnie Kościół katolicki (w odróżnieniu od innych kościołów chrześcijańskich) tradycyjnie nadaje kierunek duchowy, a także Filipiny oraz inne mniejsze punkty na terenie Azji, otrzymamy liczbę około 500 milionów dusz, za życie i przyszłość których Kościół katolicki ponosi główną odpowiedzialność. Wyraża się ona nie tylko w kategoriach tradycyjnie duszpasterskich czy dobroczynnych, lecz w ogromnym stopniu właśnie w postulatach *uświadczenia i oświecenia* w podstawowych sprawach współczesnego życia. Do nich należy dla tych właśnie biednych ludzi przede wszystkim sprawa *planowania rodziny* oraz sposoby *zapewnienia potomstwu jak najlepszych warunków i możliwości przeżycia*.

8. Stanowisko Kościoła

Kościół katolicki uchyla się jak dotychczas od spełnienia historycznego obowiązku wobec ludzkości, od energicznego włączenia się do akcji propagowania planowania rodziny i *zapobiegania* ciąży. Energia Kościoła skupiona jest na zwalczaniu coraz bardziej powszechnych praktyk *przerwywania* ciąży w wielu rejonach świata. Stanowisko czy polityka ta opiera się na zasadzie świętości życia ludzkiego. Nie ma powodów ani podstaw do kwestionowania tej zasady. Trzeba jednak pamiętać, iż przerywanie ciąży jest często tragicznym i spóźnionym substytutem innych sposobów planowania rodziny, desperackim krokiem zrozpaczonej kobiety, która uniknęłaby go chętnie, gdyby znała pełną gamę środków czy sposobów *zapobiegania* ciąży.

Jak powszechnie wiadomo, w sprawie *zapobiegania* ciąży i kontroli urodzeń Kościół nie zajął nigdy konstruktywnego stanowiska mającego *propagować* i *upowszechniać wśród wiernych* określone środki czy metody. W sposób pasywny doktryna Kościoła zaaprobowała tzw. metodę naturalną, opartą na cyklach owulacyjnych kobiety, powszechnie znaną także jako metoda Ogi-no-Knaus i jej pokrewne.

W roku 1968 ogłoszona została encyklika papieska znana jako *Humanae vitae*, która zajęła się m.in. problemem *zapobiegania* ciąży. Jeśli idzie o środki czy metody, to rozróżniła ona naturalne i sztuczne, potępiając w zasadzie te drugie. Wiosną 1980 roku prof. F. J. Elizari dokonał w artykule opublikowanym w *Theology Digest* pt. „Dziesięć lat *Humanae vitae*” przeglądu wypowiedzi i ocen, które ukazały się w interesującej nas materii w czasie minionej dekady. Warto zaznaczyć, iż autor jest profesorem teologii moralnej w Instituto Superior de Ciencias Morales Uniwersytetu Papieskiego w Madrycie. Ogólna reakcja wobec encykliki „*Humanae vitae*” nie była pozytywna. Według sondażu przeprowadzonego przez *New York Times* w roku 1977 — 77 % katoliczek w USA praktykowało *zapobieganie* ciąży. Z tej liczby ogromna większość (94 %) używała środków sztucznych. Tylko 29 % niższego kleru uznawało sztuczne środki za moralnie nie do przyjęcia.

Po dokonaniu przeglądu opublikowanych w ubiegłym dziesięcioleciu wypowiedzi prof. Elizari dochodzi do szeregu wniosków na temat moralności *zapobiegania* ciąży i kontroli urodzeń. Trzeba podkreślić, iż w rozważaniach tych pominięty jest temat *przerwywania* ciąży. Oto niektóre wnioski:

- *Humanae vitae* nie jest dokumentem nieomylnym, dopuszcza się więc odrębne opinie w przedmiocie tej encykliki;
- Nie ma podstaw dla stosowania oceny moralnej w zależności od tego, czy środki lub metody są naturalne czy sztuczne. „Ocena moralna metod opierać się musi na tym, czy spełniają one pozytywną rolę wobec jednostki i społeczeństwa”;
- Potępienie z góry środków czy metod sztucznych nie jest usprawiedliwione na gruncie moralnym;
- Przyjmując wspomnianą encyklikę za normę postępowania, małżeństwo może uznać iż obok celu prokreacji ma ono również obowiązek unikania ciąży, względnie rozłożenia ich w czasie;
- *Humanae vitae* uznało ważność sztucznych metod *zapobiegania* ciąży „dla celów zdrowotnych”. Pojęcie to rozszerzone zostało na zdrowie fizyczne i psychiczne oraz na cele lecznicze lub *zapobiegawcze*.

Z powyższego przeglądu wynikają dwa podstawowe wnioski. Po pierwsze przytoczone tendencje interpretacyjne mają wyraźnie charakter *rozszerzający* i pozostawiają możliwość pełnego uznania przez Kościół również pewnych typów sztucznych środków antykoncepcyjnych. Po drugie w dalszym ciągu widać wyraźnie ogólny charakter oraz niejasność używanych sformułowań, pasywny (defensywny) charakter zajmowanego stanowiska oraz dążność do przemilczania czy wprost bagatelizowania problemu zapobiegania ciąży tak długo, jak tylko będzie to możliwe.

Do podobnych wniosków dochodzi się niestety studiując jedną z ostatnich wypowiedzi Jana Pawła II w tej materii. Jest nią przemówienie wygłoszone 3 lipca 1982 roku na spotkaniu z uczestnikami kursu Centrum Badań i Studiów Naturalnego Regulowania Płodności, pod protektoratem Wydziału Medycyny Katolickiego Uniwersytetu Serca Świętego. Przemówienie to opublikowane zostało w *Osservatore Romano* 12 lipca 1982. Oto kilka wyjątków z tej wypowiedzi Papieża:

- „Regulowanie płodności... stało się jednym z najbardziej delikatnych i pilnych problemów współczesnych rodzin”.
- „Stoimy w obliczu potężnego zadania: świat znajduje się pod naporem coraz większej ilości metod zapobiegania ciąży”.
- „Biorąc pod uwagę, iż warunki poszczególnych małżeństw są tak różne ze względu na różnice kultur, ras, sytuacji osobistej itd., jest rzeczą opatrnościową istnienie różnych metod, mogących lepiej odpowiadać tak różnym sytuacjom”.

Niestety Papież nie wychodzi poza stwierdzenie tych oczywistych faktów. Na próżno by szukać w tym ważnym przemówieniu nakazu rozszerzenia interpretacji przyjętych już przedtem przez Kościół dokumentów, np. po linii wypowiedzi relacjonowanych przez prof. Elizari, nie mówiąc już o inicjatywie podjęcia walki o zmniejszenie przyrostu naturalnego w skali światowej.

W obronie pasywnego stanowiska Kościoła w tej materii słyszy się czasem głosy, iż w wielu katolickich krajach nastąpił znaczny spadek przyrostu naturalnego bez potrzeby włączania się Kościoła w propagowanie czy popieranie tej tendencji. Podaje się tu jako przykłady takie kraje jak Belgia (przyrost 0,2 % p.a.), Francja (0,6 %), Włochy (0,7 %), Polska (0,9 %) i inne. Argumentacja tego typu dowodzi przeoczenia lub pominięcia dwóch istotnych czynników. Po pierwsze wszystkie wymienione kraje odznaczają się dużym stopniem *ogólnego wykształcenia* ludności. Warto podkreślić właśnie wykształcenie raczej niż zamożność. Ten czynnik wyjaśnia na przykład niski stopień przy-

rostu naturalnego w Polsce, która jest przecież znacznie biedniejsza niż Belgia czy Francja. Po drugie w szeregu z wymienionych krajów nastąpił daleko posunięty *proces laicyzacji* czy też pewnego odejścia od Kościoła. To również może w jakimś stopniu wyjaśniać, iż ludność określająca się jako katolicka praktykuje szereg form planowania rodziny niezależnie od stanowiska Kościoła lub nawet wbrew jego zaleceniom. Wróćmy jednak do naszych trzech rejonów krajów zacofanych czy rozwijających się i zauważmy, iż właśnie te dwa czynniki nie odnoszą się do warunków panujących w tych krajach. Masy biednych ludzi są tam wszakże „ciemne” czy niewykształcone, a także — w odróżnieniu od współwyznawców z bogatszych krajów katolickich — jak wszyscy biedni ludzie o wiele bardziej przywiązane i uzależnione od religii i Kościoła. Ten właśnie podstawowy fakt nakłada na Kościół katolicki szczególne obowiązki i stanowi historyczne wyzwanie w obliczu narastającego przeludnienia świata i jego następstw.

Silnego podkreślenia wymaga tutaj jeszcze jeden moment. W krajach o wysokiej stopie przyrostu naturalnego, wyrażającego się cyframi 2, 2,5, 3 lub 3,5 procent rocznie, zaistniał *tragiczny impas*. Niska stopa wzrostu dochodu narodowego nie pozwalała na zwiększenie (przez władze świeckie) uświadomienia i tym samym podniesienie standardu życiowego, co stopniowo doprowadziłoby do zmniejszenia eksplozji demograficznej. Z drugiej strony utrzymująca się wysoka stopa przyrostu naturalnego stanowi główną przeszkodę rozwoju gospodarczego i podniesienia stopy wzrostu dochodu narodowego. W tym miejscu warto powrócić do przykładów Indii i Chin. W Indiach, gdzie wielkie religie nie włączyły się do akcji zmniejszenia przyrostu naturalnego i cały jej ciężar spoczywa tylko na czynnikach i organizacjach świeckich, nastąpiło wyraźne *obniżenie* przeciętnego standardu życiowego. Przytoczone w naszej tabeli cyfry wykazują w ciągu dekady lat 1970-tych 2,1 % rocznego przyrostu naturalnego i tylko 1,6 % wzrostu dochodu narodowego brutto. Biorąc pod uwagę, iż ten wielki kraj zamieszkuje blisko 16 % ludności globu oraz iż należy on do grupy krajów posiadających broń nuklearną — wymowa przytoczonych cyfr nie wymaga dalszych komentarzy. Stanowiąc to może memento dla Kościoła, w jakim kierunku nieuchronnie potoczą się sprawy, jeśli panująca religia nie włączy się czynnie do akcji powstrzymywania wzbierającej fali powodzi ludzkiej.

Doświadczenie Chin ilustrują dwa zjawiska. Liczne wypadki uśmiercania niemowląt-dziewcząt w oczekiwaniu na upragnionego syna w sytuacji kiedy „wolno” mieć tylko jedno dziecko są

przedmiotem artykułu w oficjalnym *Beijing Review* z 31 stycznia br. Artykuł informuje, iż chińskie *massmedia* włączone zostały do akcji demaskowania i potępiania tego proceduru. Podkreśla on jednocześnie, że „tysiącletnie zwyczaje (preferencji syna) powoli tylko idą w zapomnienie”. Czym jest to stwierdzenie jeśli nie jeszcze jednym dowodem, iż pozostawianie planowania rodziny jedynie w rękach władz świeckich nie przynosi zadowalających rezultatów? Pamiętajmy przy tym, iż dzieje się to w kraju dyktatury totalitarnej, gdzie przeprowadzenie pewnych postulatów środkami administracyjnymi jest o wiele łatwiejsze. O ile więc ważniejsza jest rola tradycji i religii w innych krajach, o ile większa odpowiedzialność „rządców dusz”. Drugim momentem jest sama *skala problemu*. W tymże *Beijing Review* z 8 listopada 1982 roku podane są wyniki ostatniego spisu ludności, który przeprowadzony został 1 lipca ub. roku. Według tego spisu ilość mieszkańców Chin (łącznie z Tajwanem) wynosiła blisko 1,032 miliarda, a na przestrzeni 18 lat (od poprzedniego spisu w roku 1964) przyrost naturalny wynosił przeciętnie 2,1 % rocznie. Mimo wprowadzenia drastycznej zasady zezwalającej obecnie na posiadanie tylko jednego dziecka w rodzinie, władze liczą się z różnym stopniem możliwości powodzenia tej polityki. Czołowy artykuł w *People's Daily*, oficjalnym organie Chińskiej Partii Komunistycznej z 30 stycznia br., przewiduje dwa scenariusze. Według optymistycznego ludność Chin przy końcu bieżącego stulecia (a więc za 17 lat) wynosić będzie 1,200 miliarda mieszkańców. Według pesymistycznego scenariusza liczba ta może okazać się znacznie wyższa i wyrażać się cyfrą 1,480 miliarda. Istotne są jednak konsekwencje obu scenariuszy. Zakładając, iż istniejący obszar uprawy zostanie utrzymany i nie nastąpi szybka utrata dużej ilości ziemi na rzecz rozwoju przemysłu, budownictwa mieszkaniowego i transportu (drogi, koleje), w wypadku optymistycznego scenariusza ilość żywności jaka przypadnie w roku 2000 na jednego mieszkańca wynosić będzie 400 kg. W drugim przypadku cyfra ta spadnie drastycznie (o jedną czwartą), do 300 kg na osobę.

Ludność Chin stanowi niemal 25 % ludności świata. Przytoczone cyfry mają znaczenie ogólne, gdyż ilustrują *podstawową zależność* rozwoju zacofanego kraju od rozwiązania problemu demograficznego. Jest to zależność matematyczna, cyfrowa, nie mająca nic wspólnego z systemem politycznym panującym w danym kraju. Odnosi się więc ona także do innych rejonów świata i wskazuje na wagę i skalę problemu. To z kolei musi uzmysłwić Kościołowi wymiar problemu w krajach jego „duchowych rządów” oraz stopień odpowiedzialności za dalszą obojętność w sprawie przeludnienia świata.

9. Wnioski

Tadeusz Nowakowski w książkach „Reporter Papieża” i „W bagażniku Jego Świątobliwości” przekazuje spostrzeżenia i obrazy z pielgrzymek Papieża do krajów Trzeciego Świata:

„Istotnie ten 'papież dla ludzi' dla każdego miał uśmiech i dobre słowo. Zwłaszcza dla bezbronnej biedoty... Stałem w pobliżu tych nieszczęsnych postaci, skulonych pod ciężarem istnienia i podwójnej ciemnoty. Ze ściśniętym sercem wpatrywałem się w twarze-mapy klęsk. Wcale nie rozgniewane jak na rewolucyjnych obrazach Diego Rivery, lecz apatyczne, nieistniejące. Oto dziecko przeraźliwie chude, oparte o chlewik. Nie to mnie przerażyło, że jego oczodoły czarne były od much, ale to że już nie odpychał owadów od oczu, ręce zwiślały mu wzdłuż ciała. Miednica, kości biodrowe po oświecimsku przebijały skórę”. (Meksyk)

„W misji katolickiej Namalu, w Ugandzie, co dnia grzebiemy 5 zagłodzonych na śmierć dzieci. Tylko Bóg jeden zna przyszłość dzieci w rejonie Turkana, w stosunkowo zamożnej Kenii, gdzie do 40 tysięcy nędzarzy przyszlusowały 2 tysiące uciekinierów z Teso w Ugandzie. Setki głodnych dzieci ruszyły dnem wyschniętej rzeki do wioski Kakuma na wiadomość, że biali osadnicy wyrzucają odpadki jedzenia do blaszanych beczek”... „Za dużo jemy — mówi wstrząśnięty kardynał Casaroli. — Jeden posiłek dziennie powinien nam wystarczyć, gdy połowa świata głoduje”... „A Rzym nie powinien nam wystarczyć, gdy połowa świata głoduje”... „A Rzym upiera się, że regulacja urodzin jest grzechem — mruczy pod nosem Mrs Thompson, prezeska *Family Planning*”.

„Przypominam sobie, że w Cuilapan w Meksyku stary metys zawałał do papieża: — Powiedzieliś, że ubodzy są nadzieją Kościoła. Zobacz więc, jak ta nadzieja żyje, jak wegetuje!”.

„(W favelach w Rio de Janeiro) nędza ludzka, to wijące się w brudzie dwunożne robactwo usadowiło się na palach, podmywanych na lagunie żółtą, cuchnącą wodą... Nędza i choroby sprawiły, że ci na palach wegetują w ośpieniu. Przed tygodniem wpadło tu dziecko do wody. Nie zdołano na czas wydobyć z paszczy krokodyla. Matka zamiast rozpacząć wrzuciła ramionami: — Mam jeszcze sześcioro innych — ... (Papież) smutnym okiem rozgląda się po krajobrazie kontrastującym z nieopodal błyszczącym luksusem. W pewnej chwili odruchowo ściąga z palca pierścień, który otrzymał w czasie konsystorza od Pawła Szóstego w roku 1967 — jakby mu złoto paliło ręce — i wręcza go w darze przedstawicielowi faweli”.

Czy po tym wszystkim tak trudno zauważyć, iż właśnie światowa eksplozja demograficzna — *The Population Bomb* — stanowi bezpośrednią przyczynę bezmiarów ludzkiej nędzy i nieszczęścia?

Postulat rozwiązania problemu demograficznego, zatrzymania czy radykalnego zmniejszenia przyrostu naturalnego wymaga *wyrwania* określonych rejonów i krajów świata z tragicznego impasu. Dla dokonania tego nie może wystarczyć bierne *przywolenie* na nieśmiałe próby planowania rodziny. Niezbędne

jest aktywne i energiczne podjęcie potrzebnej akcji na skalę światową.

Z wizyty Papieża na Filipinach jego kronikarz Tadeusz Nowakowski zapisuje następującą własną uwagę:

„Dzięki ... akcji uświadamiającej ... liczba urodzin na Filipinach spadła ostatnio z 3,4 % do 2,7 %.

Czy właśnie to osiągnięcie ... spotka się z aprobatą Rzymu i episkopatu filipińskiego?”.

A przecież *ponadto*:

The Population Bomb to radykalizacja mas Trzeciego Świata i dalsze sukcesy komunizmu w podboju świata.

The Population Bomb to groźba załamania się systemu ekologicznego naszego globu.

The Population Bomb to także zwiększenie niebezpieczeństwa wybuchu wojny nuklearnej, mogącej doprowadzić do zagłady ludzkości.

Jak długo jeszcze Kościół pozostanie obojętny wobec przeludnienia świata?

Jerzy BONIECKI

Sydney, luty 1983 roku

Życie na niby czyli opcja obojętna

Cała Zachodnia Europa trzęsie się z emocji na temat: co będzie z amerykańskimi wyrzutniami raket *Pershing 2* w zachodnich krajach, czy Andropow się ugnie przed reaganowską „opcją zero”, czy też Reagan w ostatniej chwili się rozmyśli, może dogadają się w Genewie, uwzględniając nowy sowiecki *trick*, każący włączyć do rokowań „prywatne” bomby francuskie i angielskie — i tak dalej i dalej.

Jednocześnie opinia „szarych ludzi” również nie pozostaje bezczynna, przeciwnie: mnożą się namiętne i szlachetne manifestacje pokojowe przeciwko broni nuklearnej i jej instalowaniu w Zachodniej Europie, Kościoły wzywają do „dialogu”, prasa plotkuje i przepowiada, że gdyby w RFN rządzić mieli po wyborach socjaliści wraz z „zielonymi”, to na amerykańskie wyrzutnie się nie zgodzą, mimo że rosyjskie SS 20 już stoją wycelo-

wane. Pismo *Die Zeit* opisało dokładnie, gdzie w Niemczech znajduje się miasteczko i las, w którym umieszczone ma być 90 wyrzutni amerykańskich głowic, zaś Hans-Jochen Vogel w wywiadzie dla *Spiegla* dyskretnie obnażył wszystkie nurtujące go lęki i podwójne myśli. Gromyko ostrzega i grozi, Kohl się zarzeka i zapiera, Bush i Schultz pielgrzymują, amerykański episkopat katolicki szykuje się do protestu przeciw niszczeniu świata. W ogóle wszyscy idealisci zachodni protestują — a poker trwa.

Lecz dziwna rzecz: irytująca masy atmosfera Wielkiego Atomowego Pokera trwa tylko na Zachodzie. Natomiast w Europie środkowo-wschodniej, przynależnej do Paktu Warszawskiego, w Warszawie, Budapeszcie, Kijowie, Pradze, Jassach, w Szczecinie, Lipsku, Wilnie, Sofii, Bukareszcie, Rydze — nic podobnego. Ciśsza, spokój, gdy chodzi o atomy — nikt się nie boi, nie krzyczy, nie trzęsie, nie demonstruje. Acha, prawda, rządy, parlamenty, instytucje, prasa, owszem, wołają jednym głosem, że reaganowska „opcja zero” to zagłada atomowa świata, zagłada zaś jest w ogóle rzeczą okropną, arcyniemoralną i antyhumanistyczną. Ale też każdy już, nawet na Zachodzie wie dobrze, iż we wschodniej Europie propaganda rządowo-prasowa nie ma nic wspólnego z szeroką opinią „obywateli”. Zaś ta szeroka opinia gwizdże sobie bez troski na wszelkie opcje zerowe czy nie zerowe, na wszelkie pertraktacje i straszenia oraz wielkie słowa. Ba — nikt tam nie zaprzęta sobie wyobraźni samą że „atomową śmiercią” i związanymi z nią wizjami: ludzie mają swoje większe zmarzwienia, takie kosmiczne sprawy po prostu ich nie dotyczą...

Brak wyobraźni, niedostatek wrażliwości, straceniowa odwaga?! — pyta często, przekroczywszy kurtynę, dziennikarz zachodni. Nie — odpowiadamy na to — to po prostu specyficzna, realistyczna mądrość ludzi doświadczonych. Ludzie ci, Europejczycy ze wschodniej strefy, przekonani są, że cała rakietowo-wyrzutniowa dyskusja jest na niby. Że Rosja, jak zawsze, dla odwrócenia uwagi manewruje na przedpolach, organizuje przeróżne dyskusje w Genewach, Wiedniach, Madrytach, aby dać zajęcie zachodnim dyplomatom i politykom, odwrócić ich uwagę od jedynego w tym wszystkim poważnego faktu: że Imperium musi zyskać na czasie, aby trawić w spokoju swe historyczne nabytki — Łotwę, Litwę, Estonię, Polskę, Czechosłowację, Węgry, Rumunię (także), Bułgarię, NRD, Afganistan i rozmaite inne, luźniej dotąd politycznie z centralą związane kraje. Fakt, że Zachód uznał podboje drugiej wojny światowej w Europie, czyli sztywny podział kontynentu, co uwydatnione jest wyraźnie, gdy się mówi o pertraktacjach krajów *Paktu Atlantyckiego* z krajami *Paktu Warszawskiego*, ten fakt i jego słowna forma przesądzą o wszystkim. Żaden Europejczyk spoza „kurtyny” nie uważa się wszakże za członka jakiegoś tam *paktu warszawskiego*, lecz za mimowolnego poddanego Wschodniego Imperium. Zgoda Zachodu na „paktową” nomenklaturę jest już pokerową przegraną, bo w pokerze słowa nader są ważne, bardziej decydujące niż liczba

wyrzutni. Dalszą zaś pokerową rozgrywkę, skoro przeciwnik przyjął już jako własną narzuconą sobie płaszczyznę terminologiczną, poprowadzą wytrawni psychologiczni gracze: Gromyko, Zamiatin, Fallin, Arbatow. Czasu mają dosyć, boć wyrzutnie SS 20 już stoją, mogą więc rzecz przewlekać, udając że naprawdę chodzi o pokera, podczas gdy czas pracuje dla nich, bo utrwała się dalsze, na dziesięciolecia obliczone PRZYZWYCZAJENIE zachodniej opinii do sytuacji. Zaś w rozszyfrowaniu tej opinii pomaga wschodnim czarodziejom sama że zachodnia prasa: niedyskretna, wrażliwa, trwożna, różnorodna, i goniąca za efektami i doraźną popularnością, po prostu wolna. Tak to wolność obraca się przeciw samej sobie.

Oczywiście — w tym pozorowanym pokerze istnieje jedna karta autentyczna i wyjątkowo silna, jeden *joker*: to prezydent Reagan ze swoją „opcją zero”. Ale co mądrzejsi prorocy w naszych krajach nie bardzo wierzą w jego niezłomność. Ugiął się przed własnymi farmerami i sprzedaje Rosji zboże, osłabnie i ugnie się przed nowymi wyborami, a że już za dwa lata... Partner wschodni wie to doskonale (o prezydenckich słabościach informuje go zresztą znakomita amerykańska prasa), wie i czeka na „rozmyślenie” sprawy w przeróżnych, coraz to dłuższych konferencjach. Czas pracuje dla Wschodu i dla jego niezmiennie od dziesięcioleci ustalonego i na przyszłe dziesięciolecia obliczonego strategicznego celu: maksymalnie zneutralizować resztkę europejskiego zachodniego półwyspu, zwałęgo się dumnie Europą, maksymalnie rozluźnić jego związki z Ameryką, tłumacząc mu dobitnie jak niewygodną i przykrą w międzykontynentalnej erze atomowej okazać się może rola małego a gęsto zaludnionego amerykańskiego przyczółka. Filozofia neutralizacji zachodu Europy nie zmienia się, choć przybiera różne nazwy i formy, choćby znanego niegdyś *Planu Rapackiego*. Propozycja Moskwy wobec Amerykanów jest w tych „planach” prosta: my wycofamy się za Bug, a wy — za Atlantyk. Jak w owym dowcipie o pasztecie, gdzie dano po równi mięsa końskiego i zajęczego: jeden koń przypadł na jednego zajaca.

A więc fakt, iż Europejczycy ze strefy wschodniej, czyli w rzeczywistości ze środkowej Europy, ani nie boją się atomowej śmierci, ani nie przejmują sporem o rozmieszczanie po ich bokach rakietowych wyrzutni nie wynika z nieczułości czy braku wyobraźni, lecz przeciwnie: z nadmiaru gorzkawej wiedzy i wyobraźni. Każdy człowiek u nas wie doskonale, że na świecie dosyć jest broni nuklearnej aby parokroć zniszczyć kulę ziemią i że jakkolwiek istotny konflikt zbrojny między supermocarstwami automatycznie zmienić się musi w globalną wojnę atomową. Tenże wschodni człowiek jednak wie również, że on w swoim stroju nie będzie miał na tę sprawę najmniejszego wpływu i że wszelkie debaty oraz pokerowe rozgrywki na temat takiego czy innego rozmieszczenia rakiet to są manewry dalekie a pozorne, taktyczne i nieistotne. W polityce międzynarodowej przyjęto bowiem od lat zasadę, iż nie porusza się PRAPRZY-

CZYNY europejskiego czy światowego rozbitcia, dyskutując tylko na piętrze technicznym, np. właśnie o rozmieszczeniu wyrzutni. Zapomniano w menażerii o słońcu, dla Zachodu ów słoń to już banał, o którym łatwo zapomnieć, dla Wschodu to najrealniejsza z realności, codzienne obcowanie z nią zdecydowało o owym obojętnym fatalizmie społeczeństw, których od lat 40 nikt nie pytał o zdanie.

Z perspektywy Warszawy, Pragi czy Budapesztu jasne jest, że wszelkie dyskusje o wyrzutniach są pozorowane i nie mają nic do rzeczy, jeśli ani słowa się nie mówi o istotnych przyczynach, dla których mogłaby kiedykolwiek wybuchnąć wojna. Gdyby ktoś podchodził do sprawy trwałości pokoju poważnie i chciał leczyć przyczyny choroby a nie jej skutki, ten — sądzi się u nas — musiałby wciąż na nowo wszczynać zaniechaną debatę na temat dlaczego Wschodnie Imperium podporządkowało sobie i wchłonęło kraje środkowej i wschodniej Europy. Jeśli takiej debaty się nie wszczyna, jeśli ów temat, widocznie mało dla Zachodu ważny, jest z oficjalnej dyskusji milcząco wykluczony, to o czym tu w ogóle gadać?! Wszystko inne to dla nas, za Łabą, sprawy nieistotne, to wyreżyserowane manewry taktyczne, mające zamaskować nieautentyczność życia na niby. Pewny tu jest rzekomo tylko jeden fakt: że to my właśnie, naszą nieruchomością, fundujemy światu pokój. A każdy nasz samodzielny ruch musi, podobno, temu pokojowi zagrozić — zaś pokój jest wartością nad wartościami, ponad wszystkie inne. Kiedys nasz sławny wieszcz narodowy Mickiewicz modlił się dla Polski „o wojnę powszechną ludów”. Dziś, w epoce atomów, modlitwa taka byłaby bluźnierstwem.

Czy istnieje wyjście z tego europejskiego a i kosmicznego pata? Dla Zachodu jest w tym trudność ogromna: chcąc zmienić sytuację trzeba zacząć od ponawianego udowadniania „Wielkiemu Bratu”, że nas siłą opanował i trzyma. Na pozór dziecinnie to łatwe, w istocie, przy przepaści dzielącej nasze światy, dla zachodnich polityków bezbrzeżnie trudne, a dla zachodniej opinii — wręcz niemożliwe. Bowiem na pozór nie ma u nas przemocy, można przeżyć życie, nie widząc sowieckiego żołnierza, system działa SAMOCZYNNIE. Gdy czasem owa samoczynność zawodzi, gdy potrzebna staje się bezpośrednia interwencja, jak w Berlinie w 1953, w Budapeszcie i Warszawie 1956, w Pradze 1968, w Gdańsku i Szczecinie 1970, w Warszawie 1981 — są to chwile porażki systemu, nad którymi Moskwa zawsze długo choć po cichu ubolewa, jej bowiem właśnie głównym a ulubionym atutem jest bardzo dyskretne ukrycie siły, a wyeksponowanie mechanizmu społecznie samoczynnego. Po każdym takim wyłomie, przez który wytryska na chwilę autentyczne życie, dużo jest usilnej pracy rządzących, aby znów przywrócić nieruchomą formę. Ci rządcy to wielcy pesymiści co do ludzkiej natury, a także dialektyczni filozofowie władzy. Wiedzą, że czas i przyzwyczajenie pracują dla nich, że nawet do berlińskiego muru przyzwyczaić się można.

Na czym polega owa samoczynność naszego systemu? W tym sęk, że bardzo to trudno wam wytłumaczyć. Kursowała kiedyś w Warszawie anegdotka, jak to Mussolini, Hitler i Stalin chcieli zmusić kota do jedzenia musztardy. Mussolini próbował go namówić patetycznymi mowami, Hitler groził rewolwerem, obaj nie osiągnęli rezultatu. Natomiast u Stalina kot wyjadał musztardę pilnie a dobrowolnie ponieważ... wsmarowano mu ją pod ogon.

Trudno byłoby na tym miejscu opisywać dokładnie materialne i psychologiczne właściwości naszego systemu, sprawiające że całymi dziesiątkami lat działa on na pozór (a i nie na pozór) samoczynnie. Napisano o tym wiele książek, zapoczątkowanych przez niejakiego Zamiatina (1920) i niejakiego Orwella, lecz politykom Zachodu wiele to nie pomogło. Ogólnie mówiąc, osobliwość mechanizmu opiera się na podziale ludności na przeróżne, nawzajem się „za twarz” trzymające grupy i dykasterie (np. partia i bezpartyjni), na dziwacznej, absorbującej i denerwującej zawiłej biurokratyzacji państwowej produkcji, na specyficznych warunkach społecznego czy politycznego pseudoawansu, na monopolu totalnej propagandy i ideologii oraz na specjalnie umownym słownictwie, na przeróżnych odgórnym mistyfikacjach, szantażach i działaniach pozornych, na nerwowości życia, na... ale to temat zbyt szeroki, grunt, że nie decydują garnizony lecz — psychologiczne czarodziejstwo. I oto po takiej czterdziestoletniej terapii duchowej rodzą się ludzie zrezygnowani a sceptyczni, melancholicy i fataliści, których nic nie zdziwi ani nie poruszy, nawet wizja latających im nad głowami bomb atomowych z niemieckich i rosyjskich wyrzutni. A nawet gdy im kto udowodni, że to nie tylko nad głową, lecz że jedna taka bomba padnie w sam środek Wisły pod Warszawą, też się nie wzruszą, twierdząc że skoro wszystko jest na niby, to i taka wizja też zgoła jest nieprawdziwa... Dziwni ludzie, ale też przecież Europejczycy, w dodatku centralni.

Czy ludzi ci, po najdłuższym życiu Wschodniego Imperium, mogliby wrócić kiedyś ze swej Krainy Pozorów do normalnych praw europejskiego ciężenia, czyli przyciągania Ziemi? Ha, przed tym szczątkowa Stara Europa musiałaby zrozumieć, co straciła, gdy zaledwie w dwadzieścia lat po uwolnieniu tych społeczeństw z konserwatywnej stuletniej tyranii *Świętego Przymierza* pozwoliła im zatonać w mroku straszliwej wojny, której impuls zrodził się wszakże w samym sercu owej, chrześcijańskiej rzekomo, Europy. Poświęcono Czechosłowację, poświęcono Polskę, poświęcono kraje bałtyckie, za nimi stoczyli się inni, aby wynurzyć się po latach, lecz tym razem dziwnie przemienieni, ujęci w formy życia na niby. Cóż dziwnego, że zanurzeni w swoim świecie „wiadomości złego i dobrego”, z małą dozą zrozumienia i szacunku obserwują pokerowe rozgrywki, którym oddają się ex-możni tego świata na skąnym terenie szczątkowego półwyspu Eurazji, zwanego dziś Europą?

Stefan KISIELEWSKI

Kraj

Wywiad z wydawnictwem «Kraj»

Pytanie: — Kiedy powstało wydawnictwo „Kraj”?

Odpowiedź: — Wydawnictwo „Kraj” zostało utworzone przez grupę osób, wywodzących się ze środowiska *Głosu*. To już przebrzmiały sprawy, nieistotne wobec tego, co zdarzyło się w kraju w ciągu ostatnich dwóch lat. Ogólnie można powiedzieć, że chcieliśmy być wtedy nieco dalej od polityki, a ściślej — od rozgrywek politycznych w tonie opozycji demokratycznej. Pragnęliśmy wydawać książki wartościowe, o charakterze „ponadczasowym” — takie, do których można by sięgnąć za pięć, dziesięć czy dwadzieścia lat, które można będzie kiedyś dać do czytania naszym dzieciom. Kiedy zdecydowaliśmy się na odejście z *Głosu*, szukaliśmy nowej nazwy dla przyszłego wydawnictwa. Na pomysł wpadł jeden z weteranów firmy, ówczesny szef kolportażu. Jakoś od razu nazwa nam się spodobała; po raz pierwszy ukazała się na książce wydanej przez nas w lutym 1981 roku.

Pyt.: — Co to była za książka?

Odp.: — Maurycego Mochackiego „Historia powstania narodu polskiego” tom II (tom I ukazał się jeszcze pod firmą *Głosu*), wkrótce potem Stefana Korbońskiego „Polskie państwo podziemne” (wyd. I).

Pyt.: — Wróćmy jeszcze do początków wydawnictwa. Jakim sprzętem dysponowaliście?

Odp.: — Kilkom zdezelowanymi powielaczami firm Rex Rotary i Gestetner. Gdyby udało nam się kiedyś — jest to obecnie mało możliwe ze względów bezpieczeństwa — opowiedzieć nieco więcej o tym, w jakich warunkach pracował (wydajnie!) ten sprzęt, to... obie firmy powinny nam podziękować za reklamę!

Pyt.: — A może jednak parę szczegółów...?

Odp.: — Naprawdę niedużo z naszych perypetii można ujawnić. Sprzęt wożony jest — i to bez żadnej amortyzacji — różnymi samochodami (najzabawniej wygląda powielacz w Fiaciku 126p) często po polnych drogach. Maszyny pracują w zimie, nawet poniżej 0°, w wilgoci (kiedy na przykład woda kapie po ścianach), często obsługiwane przez ludzi mających blade pojęcie o drukowaniu. Drukuje się na papierze, którego jakoś urąga wszelkim normom przyjętym w cywilizowanych społeczeństwach. Niektóre części zamienne (praktycznie wszystkie poza wałkami, paskami klinowymi i pewnymi elementami mechanizmu farbowego) można dorobić w kraju. Nie są to, rzecz jasna, części tak wartościowe jak oryginalne — mimo to wałki się kręcą...

Pyt.: — Czy rzeczywiście w tak szybkim tempie?

Odp.: — Dla uzmysłowienia skali produkcji drobny przykład: Korbońskiego „Polskie państwo podziemne”, wydanie I — marzec 1981 roku: nakład 4 tys. egzemplarzy po 150 stron = 600 tys. stron = 600 ryz papieru formatu A-4 (prawie 2 tony). Wszystko w warunkach improwizacji, przy wilgotnym papierze, nieoryginalnej farbie, utrudnionym dojeździe do drukarni itp. Okres produkcji — około trzech tygodni, przy czasie pracy przekraczającym 10 godzin dziennie.

Pyt.: — Skąd ten pośpiech?

Odp.: — Chodzi o bezpieczeństwo: im szybciej się kończy produkcję, tym mniejsza możliwość wpadki.

Pyt.: — A były wpadki?

Odp.: — Od sierpnia 1979 roku (zaliczamy więc nasz staż w *Głosie*) do końca 1982 roku — dwie spore, ale nie katastrofalne. To bardzo mało, jak na panujące warunki.

Pyt.: — Wydawnictwo „Krağ” jest jedyną firmą, która działa nadal w skali „przedwojennej”: ponad dwadzieścia pozycji (w tym sporo dużych książek) opublikowanych w 1982 roku, to budzi podziw, ale też prowokuje do pytania: jak wam się udało?

Odp.: — W okresie „Solidarności” staraliśmy się zachować hermetyczność (na tyle, na ile to było możliwe) i nie ujawniać szczegółów dotyczących naszej pracy, a zwłaszcza ludzi związanych z poligrafia. Opłaciło się: w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku internowano tylko trzech naszych ujawnionych przedstawicieli: socjologa Marka Tabina, historyka Andrzeja Rosnera i studenta biologii Witolda Ferensa. Reszta pozostała nienaruszona

i nieznaną policji. Ku obopólnemu żalowi, ale dla dobra i bezpieczeństwa firmy, musieliśmy się rozstać z naszymi „internistami”. Inni działają nadal. Tak naprawdę to nie zawsze byliśmy tacy wspaniali i wszechwiedzący. Czasami po prostu mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu.

Pyt.: — Na przykład?

Odp.: — W wydawnictwie obowiązują ściśle zazwyczaj przestrzegane zasady bezpieczeństwa. Ludzie są jednak ludźmi: czasem rodzi się pokusa, aby „pójść na skróty” — zrobić coś szybciej i taniej, z ominięciem zasad konspiracyjnych — a nuż się uda? Może na przykład prościej dokończyć rozwożenia „towaru” jeszcze dzisiaj, mimo zbliżającej się godziny policyjnej — chociaż rozsądek nakazuje, by przełożyć to na jutro. Może uda się przewieźć książkę do składania jednym transportem, mimo że samochód ugina się pod ciężarem papieru i może wzbudzić podejrzenia zwyczajnej policji drogowej. To nie tylko oszczędność czasu — to również oszczędność reglamentowanej benzyny. Może zostawić maszynę w drukarni, nie robiąc porządku — niech poczeka na następną zmianę drukarzy. Może uda się przeskoczyć przez miasto (omijając główne ulice) z samochodem pełnym książek, mimo że zbliża się data kolejnej manifestacji ulicznej i cała stołeczna ubecja jest w stanie ostrego pogotowia. Każda z tych pokus (i wiele innych trudnych czy niemożliwych do opisanie) czeka na każdego z nas przynajmniej parę razy w miesiącu; czasami im ulegamy, zazwyczaj nie przyznając się do tego kolegom. Dotychczas mieliśmy szczęście — czy będzie tak dalej?

Pyt.: — Czy nie można zmusić ludzi do większej dyscypliny?

Odp.: — To nie jest takie proste. Po pierwsze, nasze wydawnictwo funkcjonuje na zasadach koleżeństwa i przyjaźni — naprawdę trudno tutaj wprowadzać rygory dyscypliny wojskowej. Po drugie, atrakcyjność wymienionych pokus wynika również z przeświadczenia, że nie można odkładać na potem niczego, co dałoby się zrobić dzisiaj; jutro już może być za późno. Po trzecie, żyjemy pod dużym obciążeniem psychicznym — wszystkie prace „trefne” staramy się wykonywać jak najszybciej, aby wrócić do „normalnego” życia, do rodziny, do przyjaciół.

Pyt.: — Czy nie boicie się wpadki?

Odp.: — Boimy się, oczywiście. Mamy świadomość, że dla wielu z nas wpadka oznacza trzy-czteroletni wyrok. To już nie żarty, to nie 48 godzin odsiadki z czasów Gierka. Fakt, że nas ta świadomość nie paraliżuje, pozwala nam żywić nieco nadziei na przyszłość. Wierzmy, że nawet jeśli bezpieka wpadnie w końcu na nasz trop — pokazaliśmy innym, że można działać również

w warunkach stanu wojennego. Może znajdzie się następna garstka zapaleńców...

Pyt.: — Kim jesteście?

Odp.: — Zazwyczaj ludźmi po wyższych studiach, przeróżnych zawodów, mniej więcej pomiędzy 25 a 35 rokiem życia. Jest nas niezbyt dużo, ale mamy spore i wypróbowane grono współpracowników i kolporterów. Niestety, nic więcej nie możemy o sobie powiedzieć.

Pyt.: — Czy konsekwentne używanie przez was określenia „firma” sugeruje traktowanie waszej działalności w kategoriach normalnego przedsiębiorstwa?

Odp.: — I tak, i nie. Nie jesteśmy normalnym przedsiębiorstwem, bo nie działamy w warunkach rynku, równowagi popytu i podaży, nie mamy możliwości reklamy itp. Nie mamy też dyrektora i rady nadzorczej. Jesteśmy natomiast samowystarczalni finansowo. Nie robimy kokosów na naszej działalności; nie mamy samochodów czy willi (często nawet własnych mieszkań) — wszystkie zarobione pieniądze ładujemy natychmiast w następną produkcję. Wszystko po to, aby w możliwie najkrótszym czasie wydać możliwie jak najwięcej książek. Dopóki mamy możliwości.

Pyt.: — A jednak czytelnicy skarżą się na ceny niezależnych książek...

Odp.: — Jesteśmy — obok NOW-ej — najtańszym wydawnictwem niezależnym działającym w okresie stanu wojennego. Musieliśmy niestety odejść od poziomu cen ustalonego na Pierwszym Ogólnopolskim Spotkaniu Wydawców Niezależnych w czerwcu 1981 roku, ale podwyżka wyniosła około 50-60%. Znacznie bardziej podrożały książki wydawane przez wydawnictwa reżymowe (100-200%, czasem nawet więcej).

Pyt.: — Tyle mówimy o technice i warunkach produkcji; może teraz co nieco o merytorycznej stronie waszej działalności. Co wydajecie?

Odp.: — Mówiliśmy na początku wywiadu, że przy tworzeniu wydawnictwa zamierzaliśmy wydawać książki o charakterze 'ponadczasowym' — takie, jakie można by dać kiedyś naszym dzieciom do przeczytania. Na ostatniej stronie okładki naszych pozycji znajduje się następujący tekst: „Wydawnictwo 'Krağ' jest społecznym instytutem wydawniczym nie związanym z żadnym ugrupowaniem politycznym. Naszym celem jest publikowanie informacji i opracowań dotyczących dziejów Polski i historii krajów sąsiednich, myśli politycznej, ekonomicznej i społecznej

oraz literackich świadectw naszych czasów”. Formule tej pozostaliśmy wierni do dzisiaj. A więc przede wszystkim — historia. Uważamy za swą powinność współdziałanie w edukacji historycznej społeczeństwa. Szczególną wagę przywiązujemy do podręczników historii najnowszej. Po znanej książce Władysława Pobóg-Malinowskiego („Najnowsza historia polityczna Polski”, tom III, 1939-1945; pierwsze trzy zeszyty ukazały się przed wojną, ostatnie dwa — w początkach 1982 roku), przysłała kolej na podręcznik historii Polski 1918-1939 A. Alberta (pseudonim) oraz szlagier ostatnich dni 1982 roku — podręcznik historii politycznej PRL 1944-1956 K. Kerstenowej. Ponadto pozycja mająca charakter podręcznikowy — B. Cywińskiego „Korzenie tożsamości” — rzecz o dziejach najnowszych Kościoła w krajach Europy środkowo-wschodniej. Oprócz tego pamiętniki (B. Obertyńska, J. Nowak, N. Mandelsztam), monografie, relacje (na przykład ostatnio wydana relacja T. Mazowieckiego z obozów internowania w Strzebielinku i Jaworzu), dokumenty. Poza tym — polska literatura współczesna (T. Konwicki, M. Nowakowski, J. Głowacki), eseje i szkice krytyczno-literackie (A. Drawicz, R. Zimand), poezja (Cz. Miłosz). W projektach (ale bez szczegółów — nie chcemy zapeszyć!) całe serie wydawnicze: współczesna literatura polityczna na świecie, współczesna myśl socjologiczna, klasycy myśli humanistycznej. Niektóre pozycje są już w druku, inne — w opracowaniu redakcyjnym.

Pyt.: — Ile takich pozycji macie w tece redakcyjnej?

Odp.: — W pracach redakcyjnych znajduje się ponad czterdzieści pozycji w różnym stadium zaawansowania; niektóre z nich są szalenie pracołłonne i nie ukażą się wcześniej niż za półtora roku.

Pyt.: — Więc jednak planujecie na przyszłość?

Odp.: — Staramy się planować tak, jakbyśmy pracowali w normalnych warunkach, bez policji na karku.

Pyt.: — Czy wydawnictwo wydaje wyłącznie książki?

Odp.: — Nie. Świadectwem naszych czasów są również periodyki. Przed wojną rozpoczęliśmy edycję wszystkich tomów *Zeszytów Historycznych* Instytutu Literackiego w Paryżu. Obecnie, w warunkach wojennych, musieliśmy zawiesić wydawanie następnych tomów, ale obiecujemy sobie wrócić do tej sprawy, gdy tylko złapiemy nieco oddechu. Ponadto do wojny wydawaliśmy periodyki *Res Publica*, *Puls* i *Silva Rerum*. Tylko ten ostatni ukazuje się nadal. Ponadto z pozycji bieżących naszym nakładem ukazuje się *Kos*, *Krytyka*, *Almanach stanu wojennego*. Niektóre z tych tytułów są deficytowe — dopłacamy do nich z zysków osiągniętych przy sprzedaży książek. Poniżej publiku-

jemy pełną listę naszych publikacji, z uwzględnieniem produkcji „wojennej”.

Pyt.: — Na zakończenie: czego mamy życzyć wydawnictwu?

Odp.: — Po pierwsze przetrwania. Po drugie: zdrowej konkurencji ze strony innych firm.

NAKLADEM WYDAWNICTWA „KRAĞ”

(do 31. 12. 1982 r.)

- Andrzej Albert, *Najnowsza historia Polski 1918-1939*.
 Michał Bułhakow, *Szkarłatna wyspa*
 Axel Bust-Bartels, *Powstanie Berlińskie 17 czerwca 1953*.
 Joseph Conrad, *Szkice polityczne*. Dzieła, tom 28.
 Bohdan Cywiński, *Ogniem próbowane*, tom 1: *Korzenie tożsamości (Dzieje najnowsze Kościoła w krajach Europy środkowo-wschodniej)*.
 Bohdan Cywiński, ... *Potęgą jest i basta*.
 Józef Czapski, *Na nieludzkiej ziemi*.
 Andrzej Drawicz, *Pytania o Rosję*.
 Zbigniew Gluza, *Ósmy dzień*.
 Janusz Głowacki, *Moc truchleje*.
 Michał Heller, *Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka*.
 Bohumil Hrabal, *Zbyt głośna samotność*.
 Kazimierz Iranek-Osmecki, *Kto ratuje jedno życie... Polacy i Żydzi 1939-45*.
 Witold Jedlicki, „*Chamy*” i „*Żydy*”.
 Krystyna Kersten, *Historia polityczna Polski 1944-1956*.
 Stefan Konarski, *Marksizm jest nagi*.
 Tadeusz Konwicki, *Wschody i zachody księżyc*.
 Stefan Korboński, *Polskie Państwo Podziemne*.
 Nadieżda Mandelsztam, *Mój testament*.
 Nadieżda Mandelsztam, *Nadzieja w beznadziejności*.
 Jacques Maritain, *Humanizm integralny*.
 Wojciech T. Markowski, *W petli reform*.
 Adam Michnik, *Listy z Białoleki*.
 Tadeusz Mazowiecki, *Internowanie*.
 Czesław Miłosz, *Widzenia nad Zatoką San Francisco*.
 Czesław Miłosz, *Wiersze zebrane*.
 Maurycy Mochnacki, *Powstanie narodu polskiego*.
 Jan Nowak, *Kurier z Warszawy*.
 Marek Nowakowski, *Jeden dzień w Europie* (opowiadania).
 Marek Nowakowski, *Zakon Kawalerów Mazowieckich*.
 Antoni Nowosielski, *Powstanie Warszawskie*.
 Beata Obertyńska, *W domu niewoli*.
 George Orwell, *Rok 1984*.
 Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski 1864-1945*, tom 3 (1939-1945).
 Kazimierz Pużak, *Wspomnienia 1939-1945*.
 Arthur Schnitzler, *Pod Zieloną Papugą*.
 Jiří Šimečka, *Przywrócenie porządku*.
 Marek Tarniewski, *Krótkie śpięcie*.
 Ks. Józef Tischner, *Polski kształt dialogu*.
 Janusz Zieliński, *Polskie reformy gospodarcze*.

Roman Zimand, *Eseje*.

- *Agresja na Czechosłowację*. Sierpień 1968.
- *Almanach stanu wojennego nr 1*. Kongres Kultury Polskiej.
- *Almanach stanu wojennego nr 2*. Analizy.
- *Gdzie jesteśmy? Klęska czy nowy etap walki*.
- *Grudzień 1981*. Relacje.
- *Krytyka* 10-11.
- *Recenzja z Moskwy*. O polskich podręcznikach historii.
- *Silva Rerum* nr 1, 2.
- *Trzecia rewolucja*. Piotrogród - Kronsztad 1921.
- *Zeszyty Historyczne* Instytutu Literackiego w Paryżu nr 1, 2, 52, 54, 55.

O Muzeum Narodowym w Warszawie

W dniu 15 listopada 1982 roku prof. Stanisław Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie od 1935 roku, złożył na ręce ministra Żygulskiego rezygnację (fragment komentarza do tej rezygnacji w załączeniu). 25 listopada 1982 roku minister Żygulski w asyście komisarza wojskowego Ministerstwa Kultury i Sztuki wręczył dyrektorowi Lorentzowi przyjęcie jego rezygnacji (rozmowa trwała kilka minut). Tego samego dnia wręczono dyrektorowi Lorentzowi i wicedyrektorowi Muzeum: dr. Andrzejowi Rottermundowi i misję dwom wicedyrektorom Muzeum: dr. Jerzemu Baranowskiemu. Obaj, a zwłaszcza dr. Rottermund, byli od lat wprowadzani przez dyr. Lorentza w kierowanie Muzeum. Trzeci wicedyrektor, następca prof. Kazimierza Michałowskiego, archeolog doc. Andrzej Dator, została powołana rada czy komisja zewszki, złożył sam pisemną rezygnację. Została powołana rada czy komisja do „zbudowania sytuacji i reorganizacji Muzeum”, złożona z wiceministra Kultury i Sztuki Adamskiego, komisarza wojskowego oraz pełniącego obowiązki dyrektora Muzeum dotychczasowego dyrektora Zarządu Ochrony i Konserwacji Zespołów Pałacowo-Ogrodowych Muzeum Narodowego w Warszawie — mgr. Andrzeja Michałowskiego.

DYREKTOR
 MUZEUM NARODOWEGO
 W WARSZAWIE

Warszawa 15 listopada 1982.

FRAGMENT KOMENTARZA

Decyzję rezygnacji ze stanowiska dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie, rezygnacji ze stanowiska wiceprezesa i członka Obywatelskiego Komitetu Zamku Królewskiego w Warszawie i zawieszenie mych czynności Przewodniczącego Towarzystwa Przyjaciół Warszawy do czasu wyboru nowego Prezesa

powziętem nie nagle, nie ze względów incydentalnych i nie ze względów błahych. Hamowała mnie obawa o losy Muzeum Narodowego po moim ustąpieniu.

Gdyby przed 20 laty Ministrowi Galińskiemu i ówczesnemu dyrektorowi Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków Mieczysławowi Ptaśnikowi udało się próba odebrania Muzeum Narodowemu i przekazanie do Łodzi Nieborowa z Arkadią i Łowicza, a w następnej kolejności Wilanowa i Łazienek, co już poważnie groziło, oczywiście na znak protestu zrzekłbym się stanowiska Dyrektora Muzeum Narodowego. Ale tę walkę udało mi się wygrać.

Przed kilku laty podjąłem walkę z tzw. ekspertem usług konserwatorskich haniebnej akcji, zapoczątkowanej i intensywnie rozwijanej przez dyrektora PKZ Polaka. Gdy wicepremierem i równocześnie Ministrem Kultury i Sztuki był Józef Tejchma, złożyłem mu wizytę w Urzędzie Rady Ministrów. Zaprotestowałem przeciw tej akcji, a w szczególności przeciw odbudowywaniu i konserwowaniu przez nas zabytków niemieckich, RFN i NRD. Przedstawiłem mu w tej sprawie memoriał na piśmie i w ciągu przeszło godzinnej audiencji uzasadniałem mój sprzeciw. Niestety nie dało to rezultatów, a w następnym tygodniu ukazał się w prasie wywiad Ministra, gorąco pochwalający sukcesy naszego „eksportu usług konserwatorskich” za granicą.

Z różnymi agresywnymi atakami na Muzeum Narodowe i na mnie osobiście musiałem walczyć w ciągu wielu lat, ostatnio od września 1980 roku.

W ostatnich czasach zaszło wiele wydarzeń, które budzą mój sprzeciw i oburzenie. Wymienię ich kilka, rozpoczynając od bardzo mi bliskiej sprawy ochrony zabytków. Przed kilku dniami ukazała się pochwalna entuzjastyczna wiadomość w prasie o znacznym rozszerzeniu akcji eksportu usług kulturalnych przez PKZ-y. Tym razem na Rosję, gdzie podjęte zostaną wielkie dalsze prace konserwatorskie, w tym i obejmujące sto kilkadziesiąt kompletów mebli. Równocześnie więc na wielką skalę odbudowujemy i konserwujemy zabytki niemieckie i rosyjskie. Równocześnie jesteśmy świadkami prawdziwej klęski w losie zabytków polskich. Straty jakie ponieśliśmy po wojnie i ponosimy dalej są katastrofalne. Wina to nie tylko polityki kulturalnej państwa, ale w wielkiej mierze PKZ, które odmawiają podejmowania prac nawet przy najważniejszych zabytkach naszych, jak choćby Wilanów i Łazienki, tłumacząc to brakiem specjalistów, którzy są rozesłani po świecie, w szczególności do Niemiec i Rosji, a prace które podejmują PKZ wykonują z ogromnymi opóźnieniami i niedbale.

Protest mój w szczególności dotyczy przewlekającej się niepomiernej i często niedbale wykonywanej odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie.

Gdy ratowaliśmy zabytki i dobra kultury w czasie ostatniej wojny, nie przypuszczaliśmy, że będą one ginęły w państwie polskim pozbawione opieki, a wielki wysiłek naszych organów konserwatorskich skierowany będzie na odbudowę i konserwa-

cję zabytków niemieckich i rosyjskich. Przeciwno temu niniejszą rezygnacją protestuję.

Ze spraw szczegółowych, które budzą mój szczególny sprzeciw wymienić muszę sprawę Zamku Ujazdowskiego. Odmowa przekazania tego Zamku Muzeum Narodowemu, które dusi się w swych pomieszczeniach, a nie ma szans odzyskania swych lokali, zajmowanych przez Muzeum Wojska jest błędna, a przeznaczenie Zamku Ujazdowskiego na centrum sztuki współczesnej jest nonsensem.

Ostatnio Ministerstwo Kultury i Sztuki rozesłało do zaopiniowania projekt nowelizacji ustawy z roku 1962 o ochronie dóbr kultury i o muzeach. Wyrazić muszę zdziwienie, że tak nieodpowiedzialny tekst mógł powstać w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Mą negatywną opinię przesałem na ręce Pana Ministra Kultury i Sztuki. Zasadniczym nieporozumieniem jest podporządkowanie muzeów konserwatorowi generalnemu zabytków. Nastąpiło to ostatnio przed kilku laty, ale jako akt specjalny, przywilej przyznany przez ówczesnego Prezesa Rady Ministrów Piotra Jaroszewicza na rzecz protegowanego przez niego ówczesnego wiceministra Wiktora Zina. Nie jest to tradycja, którą należy kontynuować.

Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków jest nieudolnie kierowany przez dr. Bohdana Rymaszewskiego, co przynosi wielkie szkody zarówno opiece nad zabytkami jak i muzealnictwu. Dr Rymaszewski pozwala sobie poza tym bezprawnie wkraczać w kompetencje dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie, co jest aprobowane przez władze ministerialne. Tego tolerować nie mogę.

Nie kontynuując już mych uwag o Ministerstwie Kultury i Sztuki oświadczyć jeszcze muszę, że nie mogę przyjąć do wiadomości formy i warunków zwolnienia przez Pana Ministra Kultury i Sztuki — dyrektora i dwóch wicedyrektorów Biblioteki Narodowej.

Stanisław LORENTZ

Jak Stowarzyszenie Architektów Polskich budowało Polskę

Pisząc o organizacji zawodu architekta w Polsce, trzeba już dzisiaj używać czasu przeszłego. Stowarzyszenie Architektów Polskich było, ale już go nie ma. Owego pamiętnego dnia 13 grudnia 1981 roku uległo temu samemu losowi, co wszystkie

zrzeszenia zawodowe w Polsce. Działalność jego została zawieszona.

Trudno dzisiaj przewidzieć, jak ułoży się przyszłość w tej dziedzinie. Wydaje się jednak, że coś musi się tu zmienić. Podczas gdy „odnowa” do niedawna zataczała coraz szersze kręgi, SARP szedł niewzruszenie w kierunku biurokratycznego skostnienia. Zarząd Główny korzystał z uprawnień, które pozwalały mu przeprowadzać zasadnicze zmiany organizacyjne bez uzyskiwania mandatu zrzeszonych. Sytuacja stawała się paradoksalna. Zarząd już nie był dla Stowarzyszenia, lecz Stowarzyszenie dla Zarządu. Stosunki między „górami” a „dołami” coraz bardziej się rozluźniały. Zmniejszała się frekwencja na zebraniach. Mnożyły się wypadki niepłacenia składek członkowskich, czyli cichego wycofywania się z tego towarzystwa.

Powszechnie jest przyjęte w zrzeszeniach zawodowych, że równym obowiązkiem odpowiadają równe prawa. W powojennym SARP tak nie było. Wprawdzie płacenie składek obowiązywało wszystkich jednakowo, z wyjątkiem emerytów, ale wynikające stąd korzyści ulegały już od pewnego czasu coraz większemu różnicowaniu. W ostatnich latach zerwano ostatecznie z wszelkimi pozorami równości. Powstała oficjalnie klasa uprzywilejowana pod pretensjonalną nazwą „twórców” — twórców z nominacji. Dotychczas bywało, że społeczeństwo spontanicznie określało tym mianem ludzi o niezwykłych osiągnięciach na polu sztuki i kultury, teraz nadawał je oficjalnie wybranym architektom minister, na wniosek Zarządu Głównego. Można by to określić jako zabawne, gdyby nie było dla wielu krzywdzące. Bo specjalne przywileje utytułowanych były niemałe. Polegały na dłuższych urlopiach i wyższym pułapie nisko opodatkowanych zarobków, a w niedalekiej przyszłości miały obejmować sprawy emerytalne, mieszkaniowe (pracownie) i lecznicze. W zapomnienie poszły szacowne tradycje czasów przedwojennych, kiedy w „Stowarzyszeniu” nie istniały żadne formalne różnice między doświadczonymi weteranami zawodu o znanych nazwiskach a świeżo upieczonymi absolwentami politechniki.

W naszym stuleciu niejednokrotnie wysuwane były wątpliwości co do tego, czy słusznie zalicza się architekturę do sztuk pięknych. Działo się to głównie w okresie skrajnego funkcjonalizmu. Ta fala obecnie już minęła. Niemniej jednak istnieje w praktyce zasadnicza różnica między architektami a innymi artystami. Podczas gdy ci ostatni mogą tworzyć „sobie a muzom”, architekt zależy jest od klienta, który dzieło jego finansuje. Jest to jednym z trudniejszych problemów tego zawodu i nakłada na architektów szczególne obowiązki wobec społeczeństwa, zwłaszcza w odniesieniu do budynków użyteczności publicznej. Przyjął się więc powszechnie zwyczaj rozważywania takich zadań w drodze konkursów. Dają one możliwość wyboru najlepszego projektu i udostępniają w zasadzie wszystkim architektom otrzymanie zamówienia na wykonanie danego obiektu. Taka jest teoria, a jak to się przedstawia w praktyce? Bywało

różnie i to na całym świecie, ale metody stosowane przez SARP budziły szczególnie dużo zastrzeżeń. Nie będę tu wchodził w szczegóły sprawy, która jest proceduralna, faktem jednak jest, że nie dawała ona konkurującą gwarancji anonimowości, a więc tym samym bezstronności sądu. Mówiono o tych sprawach z przymrużeniem oka i wyrażano wątpliwości czy w ogóle warto w konkursach brać udział. Niemniej jednak operacje kosztowne, a jakie były ich rezultaty w terenie? To pytanie natrętnie się nasuwa, gdy skonfrontować tę aktywność z praktycznymi jej rezultatami.

Na ukształtowanie urbanistyczne dwóch najbardziej znanych placów w Warszawie — dawniejszego Saskiego a obecnie Zwycięstwa i Teatralnego — odbyło się już szereg konkursów, ale oba place pozostają od zakończenia drugiej wojny światowej do dnia dzisiejszego w ich pierwotnym nieuporządkowanym stanie. Można by przytoczyć wiele podobnych przykładów zarówno w Warszawie, jak i na prowincji. Czyżby więc konkursy urządzało tylko po to, by dać zarobić wybranym architektom?

Architektura stała się u nas głównie sztuką rysowania, a nie sztuką budowania, jak to być powinno. Na różnych wystawach i w pismach zawodowych widzi się wiele ciekawej i bardzo dobrej grafiki architektonicznej, ale brak prawie zupełnie fotografii obiektów wykonanych.

Jest obecnie w Polsce 8 wydziałów w tej dyscyplinie. Przyjmując, że co roku dyplomy otrzymuje w każdej uczelni przeciętnie 50 absolwentów, mamy rocznie przyrost 400 kwalifikowanych architektów. Jaka jest ich przyszłość w kraju, w którym od lat „buduje” się, a właściwie montuje prawie wyłącznie prefabrykowane bloki, a i te roboty będą zanikać w miarę pogłębiającego się kryzysu gospodarczego?

Pozostaje budownictwo wiejskie i uzdrowiskowe — dwie dziedziny, w których utrzymuje się jeszcze w pewnej mierze inicjatywa prywatna. Jest to pod względem architektonicznym bolesna sprawa, którą omawiałem już w poprzednich artykułach. Prawa zależy od kilku czynników: selektywności projektów, rzetelności ich zatwierdzenia, sprawności inspekcji budowlanej i oczywiście podniesienia standardu samych projektów. Wszystko to wymaga ludzi i to ludzi fachowych. Ale oto okazuje się, że właśnie ich nie ma. Zajmują się tymi sprawami prawie wyłącznie technicy o średnim wykształceniu oraz bardziej przedsiębiorczy inżynierowie lądowi. Zarząd Główny SARP ogłasza wprawdzie od czasu do czasu bardzo pouczające programy i dyrektywy, ale niestety kończy się na słowach.

Istnieje w Polsce jeszcze inna organizacja, od której można by oczekiwać, że się tymi zagadnieniami zajmie. Nazywa się „Polska Sekcja Międzynarodowej Federacji Architektów Krajozbrazu — w angielskim skrócie IFLA (International Federation of Landscape Architects) — organizacja dziś w świecie coraz bardziej aktywna. Równoległe z ruchem ochrony ludzkiego śro-

dowiska działalność jej koncentruje się na ochronie i rozwoju jego wizualnej strony, a więc krajobrazu. Zabudowa wsi jest w tej dziedzinie jednym z najbardziej bezpośrednich wkładów człowieka. Niestety, sądząc po różnych wypowiedziach i publikacjach polskiego IFLA, wyłączną domeną ich działalności stała się oderwana od życia teoria. To co jest największą bolączką naszej rzeczywistości, a więc wieś, pozostaje poza ich polem widzenia. Jest to postawa bardzo wygodna. Pozwala unikać borykania się z kłopotliwymi drobiazgami praktyki, a jednocześnie pozować na naukowość, co obecnie jest w Polsce bardzo modne. Wytworzył się także na tym tle specjalny rodzaj pisania. Jasność stylu nie jest już uznawana za zaletę. Najprostsze rzeczy, choćby truizmy, należy utopić w gąszczu zawiłej frazeologii o maksymalnej ilości wyrazów obcych. W ten sposób artykuł czy referat nabiera „wagi” i staje się „pracą naukową”, godną publikacji w odpowiednich wydawnictwach.

Mamy w Polsce wielu bardzo zdolnych architektów, ale zarówno organizacja zawodu jak i warunki pracy nie sprzyjają jak dotąd pełnemu wykorzystaniu ich walorów.

Stanisław PIOTROWSKI

Sprawy i troski

Chochla

Moja czarna kucharka zameldowała mi dziś, że „złamała się” chochla. Ponieważ jestem majster-klepka i wykonuję w naszym domu wszystkie naprawy, które w nie tak bardzo zamierzchłej przeszłości wykonywał „człowiek”, przeto i w tym wypadku pierwszym moim odruchem było ją naprawić. Kazałem kucharce ją przynieść: chochla polakierowana na zielono, kształtu funkcjonalnego, ale nie do użycia, bo rączka się oderwała. Gdy tak ją w rękach obracałem, odkryłem na odwrocie czerpaka dyskretny napis: „Made in Poland”. — Och — zdumiałem się — setki hektolitrow zup i chłodników laliśmy nią sobie i dzieciom przez ćwierć wieku, nieświadomi jej polskiego pochodzenia... I dopiero śmierci jej potrzeba było, by w niej rozpoznać rodaczkę. Naprawić...? — wahałem się trzymając w jednej ręce czerpak, a w drugiej rączkę — przylutować...? A może wyświdrować dziurki i ściągnąć śrubkami...? Albo też po prostu rzucić na śmietnik i kupić nową...?

Cicha tragedia chochli tak mnie wzruszyła, że przez chwilę marzyło mi się, by ją opisać wierszem. Ale wkrótce zrezygnowałem z tego zamiaru nie mogąc, ani rusz, znaleźć rymu do słowa chochla. Więc już prozą, przy kolacji, opisałem ten dramat zebranej rodzinie.

— Och tak — przyświadczyła moja żona, filizanką w braku chochli czerpiąc zupę z wazy — nieraz dopiero nad trumną odkrywamy głębię naszej straty...

Spojrzałem surowo na Felicję. Nie zrozumiała, jak zwykle, mojej myśli. — Przecież chodzi mi o to — powiedziałem z wyrzutem — że chochla służyła nam tyle lat *incognito*. Nikomu z nas, w ciągu ćwierćwiecza, nie przyszło na myśl zbadać jej

KONTRAST-OFFSET-DRUCK

BREITENSTEINSTRASSE 33 * D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031 / 77 77

Jedyna w RFN POLSKA DRUKARNIA WYDAWNICZA wykonuje:
książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty, karty świąteczne,
zaproszenia, odezwy, ulotki, blankiety
i tp. organizacyjne, społeczne, prywatne i reklamowe druki.

Skład elektroniczny — także „na wynos” —
zapewniający najwyższą jakość druku.

Solidne wykonanie — ceny umiarkowane !

pochodzenia, bo to jest anonimowy proletariusz wśród dóbr konsumpcyjnych naszego świata...

— O tak, Papo — zgodził się mój syn Jurek, student ekonomii na naszym uniwersytecie — gdyby chodziło o Hi-Fi gramofon albo o kamerę video, lub o PC, czyli personalny komputer, to co innego. Dyskutowalibyśmy ich pochodzenie tygodniami!!! Pamiętaj, Papo, jak zeszłego roku, na Boże Narodzenie, przyniosłeś aparat do nagrywania i odbioru taśm magnetofonowych marki Sanyo. Jakież to były zażarte dyskusje, jakież obracanie i zagładanie w każdą szparkę pudła...

— A to głównie dlatego — przerwał mu mój młodszy syn — że akurat poprzedniego dnia Jurek oglądał w TV reportaż, już nie pamiętam skąd, zdaje się z Hong-Kongu, i dlatego nie przestawał się mądrzyć, jakie to cudenka składają te Chincezki, jak to tymi zwinnymi paluszkami łączą, lutują druciki, montując w nie integrowane obwody, czy tranzystory, nawet takie maciupkie faszolki oporów elektrycznych...

— To prawda — przyznał Jurek — mądrzyłem się, bo zadziwił mnie kamienny spokój tych dziewcząt, to skupienie malujące się na ich na glanc wypucowanych buziach, że wyglądają na lalczki... Bo to, Papo, jest zaskakujące, że tej rasie złotą wrodzone jest zamiłowanie do rzetelnej i precyzyjnej pracy, które to zalety, wydaje się, na Zachodzie już utraciliśmy... Dlatego właśnie tyleśmy na temat tego Sanyo gadali... bo przyznasz, że na temat chochli niewiele da się powiedzieć...

— Jesteście niesprawiedliwi — wchodziła się Felicja — nie tylko chochle są w sklepach. Wczoraj u Checkersa widziałam niezłe się prezentujące polskie polewane garnki... i puszki z małosolnymi ogórkami, marki Krakus.

Ta rozmowa mnie zastanowiła. Jej sens odcisnął się w moim mózgu: chochla, jako proletariusz — jest anonimowa, zaś wytwory wiodącej technologii — ci arystokraci produkcji przemysłowej — wzbudzają szacunek dla ich twórców. Dlaczegoż więc mój kraj — zadawałem sobie pytanie — eksportuje taki prymityw przemysłowy na Zachód? Czyżbyśmy raz jeszcze w historii spóźnili się na autobus? Bo przychwyceni tym, że wielonarodowe koncerny Zachodu i Japonii, w imię zysku i ekspansji, stworzyły w krajach Dalekiego Wschodu olbrzymie ośrodki, gdzie miliony złotych mrówek ludzkich fabrykują miliony gadżetów, których powódź zalewa rynki zachodnie wyrzucając na bruk miliony bezrobotnych...? I, że ten tajfun uprzemysławiania Tajwanu, Singapuru, Hong-Kongu, Korei, a ostatnio nawet Filipin, wciągający rosnące z roku na rok nowe miliony robotników, omija Polskę starannie, bo ani w niej tych zwinnych paluszków, ani gotowości zadowalania się minimalną — na stosunki euro-

pejskie — płacą. Coś tam Gierek próbował temu zaradzić, ale mu nie wyszło, z wiadomych powodów. Tak więc skazani jesteście na chochle...

Nie znajdując odpowiedzi na wiele nasuwających mi się pytań, postanowiłem porozmawiać na te tematy ze świeżo z Polski przybyłym imigrantem, którego spotkałem u przyjaciół. Chłopak wydał mi się bystry, miał reputację wybitnego fachowca, a już najbardziej spodobał mi się dlatego, że nie przyłączał się do chóru swoich kolegów skarżących się na takie lub inne dolegliwości emigranckiego życia.

Zaprosiłem go więc którejs niedzieli na rozmowę. Ale w gruncie rzeczy niewiele nowego się dowiedziałem. Potwierdzał to wszystko, co o polskim przemyśle już wiedziałem: biurokracja, sztywność struktur, kumoterstwo, bumelanctwo, wymagana dla awansu lojalność polityczna, opór wobec nowatorstwa, brak poszanowania pracy — cała litania naszych grzechów, tak przyrodzonych, jak hodowanych przez system. A już przede wszystkim — brak rzetelnej konkurencji na rynkach bloku wschodniego, do którego eksportujemy produkty przemysłowe. — Bo do ZSSR — mówił inżynier S. — upchamy każdy bubel, czyli produkt nie do sprzedania na Zachodzie; w Mongolii Zewnętrznej uznają to i tak za ósmy cud świata. Więc w tym układzie jest swoista logika: chochle i emaliowane garnki na Zachód, i to po cenach dumpingowych, a buble na Wschód...

— Czy pan nie przesadza, przyjacielu...?

— No, może trochę. Jak mówię bubel, to nie znaczy, że to nic nie warto. Bubel to określenie relatywne, w stosunku do produkcji Zachodu: — obrabiarka dwa razy cięższa niż japońska, telewizor, nawet i dobry, ale i dwóch osiłek nie uniesie... I tak ze wszystkim...

Wyczerpawszy ten temat mój młody rozmówca zaczął mi opowiadać o swoich, często upokarzających doświadczeniach emigranckich w obozach wiedeńskich, polegających na kołataniu, dopraszaniu się tego i owego od niechętnych władz, o tej huśtawce nadziei i zawodów... Gdy mówił, nasunęły mi się na siebie oba obrazy: owego prymitywizmu przemysłowego, z jakim Polska wychodzi na rynki zachodnie i innego prymitywizmu, tym razem psychicznego, na jaki skazana jest polska emigracja. — Nie dlatego — pośpieszyłem wyjaśnić moją myśl — byście wy, młodzi emigranci mieli być gorsi, mniej wykształceni od przybywających tu do Afryki Południowej za pracą Anglików, Holendrów czy innych Skandynawów. Przeciwnie, o ile się orientuję, nieraz nad nimi górujecie, ale wasza nieznamość języków — i co tu owijając

w bawełnę — stylu życia na Zachodzie wytrąca z waszego życia kilka, nawet kilkanaście lat potrzebnych na przyswojenie ich sobie. A w międzyczasie jesteście skazani na porozumiewanie się za pomocą *basic English* z ludźmi stojącymi na skali intelektualnej znacznie niżej niż wy. W pierwszym więc okresie emigracja oznacza po prostu *deklasację*, oczywiście nie w dosłownym tego słowa znaczeniu, raczej intelektualnym. Jedyną, instynktowną obroną przed nią jest skupianie się w polskim getcie, w polskich organizacjach, klubach i kościołach. Ale taka „gettoizacja” utrudnia tylko adaptację. Bo śpiewanie o łąkach umajonych u nas, w Afryce Południowej, gdy za wrotami kościoła step wysuszony na popiół, i o Dzieciątku zziębniętym w stajence, gdy ze spiekoty pot płynie z czoła, spełnia wprawdzie jakąś funkcję integracyjną, jeśli chodzi o polskie środowisko, ale równocześnie alienacyjną w stosunku do kraju adopcji, czyli opóźniającą przewyżczenie deklasacji. A więc sytuacja Catch 22.

— Nie rozumiem — przyznał się mój rozmówca.

— To znaczy, że jedno wyjście jest równie złe jak drugie. Oba prowadzą do tego, co nazwałem prymitywizacją, czy proletaryzacją psychiczną. Ale — dodałem z uśmiechem — nie będę panu prawić kazań. Dodam jeszcze jedno słówko na zakończenie tej rozmowy, ale najpierw przeproszę pana na chwilę, bo mam małą robótkę do zrobienia.

Przyniosłem chochlę, kilka świderków i inne narzędzia i zacząłem majstrować. A także flaszkę whisky, z której nalałem gościowi i sobie. — *Cheers* — powiedziałem podnosząc w jego stronę szklankę — co, jak pan zapewne zdążył się już nauczyć, znaczy tyle, co polskie „Na Zdrowie”...

— Widzi pan, młody przyjacielu — zacząłem po chwili — wszystko się na tym świecie sprzysięgło, żeby pana, kandydata na emigranta, zredukować do wymiarów tej oto chochli. Nie jesteśmy już bowiem od 45 roku, a więc od daty przymusowego zaliczenia nas do obozu wschodniego, częścią świata zachodniego. Możemy tysiąc razy dziennie powtarzać, że św. Cyryl posłany był do nas z Rzymu, a nie z Bizancjum, że Bona, że renesans, że nasze więzy z Zachodem itd., ale nic na to nie poradzimy, bo ta przynależność do bloku wschodniego, uważanego przez Zachód za wrogi jest faktem, którego zmiana przekracza nasze siły. Ta wrogość, a co za tym idzie nieufność, wyrażająca się bystrym okiem policji śledzącej ruchy emigranta, naraża go — jak pan przed chwilą stwierdził — na wiele upokorzeń. Reakcją bardzo powszechną jest kompleks niższości, najniepotrzebniej maskowany postawami cierpięciznymi, strojeniem się w męczeńskie piórka, wedle starych ustalonych wzorów, które, jeśli wierzyć anegdocie, skłoniły dziewiętnastowieczną damę francuską, której

przedstawiano Polaka, do okrzyku: *Comment? Si jeune et déjà Polonais...?*

Odskok imperium rosyjskiego od systemu panującego w całej Europie został rozpoczęty i przypieczętowany przez rewolucję październikową. Przez cały bowiem XIX wiek, aż do rewolucji, Rosja miała system rządów w istocie swej podobny do reszty Europy. Oczywiście była to odmiana barbarzyńska, ale ważne w niej było to, że w zasadzie nic nie stało na przeszkodzie, by samodzielnemu ewoluowało w kierunku monarchii konstytucyjnej. Tu i tam, to jest w Rosji i w reszcie Europy (z wyjątkiem okresów republikańskich we Francji) dynastyczny monarcha, wyposażony we władzę mniej lub więcej ograniczoną instytucjami demokratycznymi, stanowił szczyt piramidy *establishment*'u składającego się z arystokracji rodowej i kleru panującego w danym kraju odłamu chrześcijaństwa. Owa z feudalizmu wyrosła arystokracja połączona była węzłami krwi sięgającymi poza i ponad granice państwowe, tworząc bardzo konkretną kosmopolityczną siatkę, która pozwalała ich członkom czuć się u siebie w domu w jakiegokolwiek stolicy kontynentu.

W wypadku Polski, w ciągu całego XIX wieku mieliśmy ekipę składającą się z kilkunastu, jeśli nie kilkudziesięciu rodów odgrywających rolę „dworzan” w stolicach państw zaborczych, a nawet piastujących przy nich wysokie urzędy. Fakt ten pozwalał im na bezpośredni wgląd, a nawet udział w mechanizmie władzy, a olbrzymiej rzeszy ich krewnych i klientów rozsianych po całym świecie na zapoznanie się „z pierwszej ręki” z tajnikami polityki europejskiej.

Jako konkretny przykład działania tej siatki zauważmy, że Adam Mickiewicz poruszał się równie swobodnie po salonach Sewastopola i Petersburga jak Paryża i Rzymu. W tej ostatniej stolicy, pod opiekuńczym skrzydłem księżny Wołkońskiej i Odescalchi (z domu najbogatszej dziedziczki Europy, bo hetmanówny Branickiej) emigranci polscy lat czterdziestych spotykali się z najsłynniejszymi osobistościami epoki, od leaderów *Risorgimento* do arcykonserwatywnych prałatów Grzegorza XVI i Piusa IX. Podobnych przykładów można by mnożyć do woli: zaczynając od hotelu Lambert poprzez arystokratyczne salony okresu Wielkiej Emigracji, kontynuowane później przez Marię Kalergis (tzw. Białą Panią), a skończywszy na fenomenie, jakim była Misia Sert, trudno w XIX wieku doszukać się okresu, gdy brakło w Paryżu czy innej europejskiej stolicy choć jednej arystokratyczno-artystycznej odskoczni gotowej wylansować na samodzielny lot ambitnego emigranta pałającego chęcią zorientowania się — i to z pierwszej ręki — w życiu politycznym i artystycznym Europy.

Ten stan rzeczy trwał mniej więcej do pierwszej wojny świa-

towej, od której rozpoczął się w Europie proces przekształcania się arystokratyczno-klerikalnych *establishment*'ów na nową ich formę, opartą na finansistach, technokratach i kapitanach wielonarodowych koncernów...

Zorientowawszy się w tym miejscu, że wyrażenie *establishment* może być obce mojemu rozmówcy, pośpieszyłem wyjaśnić: — *Establishment* chyba najlepiej określić jako zbiornik ludzki, z którego rekrutują się, a już specjalnie w Ameryce, zarówno politycy rządzący światem (wraz z ich otoczką), jak i ci kapitanowie wielonarodowych koncernów, bankierzy i technokraci, o których przed chwilą mówiłem. Ci ostatni, z racji kontrolowania przez siebie 2/3 produkcji przemysłowej Zachodu i 40 % handlu światowego, tworzą kosmopolityczną siatkę zdolną wywierać wpływ na wyłonionych ze swego łona polityków, tak, że bez ryzyka przesady można przyjąć, że każda decyzja polityczna jest wypadkową ścierania się rozbieżnych nieraz interesów i poglądów poszczególnych składowych grup *establishment*'u. Warto może w tym miejscu zauważyć, że styl działania tych nowych elit bardzo się różni od dawnego: jest dyskretny, nie-ostentacyjny, organizuje się raczej w grupy nacisku działającego w półcieniu przedsióneków władzy politycznej. Mecenas sztuki, ów monopol dawnych elit, odstąpiony został państwu, za to świat naukowy został wciągnięty w orbitę *establishment*'u i jego armie naukowców, pomnażające się z roku na rok, pracują, często bezpośrednio, na jego korzyść.

Można uznać, że proces dojrzwania nowego typu europejskiego *establishment*'u — a może należałoby powiedzieć: jego wyrównania się z amerykańskim wzorem — ukończył się w latach sześćdziesiątych. Ponieważ w tych nowych ekipach Polska nie posiadała ani jednego reprezentanta, przeto od tej daty nasza emigracja zdana jest na rolę gawiedzi podglądającej zza płotu, jak zabawiają się „właściciele planety”. W konsekwencji nasza współczesna emigracja zmuszona jest poprzestawać na informacji typu: jedna pani, drugiej pani..., lub w najlepszym wypadku, na przeżuwananiu tego co powiedziało prasa, nierzadko w kieszeni tegoż właśnie *establishment*'u.

Przestrzegam Pana przed błędnym odczytaniem tego, co mówię. Nie powoduję się jakąś złośliwą chęcią pomniejszenia wartości współczesnej emigracji w porównaniu z jej wielką Poprzedniczką. Po prostu zmieniły się czasy. W przeszłości rozporządzaliśmy na Zachodzie dowolną ilością „wtyczek”, dziś nie mamy ani jednej. Odbija się to fatalnie na naszym sposobie politycznego myślenia i na tonie dyskusji. Niech pan nie zapomina o tym, że żyjemy w erze meteorycznego wzrostu znaczenia i roli informacji. Kto ma do niej dostęp, ten wstąpił na drogę wiodącą

do pieniędzy i władzy. Kto jest jej pozbawiony, jest spychany na dół, do poziomu, gdzie zdany jest na skrót myślowy i nieznosne uproszczenia typu: „każdy pacyfista jest pachołkiem Moskwy”, lub „nie ma istotnej różnicy między wynalazkiem prochu strzelniczego, a bomby nuklearnej”, itd., itd. W historycznym procesie wyklinowania dawnych arystokratycznych elit i zastąpienia ich przez nowe nie mogliśmy wziąć udziału, bo byliśmy na Zachodzie ludźmi z zewnątrz, z obcego, politycznie nawet wrogiego świata i owe wykształcające się elity, owi dzisiejsi „właściciele planety” nie mieli żadnego interesu, by nas dopuścić do swego grona.

Może w tym miejscu naszych rozważań o emigracji należy dla symetrii uzupełnić jej obraz stwierdzeniem, że i na Wschodzie nasza zdolność wywierania wpływów zanikła do zera. To stwierdzenie nabiera wypukłości, gdy porównać stan obecny z nie tak przecie odległą przeszłością przedrewolucyjną, gdy w rezultacie zsyłek, przymusowego przemianowania na Ziemiach Zabranych osiadłej tam polskiej ludności na poddanych cara, migracji młodzieży na uniwersytety w Dorpacie i Petersburgu i w końcu dobrowolnej emigracji przedsiębiorczego elementu z Kongresówki — wpływy polskie na całym terytorium Imperium, od granicy Królestwa do Kamczatki były bardzo znaczne. Z tego wszystkiego nie pozostało dosłownie nic. Carski *establishment* mógł i był przez nas penetrowany; nie można tego powiedzieć o nomenklaturze — tej nowej formie sowieckiego *establishment*'u, albowiem po ścieżkach do niej wiodących Polacy psychicznie chodzą nie są skłonni, a nawet, gdyby tacy się znaleźli, wygrzyzono by ich w pół drogi. Dlatego wydaje się, że niesławnej pamięci Dzierżyński i Radek (ur. we Lwowie) byli ostatnimi Polakami, którzy odegrali rolę, i to niechlą, w historii Imperium.

W rezultacie, jak pan widzi, jesteśmy zawieszani między dwoma światami, zachodnim i wschodnim, z których żaden nie uznaje nas za swoich. To jest sytuacja wśród narodów świata zupełnie wyjątkowa. Dzielą ją z nami Węgrzy i Czesi i inni satelici. Ale to chyba niewielka pociecha.

Pyta pan, drogi przyjacielu, jakie powinny być więc wskazania dla ludzi młodych, którzy zdecydowali się na emigrację? Moja odpowiedź jest podobna do tej, którą Karol Chodkiewicz dał pytającemu go o to młodzieńcowi: „*Disce puer, et ego te faciam mociumpanie*”. Czyli, że w tych bardzo trudnych warunkach trzeba wam młodym emigrantom żelaznej woli i wytężonej pracy, by uniknąć sproletaryzowania psychicznego. Gdyby pan był Włochem, Grekiem, Ormianinem, czy Chińczykiem, a nawet świeżo z ZSSR przybyłym emigrantem żydowskim, miałby pan ze stu bliższych, czy dalszych krewniaków rozsianych po pięciu konty-

mentach, gotowych przypiąć panu ostrogi dla wystartowania w świat Poinformowany. Ale, że jest pan tylko Polakiem, musi pan liczyć wyłącznie na siebie samego, w czym powinno być panu pomocne przeświadczenie, że talent i rzetelna praca opłacają się w świecie, w którym pan się znalazł. Temu przecie, a nie protekcjom i wpływowi zawdzięczamy, że mimo wszystko, my Polacy zaczynamy wolniutko dochrapywać się naszej polskiej siateczki, z konstelacją gwiazd pierwszej wielkości na czele, jakimi są Miłosz, czy Kołakowski i z tuż za nią pobłyskująca mgławicą najnowszej jasności, do której należy zaliczyć pokazaną grupę naszych profesorów na uczelniach pięciu kontynentów i innych pięknoduchów. Tylko, że ta polska elita emigracyjna jest elitą DUCHA, bardzo odległą od *establishment*'u dysponującą informacją, a przez nią — władzą.

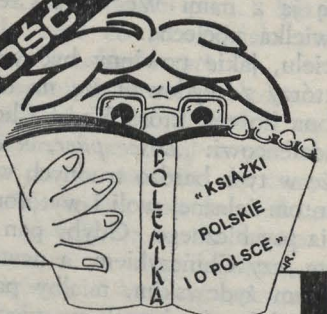
Na zakończenie i na pamiątkę tej rozmowy wręczam panu tę oto chochlę, której nie udało mi się naprawić. Radziłbym panu powiesić ją sobie nad łóżkiem, jako memento tego, co się panu zdarzy, w razie gdyby pan zapomniał, albo zlekceważył naszą rozmowę.

W. LEDÓCHOWSKI

Johannesburg, styczeń 1983 r.

P

NOWOŚĆ



**KSIEGARNIA
POLEMIKA**

WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ
ANTYKWARIAT

49, RUE GAY LUSSAC
75005 PARIS
TÉLÉPHONE : 354.25.48

MÉTRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Nie jest miło zaczynać przegląd od złej nowiny, ale obowiązki sprawozdawcy prasowego nie pozostawiają mi wyboru. Nie mogę ukryć, że centralny organ KC KPZS oznajmił 4 marca, iż budowa socjalizmu nie została jeszcze w Polsce zakończona. Wyobrażam sobie bez trudu niedowierzanie, protesty, może nawet wstrząs czytelników, ale nic nie poradzę: wyrok wydał i podpisał znany specjalista-marksiasta R. Kosołapow. „Ani przed kryzysem, ani tym bardziej teraz nie można, zdaniem samej PZPR, uznać, że cele okresu przejściowego zostały w Polsce całkowicie zrealizowane, a społeczeństwo polskie uporało się z zadaniem pełnej budowy socjalizmu” — stwierdził wyspecjalizowany marksista.

Zdanie to, powołujące się na opinię „samej PZPR” (spróbowaliby mieć inną!) stanowi wniosek z marksistowskiej analizy polskiego kryzysu. Analityczny artykuł nosi tytuł „Socjalizm: organiczna jedność ustroju socjalistycznego”. R. Kosołapow wykląda w nim „marksistowsko-leninowską koncepcję wysoko rozwiniętego socjalizmu”, zaaprobowaną na użytek dnia bieżącego przez największego marksistę naszych czasów J. W. Andropowa w artykule pt. „Nauka Karola Marksa a niektóre zagadnienia budownictwa socjalistycznego w ZSSR” (*Komunist* nr 3/1983).

Wysoko rozwinięty (czyli dojrzały) socjalizm stanowi „organizmicznie zwarty ustrój społeczny”. Takie zadanie — „socjalistyczną zawartość ustroju społecznego” — postawiono przed komunizmem zaraz po rewolucji październikowej. Zmierzając do tego celu trzeba było „przebudować życie na zasadach kolektywizmu”, zdobyć ster gospodarki, wyrzucić do góry nogami pracę w rolnictwie i różnorodność przemysłu, zlikwidować klasy i antagonizmy między narodami, czyli krótko mówiąc zbudować „społeczeństwo bezklasowe, społecznie jednolite” na bazie „nowej wspólnoty historycznej — narodu sowieckiego”. W koncepcji tej nie ma niczego nowego. Pojęcie „nowej wspólnoty historycznej — narodu sowieckiego” pojawiło się w propagandzie sowieckiej w latach sześćdziesiątych jako — wydawałoby się — zwykłe tłu-

maczenie z języka obcego. W latach trzydziestych nazywało się to *Volksgemeinschaft*. Pojęcie socjalizmu jako organicznej jedności ustroju społecznego, etapu na drodze ku „jednolitemu społeczeństwu” także było znane: oznacza ono społeczeństwo totalitarne. Gwarantem społeczeństwa socjalistycznego czyli „organicznie jednolitego” lub też „jednorodnego” (czytaj totalitarnego) ma być — zdaniem J. Andropowa - R. Kosołapowa — klasa robotnicza, „najbardziej rewolucyjna klasa współczesnej epoki”, zajmująca „kierowniczą pozycję w społeczeństwie”.

W tym miejscu autor artykułu potyka się o Polskę, jednak „dialektyka marksistowska” pozwala mu gładko obejść przeszkodę. Okazuje się — przyznaje autor — że „od niedawna w pojedynczych publikacjach pojawiają się, powołujące się na kryzysowe zjawiska w Polsce, aluzje do koniecznej 'nowej lektury' znanej leninowskiej tezy, że 'antagonizmy i sprzeczności to bynajmniej nie to samo. Pierwsze zanikną, drugie pozostaną w socjalizmie'”. Znaleźli się jak widać ludzie, którzy — powołując się na przykład Polski — zaczęli twierdzić, że w dojrzałym socjalizmie „możliwe są antagonizmy społeczne”.

Być może doszło nawet do dyskusji. Spór jednak rozstrzygnięto: nie może być antagonizmów w socjalizmie. Jeśli są, to nie jest to socjalizm. Wniosek jest oczywisty: to co się stało w Polsce mogło się stać tylko w Polsce, gdzie od dziesiątków lat istnieje prywatna własność ziemi, kapitalistyczny sektor gospodarki, „a także wpływowe ideologiczne prądy antysocjalistyczne”. Zadanie PZPR jest zatem jasne: trzeba dokończyć budowy socjalizmu, usuwając to, co stoi na drodze. W Związku Sowieckim wszystko idzie jak najlepiej, bo zakończono budowę dojrzałego socjalizmu. Żadnych kryzysów być nie może. Tym niemniej mogą się pojawić pewne trudności, bo nie zostały jeszcze zlikwidowane „indywidualne antagonizmy” i „zdarzają się rozdziewki między poszczególnymi ludźmi”, a także „przeciwieństwa między interesami jednostek lub grup a interesami całego społeczeństwa”.

Teoretycy sowieccy przyznają, że „indywidualne antagonizmy” potrwają jeszcze jakiś czas. Czołowy marksista J. Andropow podkreślił w swym artykule, że partia przestrzega przed „możliwą przesadą w ocenie stopnia bliskości kraju do wyższej fazy komunizmu”. W przekładzie na normalny język znaczy to, Chruszczow był głupi, podając konkretną datę dojścia do stacji „komunizm”. My, żeśmy mądrzejsi, powiadamy: dojdziemy, ale nie jutro i nawet nie pojutrze. Po tym przezornym zastrzeżeniu partia „określiła swą strategię i taktykę na najbliższe lata oraz na dalszą perspektywę”.

Teoretyczne artykuły zamieszczone w *Komuniście i Prawdzie* potwierdzają, że posunięcia nowego pierwszego sekretarza nie są dziełem przypadku, tylko wynikiem przemyślanej taktyki na drodze przewycięzania trudności, jeżdżących się na drodze ku „wyższej fazie komunizmu”. Lenin uczył swych następców, że trzeba wybierać słabe ogniwa i w nie uderzać, wtedy łańcuch się roz-

padnie. J. Andropow nie robi niczego innego: wybrał sobie słabe ogniwo i wali w niego, żeby umocnić sowiecki łańcuch. Słabe ogniwo to dyscyplina. Sowiecki naród rozburzył się — pora wziąć go w karby. Partia ma w swym ręku dwa wypróbowane instrumenty: KGB i wszechmocny aparat ideologiczny, Terror i Słowo. Jest całkiem naturalne, że obecny pierwszy sekretarz opiera się przede wszystkim na doświadczeniu pierwszego generalnego sekretarza, którego trzydziestolecie śmierci — 5 marca 1983 — oficjalnie nie obchodzono. Sowiecki obyczaj każe obchodzić rocznice urodzin. *Sowiecka kultura* jednak nie wytrzymała. Piątego marca, w dzień żałoby, gazeta zamieściła ogromny artykuł pod obiecującym tytułem „CIA przeciw ZSSR”. W słowie wstępnym redakcja stwierdza, że czytelnik dostaje do ręki „rozdział z książki znanego historyka sowieckiego, prof. N. N. Jakowlewa, która ukaże się w wydawnictwie *Mołodaja Gwardia*”. Prof. Jakowlew znany jest z tego, że specjalizuje się w jednym jedynym temacie — CIA. Reprezentuje on tych uczonych sowieckich, których nazywa się „naukowcami na służbie”. Nic w tym dziwnego, że publikuje się rozdział z jego książki. Rzecz w tym jednak, że książka ta wyszła już w Moskwie dwukrotnie: w roku 1980 i w roku 1981 (za każdym razem w stu tysięcznym nakładzie). Obecne wydanie jest trzecim. Porównując poprzedni tekst z obecnym, odnajdziemy nowe elementy ery Andropowa. N. Jakowlew dorzucił jedną stroniczkę, na której czterokrotnie wspomina tragiczny dzień śmierci J. W. Stalina. Śmierć Stalina, twierdzi „historyk na służbie”, stała się dla USA, czyli dla CIA, sygnałem do rozpoczęcia „bezlitosnej wojny psychologicznej z ZSSR”. Śmierć Stalina stała się hasłem dla tych wszystkich, którzy „oświadczyli w naszym kraju, że 'myślą inaczej' i — niezależnie od tego, czy mieli takie zamiary, czy nie — przystąpili do realizacji wskazówek CIA”. W poprzednich wydaniach N. Jakowlew wskazywał tylko, że „na środek i drugą połowę lat pięćdziesiątych przypadają skoncentrowane wysiłki zachodnich służb specjalnych, w pierwszym rządzie CIA, starających się podważyć ideowe podstawy społeczeństwa sowieckiego”. W marcu 1983 r. N. Jakowlew oznajmia otwarcie: po śmierci Stalina naród się rozpuścił, pojawiły się teorie o „wolności twórczej”, „bezpartyjności” itp. Szczególnie wzburza N. Jakowlewa słowo „odwilż”, zrodzone po śmierci Ojca i Nauczyciela. A to co takiego, zapytuje groźnie. Dzisiaj „odwilż” czyli wczoraj był mróz?

Żadnego mrozu nie było, zapewnia N. Jakowlew — panowała normalna stalinowska temperatura, której dziś zabrakło, a bez której CIA pozwalała sobie „podważać podstawy”.

Artykuł „historyka na służbie” jest ciekawy z dwu względów: po pierwsze dlatego, że nazwano w nim po imieniu Stalina jako wzór i natchnienie; po drugie dlatego, że broni się w nim Puszkina przed ohydny „dysydentem”, „odszczepieńcem Andriejem Siniawskim-Abramem Terzem”. Stalin i Puszkina stają się sztandarami „nowych czasów”. Stalin zgodnie z prawdą jako największy morderca XX wieku, Puszkina w wersji spreparowanej tak,

że z wielkiego poety zostało tylko imię. Artykuł R. Kosołapowa, w którym cytowani są Andropow, Lenin, Marks i Engels, nie przypadkiem kończy się cytatem z Puszkina: „W dziedzinie myśli ustąpić nam nie wolno” — pisał jeszcze Puszkina. Jakże świeżo brzmią te słowa, zastosowane do koncepcji wysoko rozwiniętego socjalizmu”.

Przywiązanie sobie Puszkina, nasywanie go sowiecką ideologią zaczęło się w połowie lat trzydziestych. Jednak dopiero dziś został ostatecznie przeplancowany i wrzucony do kotła, w którym gotuje się duchowa stawa dla człowieka sowieckiego. Puszkina zajmuje dziś miejsce Gorkiego na czele pisarzy opiewających realny socjalizm i KGB. Dlatego książka Siniawskiego „Przechadzki z Puszkinem”, przywracająca pocie ludzki wymiar, stała się tak groźna.

Andropow nie musi się na razie uciekać do masowego terrorku. Kontynuuje politykę „pełzającego terroru”, którą stosował Breżniew, tyle że znacznie zaostrzył kary. Wszystko dzieje się w zgodzie z sowieckim prawem: 1 stycznia 1983 wprowadzono zmiany do szeregu artykułów kodeksu karnego. Wszystkie polegały na zwiększeniu wymiaru kary. Sprecyzowano też artykuł 1 kodeksu karnego. Dawniej brzmiał on: „Zadaniem Kodeksu karnego RFSSR jest ochrona systemu społecznego i państwowego ZSSR”. Teraz mowa jest o ochronie „ustroju społecznego ZSSR i jego systemów politycznego i ekonomicznego”. Te prawnicze subtelnosci nie przeszkadzają KGB, „puklerzowi i mieczowi rewolucji”, postępować wbrew prawu. W imię zagęszczania atmosfery strachu wprowadzono system „przeszukań”. Na rewizję trzeba mieć nakaz, dla przeszukania wystarczy życzenie KGB: funkcjonariusze organów przychodzą, „przeszukują” półki z książkami i szafy biblioteczne i spisują interesujące ich książki. Ku przestrodze. Najlepszym sposobem zastraszenia pozostaje, jak dawniej, nieproporcjonalny do „przestępstwa” okrutny wyrok. Moskiewski fizyk Wadim Jankow skazany został 21 stycznia za „List do robotników rosyjskich w związku z wydarzeniami w Polsce” na 4 lata obozu o ostrym reżymie i 3 lata zesłania. Zwracając się do rosyjskich robotników Jankow zapytywał: „... Chciałbym teraz, byście odpowiedzieli sobie uczciwie na następujące fundamentalne pytanie: czy problemy Polski nie są również naszymi problemami?”. Moskiewski matematyk Walery Siedierow skazany został 28 lutego na 7 lat obozu i 5 lat zesłania za „działalność antypaństwową”. Sądząc po uzasadnieniu wyroku, jego przestępstwo polegało na tym, że „przygotowywał i rozpowszechniał antysowiecką literaturę” (chodzi o „Archipelag GUŁag”, książki Orwella, *Kronikę bieżących wydarzeń* i *Biuletyn Informacyjny SMOT-u* — Wolnego Międzyzawodowego Związku Robotników).

Najbardziej niesłychany wyrok ostatnich miesięcy zapadł w Kijowie przeciw 29-letniej Irinie Ratuszyńskiej, skazanej na 7 lat łagrów i 5 zesłania za kilka wierszy ogłoszonych na Zachodzie.

Kiedy moskiewski sąd skazał w roku 1966 A. Siniawskiego na 7, a J. Daniela na 5 lat łagru, wieść o tym rozeszła się po całym świecie, budząc wszędzie oburzenie albo niedowierzanie — 7 i 5 lat obozu za literaturę?! Wyrok przeciw Irinie Ratuszyńskiej nie zwrócił niczyjej uwagi.

Przeciwno ludziom starającym się nadal myśleć zapadają beztalskie wyroki. Ruch dysydencki został rozgromiony i nie istnieje już dziś nawet w tej niezorganizowanej formie, w jakiej istniał w latach 60-tych. Andropowowskie wyroki są wyrazem polityki, której celem jest przede wszystkim uruchomienie mechanizmów strachu, po drugie zaś wyjąłowanie gleby, na której mogą rodzić się „inaczej myślący”. KGB niszczy „żywielską glebę”, z której rodzi się inteligencja, wytrzebając ziarno i pędy, które w niej przetrwały.

Jak zwykle zaciąga się nad tym wszystkim zasłonę dymną, mającą zakamufłować rzeczywistość. W dniach kiedy Irinie Ratuszyńskiej odczytywano akt oskarżenia i wyrok, inny poeta, Andriej Wozniesiński, tłumaczył w Paryżu, jak wysoko naród sowiecki ceni napisaną przezeń (współ z kompozytorem) rockoperę o możliwościach przyjaźni sowiecko-amerykańskiej. W tym samym czasie czołowy prozaik sowiecki Czingiz Ajtmatow mówił w tymże Paryżu o konieczności obrony pokoju, ze wzruszeniem spoglądał na weteranów ruchu oporu zebranych na placu Stalingradzkim w Marsylii i odwiedzał redakcję *Humanité*. „Ludzie ci — powiedział o sowieckich pisarzach głoszących na świecie słowo sowieckie Josif Brodskij — tworzą pozory istnienia literatury”. Byłoby zresztą niesprawiedliwością sądzić Wozniesińskiego i Ajtmatowa a nie wspomnieć o Georges Simenonie, którego jubileusz uroczysto obchodzono w Związku sowieckim. Georges Simenon złożył przed telewizjami sowieckimi wyznanie miłości do socjalizmu i nienawiści do kapitalizmu. Niepozabawieni poczucia humoru organizatorzy audycji wysłali do ojca komisarza Maigret ulubionego autora KGB Juliana Siemionowa. Georges Simenon z rozczuleniem rozwodził się nad podobieństwem ich nazwisk i zawodów, nie podejrzewając nawet, jaka jest rzeczwiśta profesja jego sowieckiego gościa.

Osiągnięcia w dziedzinie represji i ideologicznego przykręcania śruby nie powinny nam przesłaniać sukcesów gospodarczych. *International Herald Tribune* opublikowała 23 lutego korespondencję z Moskwy Dusko Damera pod tytułem „Śmiałe początki Andropowa”. Nigdy jeszcze od czasów wojny, kiedy w USA czule kochano Stalina — *oncle Joe* — nikt tak nie chwalił sowieckiego wodza. Zdaniem Dusko Damera Andropow chce dla wszystkich dobrze; jego głównym zmartwieniem są ludzie, którzy „boją się go, ale szanują”; „jego prostota działa na naród odświeżająco” itd., itp. Artykuł wstępny w *Prawdzie*, wtórując jakby amerykańskiemu korespondentowi oznajmia, że akcja zwiększania dyscypliny dała pierwsze owoce: w styczniu 1983 wydajność pracy wzrosła o 5,5%. Dodajmy, że wśród „środków ekonomicznych” zastosowanych po listopadzie 1982 była zorganizowana w

zakładach pracy operacja „chronometr”. Robotnikom i urzędnikom wręczono kwestionariusze z napisem „Znalezione minuty”. W kwestionariuszu trzeba wypełnić rubryki: 1) Pełny adres przedsiębiorstwa; 2) konkretnych winowajców a także przyczyny przestoju, przerw i opóźnień; 3) zastosowane środki zyskania czasu. We wskazówkach odnośnie wypełniania kwestionariusza czytamy: „Prosimy wskazać miejsce pracy i zawód. Nazwisko — fakultatywne”. Donos może być anonimowy. W dawnych dobrych czasach Stalin mówił, że jeśli donos zawiera 5 % prawdy, to jest potrzebny. Niewykluczone, że właśnie operacja „chronometr” dała 5,5 % wzrostu wydajności pracy.

Artykuł wstępny w *Prawdzie* przyznaje jednak, że „zadania przewidziane na pierwsze dwa lata pięciolatki nie zostały wykonane, a wydajność pracy rośnie w tempie, które nie może nas zadowolić”. Chcąc poprawić sytuację, Biuro Polityczne postanowiło zastosować kolejne środki. Na wspólnym posiedzeniu Biura Politycznego i Rady Ministrów ZSSR przyjęto uchwałę o konieczności przedłużenia czasu pracy w sklepach. W szeregu miast sklepy zaczęto otwierać dwie godziny wcześniej, a zamykać godzinę później niż dotychczas. Zasada ta objąć ma z czasem wszystkie sklepy w ZSSR. W ten sposób — zapewniają autorzy tej innowacji — nie trzeba będzie wychodzić z pracy na zakupy. Naród sowiecki jednomyślnie poparł tę zmianę, od razu jednak wyszło na jaw, że jeśli w sklepie niczego nie ma, godziny otwarcia nie mają znaczenia.

Najprzenikliwi zachodni historycy literatury, stwierdziwszy zupełny zanik poczucia humoru w literaturze sowieckiej, bezskutecznie szukają przyczyn tego zjawiska. Tymczasem odpowiedź jest prosta. Życie w ZSSR jest samo w sobie tak humorystyczne, że nie sposób napisać czegoś śmieszniejszego niż poważny artykuł sowieckiego dziennikarza. Jaki by nie był mój zachwyt dla talentu Sławomira Mrożka, wątpię, czy nawet on potrafiłby napisać opowiadanie śmieszniejsze od korespondencji A. Nikitina, zatytułowanej „Niełatwe zagadki bazaru” (*Literaturnaja gazeta* nr 9). A. Nikitin udał się z polecenia gazety na bazar w Kałudze. Wyszedł stamtąd zbulwersowany: „Bazar jest skomplikowany jak łamigłówka. Jak atom na rysunku współczesnych fizyków”. Korespondent własny *Literaturnoj gazety* odkrył, że na bazarze odbywa się — a w każdym razie może się odbywać — handel niekontrolowany: jedni sprzedają, a drudzy kupują. Jest to tak skomplikowane, że — jak przyznaje korespondent — ma się ochotę „wziąć w karby, ograniczyć, uregulować, postawić przy każdym handlarzu milicjanta i śledczego...”. Nasz korespondent nie do końca się zgadza z tak radykalnym rozwiązaniem, ale też uważa, że koniecznie trzeba coś zrobić... Tylko co? Niewykluczone, że ten szalenie skomplikowany problem zostanie rozwiązany, bo opublikowano nareszcie wielotomowe dzieło pt. „Dialektyka materializmu jako powszechna teoria rozwoju”.

Na razie sowiecka machina propagandowa znalazła inne wyjście. Ponieważ w sklepach brak towarów a trzeba na to znaleźć

nie budzące wątpliwości wytłumaczenie, w prasie sowieckiej zaczęły się pojawiać korespondencje o wojnie, która oficjalnie nie istnieje: w Afganistanie. Gazety donoszą o ofiarach, nawet o niektórych zwycięstwach „basmaczy”-„duszmanów”, o potrzebie pomocy dla bratniego narodu. Komu przyjdzie do głowy skarżyć się, skoro toczy się wojna? Na dodatek nie przestają wbijać czytelnikom, widzom i słuchaczom sowieckim do głowy, że świat stoi u progu wojny atomowej. Zagłada z rąk amerykańskich imperialistów grozi nie tylko dalekiemu Afganistanowi. Zginąć może i nasz kontynent. Nowy sowiecki film dokumentalny nazywa się „Porwanie Europy”. Amerykański byk szykuje się do porwania naiwnej, łatwowernej piękności: „Trzeba zrobić wszystko co w ludzkiej mocy, aby mit ten nie przerodził się w realną tragedię narodów” (*Izwestia* z 21 lutego br.). Marszałek Ustinow w dniu wojska sowieckiego też oświadczył, że ma dość sił, żeby przytrzeć rogów każdemu, kto się tylko poważy... Andropow rządzi wszystkiego cztery miesiące, a w gazetach coraz więcej przyjemnych wiadomości. Na przykład korespondent *Izwestii* w Warszawie A. Drużienko opowiada o gościnnym domu przy ulicy Foksal 10. W domu tym przechowuje się złotą księgę wpisów honorowych gości. Dziennikarz sowiecki cytuje jeden z ostatnich, najcieplejszych wpisów: „Ten cudowny wieczór spędziliśmy w kręgu prawdziwych przyjaciół, którym z okazji 60-lecia utworzenia ZSSR życzymy dalszych sukcesów w budowie świetlanej przyszłości. Podpisano: lotnik-kosmonauta PRL Mirosław Hermaszewski”.

Wpisując się tymi ciepłymi słowy, lotnik-kosmonauta PRL być może wiedział już o kolejnym sukcesie kosmonautyki sowieckiej. Jak oświadczyła agencja TASS, 22 lutego br. sowieccy i czescy uczeni zbudowali specjalny kontener, pozwalający na hodowanie w kosmosie przepiórek. Niewykluczone, że w ślad za tym zorganizuje się w kosmosie także hodowlę innych ptaków, a także (sowiecka nauka nie zna granic!) płodów rolnych, zwierząt itd.

Przeniesienie sowieckiego rolnictwa w kosmos to sprawa przyszłości — choćby niedalekiej. W lutym 1983 roku rozpoczęto taśmową „produkcję wysokiej jakości džinsów”. Niewykluczone, że jeśli kaliningradzka szwalnia upora się z tym zadaniem, naród sowiecki odzieje się w džinsy i zapomni o wszystkich niedostatkach. Jest całkiem naturalne, że sowieccy specjaliści od tekstyliów przez ponad dziesięć lat nie mogli sobie poradzić z zawiłym problemem džinsów. W trosce o ludzi sowieckich J. Andropow kupił licencję we Włoszech. Sowieckie džinsy będą kosztowały wszystkiego 40-50 rubli. Rencista na przykład będzie mógł za miesięczną rentę kupić prawie całą parę spodni. Kwalifikowany robotnik albo lekarz — dwie do trzech par. Najciekawsze jednak jest to, że państwo sowieckie — być może na mocy specjalnej uchwały Biura Politycznego — nabyło licencję na džinsy firmy „Jezus”.

Adam KRUCZEK

Kronika niemiecka

Sto wierszy polskich w wyborze i tłumaczeniu Karla Dedeciusa ukazało się w krakowskim *Wydaństwie Literackim*. Książka składa się z tekstów w dwu językach; wiersze polskie mają swoje tłumaczenie niemieckie. Dedecius wybrał wiersze od Biernata z Lublina począwszy, aż po współczesnych poetów. ■ Polska podpisała z NRD umowę na dostawę w 1983 roku — 4,1 tys. samochodów marki *Trabant* oraz 7,6 tys. *Wartburgów*. ■ Prokuratury i sądy w RFN prowadzą aktualnie dochodzenia przeciwko 1.671 osobom podejrzanym o dokonanie zbrodni ludobójstwa przeciwko hitlerowskiemu. ■ *Pielgrzymek* do PRL ciąg dalszy: w Warszawie przebywała delegacja *Zjednoczenia Polaków w Berlinie Zachodnim* z prezesem Henrykiem Olkiewiczem. Oczywiście pierwszym punktem programu było złożenie wizyty w *Towarzystwie Polonia*. ■ Statek-prom m/ł *Rogalin* utrzymuje połączenie na nowej trasie: Szwynoujście - Kopenhaga - Travemünde k/Lubeki (RFN); przedsiębiorstwa z Danii i RFN są zainteresowane szybkim transportem towarów drogą morską. *Polska Żegluga Bałtycka* (Kołobrzeg) uruchomi w okresie turystycznym podróże jednego z promów na trasie Travemünde (RFN) do portu Ronne na wyspie Bornholm. Prasa krajowa milczy na temat polskiej turystyki w tym rejonie. ■ RFN już nie jest największym partnerem handlowym Związku Sowieckiego. Na pierwsze miejsce miejsce wysunęły się Stany Zjednoczone... ■ *Stowarzyszenie Przemysłu i Handlu* w Kolonii poinformowało, że w ubiegłym roku RFN zanotowała rekordowy deficyt bilansu handlowego w obrotach ze Związkiem Sowieckim. Ujemne saldo RFN wyniosło w 1982 roku 1,96 mld marek. ■ Praca W. M. Góralskiego, zatytułowana *Związki zawodowe w RFN (IWZZ, Warszawa 1983)* jest nieudaną próbą określenia roli i miejsca ruchu zawodowego, przede wszystkim związków zawodowych zrzeszonych w *Federacji Niemieckich Związków Zawodowych (DGB)*. *Trybuna Ludu* o książce: „może przynieść pewne korzyści w trudnym okresie odradzania się ruchu związkowego w naszym kraju”. ■ *Wydział Młodzieżowy* centrali *Niemieckich Związków Zawodowych (DGB)* wydał obszerną publikację pt. *Związki zawodowe w Polsce*; na książkę składają się referaty wygłoszone na seminarium związkowym w Oberursel (Hesja), poświęcone *Solidarności*. Ceną publikację uzupełniają tłumaczenia z *Who's Who — What's What in Solidarnosc*, leksykonu wydanego na *1 Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ Solidarnosc*. ■ Wydawany w Berlinie Zachodnim polski dwutygodnik *Pogląd* odnotowuje „wyczyni” niektórych działaczy *Niemiecko-Polskiego Towarzystwa*: „Zupełnym upadkiem myśli było stwierdzenie p. Teresy Pusylewitsch (Polki z urodzenia — przyp. A. J. Ch.), prawnika z kilonńskiego uniwersytetu, że przyczyną klęski *Solidarności* było uzurpowanie sobie przez ten związek prawa do... reprezentowania robotników, co było dotąd domeną partii robotniczej. W tej konkurencyjnej walce partia oczywiście nie mogła pozwolić sobie na oddanie pola. Pani Pusylewitsch napisała nawet na ten temat naukowy szkic. Wypada tylko pogratulować!”. *Komitet Obrony Solidarności (KOS)* działający w Berlinie Zachodnim (Katzbachstrasse 36, 1000 Berlin 61) wydał pierwszy numer *Poglądu* w języku niemieckim (dwumiesięcznik). ■ Członkowie *Komitetu Walki o Prawo do Niezależnych Związków Zawodowych* (Düsseldorf), zażądali natychmiastowego zwolnienia z więzienia działaczy *Solidarności* i KSS „KOR”. Należy dodać, że do inicjatorów tej akcji należy także osiadły w RFN znany rosyjski pisarz i dzia-

łacz na rzecz praw obrony człowieka Lew Kopelew. ■ H. Bleiber i J. Kosiński wydali we wschodniobrzeńskiej *Akademie-Verlag* obszerną pracę pt. *Dokumente zur Geschichte der deutsch-polnischen Freundschaft 1830-1832* (*Dokumenty do historii przyjaźni niemiecko-polskiej 1830-1832*). ■ Wielkie dzienniki zachodniemieckie zamieściły i skomentowały obszerne fragmenty artykułu, jaki ukazał się w partyjnym organie NRD *Neues Deutschland*. W artykule mowa o przerażającym obrazie, jaki rzekomo przedstawia obecnie RFN. Mowa tam o ruinie Zagłębia Ruhry, o stacjonowaniu się wielkich miast w nędzę, o tysiącach bezdomnych i głodnych ludzi, którzy z rozpaczą sięgają po narkotyki i alkohol. Obraz NRD odmalowany jest natomiast, jako jedna wielka sielanka; pełne zatrudnienie dla wszystkich oraz znakomity system socjalny stwarzający pełne zaufanie, wręcz miłość do rządu. ■ W Hamburgu odbyło się sympozjum na temat Europy Wschodniej (*Was können wir im Westen aus den Erfahrungen der Menschen aus dem Osten lernen?*). W udanej imprezie wzięto udział ok. 200 osób; naukowcy, dziennikarze, pisarze społeczno-polityczni i studenci *Hermann-Ehlers-Akademie*. Stefan Trzciniński, kierownik *Biura Informacyjnego Solidarności* (Sztokholm) omawiał doświadczenia z okresu opozycji demokratycznej i działalności *Solidarności* w Polsce; poświęcił sporo krytycznych uwag niedocenianiu przez Niemców i inne narody zachodnioeuropejskie tych właśnie doświadczeń. ■ W *Ullstein Verlag* (Berlin Zachodni) ukazała się powieść Elizy Orzeszkowej *Die Hexe (Dziurdziowie)* w tłumaczeniu Gustava Rahna. ■ W 40-tą rocznicę decyzji zniszczenia getta warszawskiego (lutym 1943) i powstania w getcie (kwiecień-maj 1943) Władysław Bartoszewski wygłosił w lutym 1983 w Monachium — w ramach cyklu imprez *Katolickiej Akademii* — prelekcję pt. *Getto Warszawskie — jak było naprawdę. Relacja świadka-chrześcijanina*. Obecnych było ok. 400 osób, wśród nich minister nauki Bawarii, rektor monachijskiego *Universytetu im. Ludwika Maksymiliana*, liczne grono uczonych i działacze społecznych oraz kulturalnych. Tej samej problematyce poświęcony był wieczór Bartoszewskiego *Walka i śmierć Getta Warszawskiego 1943* zorganizowany wspólnie przez *Towarzystwo Współpracy Chrześcijańsko-Żydowskiej* i *Towarzystwo Niemiecko-Izraelskie* w synagodze w Bonn. Echem odczytów Bartoszewskiego były m.in. obszerne sprawozdania w bońskim dzienniku *General Anzeiger* oraz w tygodniku *Allgemeine Jüdische Wochenzeitung*; *Wolna Europa* poświęciła specjalną audycję wystąpieniu Bartoszewskiego w Bonn. W *Akademii im. Hermana Ehlersa* w Hamburgu mówił Bartoszewski o roli Kościoła w Polsce. *Süddeutsche Rundfunk* (Stuttgart) i *RIAS* (Berlin) emitowały godzinną dyskusję Bartoszewskiego z młodzieżą licealną na tematy społeczno-moralne w berlińskiej szkole im. *Gustava Heinemanna*. *Uniwersytet Wiedeński* przyznał Bartoszewskiemu *Nagrodę im. Gottfrieda von Herdera* na rok 1983, jedną z najważniejszych nagród europejskich. Nagroda ta (20 tys. marek) finansowana przez *Fundację Freiherr von Steina* w Hamburgu, przyznawana jest od 1964 roku corocznie osobistościom szczególnie zasłużonym w utrzymaniu i pomnożeniu dziedzictwa kultury europejskiej w duchu pokojowego porozumienia między narodami. Uroczystość wręczenia nagród odbędzie się 4 maja br. w siedzibie *Austriackiej Akademii Nauk w Wiedniu*. ■ W Berlinie Wschodnim obchodził 80-lecie urodzin nestor polonistyki w NRD, prof. Viktor Falkenhahn, założyciel katedry polonistyki na *Uniwersytecie im. Humboldta*. Wychował kilka pokoleń polonistów w NRD. ■ W lutym br. wysłano z Niemiec do Polski (tylko drogą pocztową) 87.041 paczek ■ *Kochanek wielkiej niedźwiedzicy*, film osnuty na głosnej powieści Sergiusza Piaseckiego, produkcji włoskiego reżysera Valentino Orsini, został wyświetlony w drugim programie zachodniemieckiej *TV*; w rolach głównych: Senta Berger i Gemma. ■ Paczki *Care* z RFN do USA: hamburski tygodnik *Die Zeit* donosi, że chadecja (*CDU*) wysłała paczki żywnościowe bezrobotnym w Detroit, w odpowiedzi

na apel gazety *US Army Stars and Stripes*. Do akcji włączyła się również promokiewska *Niemiecka Partia Komunistyczna (DKP)*. ■ W Berlinie Zachodnim czynna była pierwsza zagraniczna wystawa akwizycyjna polonijnych firm działających w PRL. Z ok. 240 firm zrzeszonych w *Inter-Polcom*, tj. polsko-polonijnej firmie przemysłowo-handlowej w Warszawie, prezentowało w Berlinie Zachodnim swoje wyroby ok. 20 przedsiębiorstw. Oferowano głównie wyroby odzieżowe, z drewna, metalu, łożdzie, zabawki itd. ■ Według dr. Herberta Czai, przewodniczącego *Związku Wypędzonych*, na ziemiach obecnie „administrowanych przez Polaków” żyje jeszcze ok. 1 mln Niemców. ■ Za uprowadzenie maszyny *LOT* z Budapesztu do Monachium 25 sierpnia ub. roku sąd skazał 28-letniego Ryszarda Paszkowskiego i 25-letniego Franciszka Sarzyńskiego na kary po 4,5 roku więzienia. ■ *Klub Polski* w Hamburgu (Moorkamp 5, 2000 Hamburg 6), siedziba *SPK* i *Okręgu I Związku Uchodźców Polskich* w Niemczech wydaje nieregularnie *Biuletyn Polskich Organizacji Niepodległościowych*. Redaktorem jest M. Pelc. ■ Kolońskie chóry kościelne objęły patronat nad jedną z klinik dziecięcych we Wrocławiu; dostarczane są lekarstwa i środki opatrunkowe. ■ NRD-owskie wydawnictwo *Aufbau Verlag* wydało *Bramy raj* Jerzego Andrzejewskiego. W przygotowaniu znajduje się powieść *Idzie skacząc po górach* tego samego autora. Natomiast *Verlag Volk und Welt* ma dostarczyć czytelnikom *Przybysza z Narbony* Juliana Strykowski. ■ W Berlinie Zachodnim trwają przygotowania w związku z otwarciem ekspozycji prac Tadeusza Kusielewicza. Na wystawie znajdują się m.in. cykle jego rysunków teatralnych do dzieł Bertolta Brechta. ■ Kryminalna powieść Romana Bratnego *Die Hunde (Psy)*, ukazała się we frankfurckim wydawnictwie *Suhrkamp Verlag* w przekładzie Klaua Staemmlera. *Frankfurter Allgemeine Zeitung* zamieściła bardzo krytyczną recenzję pióra Tadeusza Nowakowskiego. ■ *Trybuna Ludu*: polscy „kolejarze w ciągu doby przeładują z radzieckich na polskie wagony ok. 17-18 tys. ton głównie koksu, metali, surowki żelaza, bawełny, olejów technicznych, które są ekspediowane tranzytem do NRD”. ■ Jerzy Hoffmann, reżyser i ostatnio dyrektor *Teatru Miejskiego* w Zielonej Górze, opublikował na łamach zachodniemieckiego miesięcznika *Die Deutsche Bühne* interesujący artykuł o życiu teatralnym w Polsce w ostatnich dwóch latach. ■ W Düsseldorfie ukazał się pierwszy numer nieregularnego biuletynu pn. *Solidarni*. Pismo redaguje Lech Jan Jamka (4000 Düsseldorf 13, Kölner Str. 292), z ramienia *Klubu Polskiego im. Romka Strzałkowskiego*. ■ Wychodzący w Berlinie Zachodnim *Monitor (Wydawnictwo Grupy Przedstawicielskiej Polaków w Berlinie Zachodnim)*: „Pomimo decyzji o przyspieszonym trybie rozpatrywania podań o azyl czas oczekiwania na odpowiedź wynosi ok. 2 lat, a nawet dłużej. (...) Z pisma Ministra d/s Wewnętrznych z dn. 15. 09. 1982 wynika, że rozpatrywanie podań Polaków o azyl było wstrzymane po ogłoszeniu stanu wojennego i wznowione dopiero po 8 miesiącach. Czas ten miał być przeznaczony m.in. na ustalenie czy i w jakim stopniu można liczyć się z przesładowaniem i represjami ze strony państwa po powrocie do Polski”. ■ Polscy górnicy pracują pod kierunkiem inż. Mariana Wierzbickiego z Katowic w kopalni *Rheinpreussen* w Moers. Porozumienia międzyrządowe przewidują, iż każdego roku w RFN może pracować w ramach zawartych kontraktów ok. 8,5 tys. polskich specjalistów. W rezultacie bezrobocia jest ich niespełna 5 tys., a w ciągu bież. roku liczba ta na pewno jeszcze się zmniejszy. ■ Dzięki aktywności referatu prasowego niemieckiego kwartalnika *Kontinent*, prasa zachodniemiecka i radiostacje poinformowały o *Nagrodach KULTURY 1982*. ■ Według *Welt am Sonntag* w ambasadzie PRL w Kolonii (102 akredytowanych dyplomatów!) 18 osób zajmuje się prowadzeniem działalności wywiadowczej, 11 dalszych dyplomatów jest podejrzanych o działalność niezgodną ze statutem. *Misja Wojskowa PRL* w Berlinie zatrudnia 35 osób, z tego 13 zajmuje się szpiegostwem; 3 akre-

dytowanych dziennikarzy z PRL współpracuje z wiadomym resortem. Na placówkach *LOT-u* (Frankfurt, Berlin, Kolonia) 2 osoby współpracują a dalsze 4 są podejrzane o kontakty z wywiadem. ■ We frankfurckim *Suhrkamp Verlag* ukazała się książka J. Ch. Fr. Schulza pt. *Reise nach Warschau 1791-1793 (Podróż do Warszawy 1791-1793)*. Schulz przebywał w Warszawie jako delegat kurlandzkiej *Unii Obywatelskiej*. ■ W Düsseldorfie miało miejsce spotkanie Seweryna Blumsztajna, działacza *Solidarności*, z 60-osobową grupą słuchaczy (połowę stanowili Polacy). W czasie dyskusji większość pytań stawiali Niemcy, głównie członkowie organizacji marksistowskich, aktywni działacze lewicowej *ASTA* itd. Podczas spotkania niemieccy studenci rozprawdzali różne biuletyny i ulotki o *stricte* komunistycznym profilu. Podobny charakter miał *meeting* Blumsztajna ze studentami w Kolonii. Warto zapytać czołową *Solidarności* w Brukseli, czy akceptuje ona wyłącznie kontakty z lewackim marginesem życia politycznego w krajach zachodnich? ■ Film w reżyserii Romualda Dobrzyńskiego — *Meine deutsche Oma (Moja niemiecka babcia)*, wyprodukowany przez *Westdeutscher Rundfunk* i *Telewizję Polską*, został wyświetlony w III programie zachodniemieckiej telewizji. Film ma się również ukazać na szklanych ekranach w Polsce, ale w połączeniu z dyskusją dziennikarzy, w której weźmie udział m.in. Ryszard Wojna.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika ukraińska

Dnia 19 lutego br. zbiory biblioteki uniwersyteckiej w Toronto otrzymały cenny dar: mikrofilmy czasopism ukraińskich znajdujących się w bibliotekach Wiednia. Obejmują one publikacje, które ukazywały się na terytoriach wchodzących w skład monarchii habsburskiej. Wykonanie mikrofilmów sfinansował kosztem \$47.000 p. Peter Jacyk, przemysłowiec ukraiński w Toronto. Profesor Paul R. Magocsi, kierownik katedry ukrainoznawstwa, zdołał nakłonić go do sfinansowania tego projektu, mającego znaczenie dla badaczy problematyki ukraińskiej do okresu upadku monarchii austriackiej. Przekazanie zbioru poprzedziła konferencja z udziałem wybitnych specjalistów. Profesor Omelian Pritsak z Harvard University w obszernym referacie omówił rolę Galicji w historii Ukrainy i wschodniej Europy. Galicja odegrała w dziejach Ukrainy rolę Piemontu. Profesor Iwan Rudnyckij, historyk, mówił o znaczeniu zbioru i metodach wykorzystania go przez przyszłych badaczy historycznych. Prof. George Szewelow zajął się problemem językowym, prof. George Grabowicz — literackim, prof. Bohdan Budurowycz — bibliograficznym, prof. John Keep zagadnieniami polityki zagranicznej a prof. Mirosław Ciszewycz aspektami artystycznymi zbiorów. Katedra Ukrainoznawstwa wydała piękny ilustrowany katalog zbioru i urządziła wystawę publikacji ukraińskich. ■ Prof. Bohdan Budurowycz wygłosił 10 lutego br. prelekcję na temat stosunków ukraińsko-polskich w okresie niepodległości. W godzinnym referacie mówca przedstawił wszystkie złożone zagadnienia polityczne, gospodarcze, kulturalne i wyznaniowe. Wskazał, iż w następstwie upadku krótkotrwałego państwa ukraińskiego zaogniły się stosunki polsko-ukraińskie. Rządy polskie w niektórych okresach usiłowały doprowadzić do porozumienia, zapowiadały uwzględnienie podstawowych postulatów umiarkowanych rzeczników ludności ukraińskiej, ale nie realizowały ich. Strona ukraińska prowadziła —

ze zmiennym nasileniem — akcje terrorystyczne i sabotażowe, wywołując oczywiście represje władz polskich. Odpężenia były okresowe. Winę za ten stan rzeczy ponoszą obie strony. Władze polskie nie wprowadzały w życie liberalnych aktów to z powodu wewnętrznej opozycji, to znów z powodu terroru ukraińskich nacjonalistów. Umiarkowani politycy ukraińscy nie byli szczyrzy wobec Polaków, podobnie jak polscy wobec nich. I tak np. przywódcy UNDO odcinali się od działalności ugrupowań nacjonalistycznych, a w rzeczywistości utrzymywali z nimi kontakty i pomagali im w najtrudniejszych sytuacjach. Deklaracja lojalności obywatelskiej została złożona przez przywódcę UNDO, wicemarszałka Wasyla Mudry dopiero we wrześniu 1939 roku, po wybuchu wojny, a więc stanowczo za późno. Prof. Budurowycz wskazał, iż mimo napięć politycznych życie gospodarcze społeczeństwa ukraińskiego rozwijało się pomyślnie, żywa była również działalność kulturalna. Do założenia uniwersytetu z ukraińskim językiem wykładowym nie doszło głównie z winy polityków ukraińskich. Działał jednak tajny uniwersytet we Lwowie, o czym władze polskie doskonale wiedziały, zgadzając się po cichu na jego istnienie. Na Wołyniu pod rządami wojewody Henryka Józewskiego, byłego wiceministra spraw wewnętrznych rządu Petlury, Ukraińcy mieli być odseparowani od społeczeństwa ukraińskiego w Małopolsce wschodniej. Józewski chciał uchronić wołyńskich Ukraińców od nacjonalistów zamieszkających w województwach lwowskim, stanisławowskim i tarnopolskim. Tworzył rodzaj enklawy, co było polityką błędną. Społeczeństwo ukraińskie na Wołyniu było niewątpliwie narodowo mniej uświadomione, w przeważającej ilości również innego wyznania (prawosławne), niemniej błędem było założenie, iż można w jednym państwie, w stosunku do tej samej mniejszości narodowej, zamieszkałej w różnych częściach kraju, prowadzić odmienną politykę. Zdaniem prof. Budurowyca smutna i trudna przeszłość w stosunkach między obu narodami nie może wykluczyć — po bolesnych doświadczeniach obydwu — pełnego porozumienia między nimi. Przeszłość z okresu 1918-1939 obarcza nie tylko przywódców obu narodów: walki, wszystkie konflikty, niemożność ustalenia płaszczyzny współpracy wynikały z układu sił politycznych, stosunków między państwami europejskimi. Niektóre z nich nie były zainteresowane w utrzymaniu pokoju ani w porozumieniu polsko-ukraińskim. Prelekcja wywołała duże zainteresowanie słuchaczy, co wyraziło się dużą ilością pytań. W odpowiedzi prof. Budurowych uzupełnił swoje wywody szczegółami, danymi statystycznymi, cytatami dokumentów urzędowych, oświadczeniami czołowych polityków polskich i ukraińskich. Najbardziej pozytywnie — jeśli chodzi o polityków polskich — ocenił Piotra Dunina-Borkowskiego i Tadeusza Hołówkę, przypominając, iż tego ostatniego zastrzelili ukraińscy nacjonalistyczni terroryści. Prof. Budurowych przedstawił w swoim referacie zarysy nowej pracy, która ukaże się zapewne w przyszłym roku.

B. H.

Kronika czeska i słowacka

5 stycznia aresztowany został Ladislav Lis, jeden z trzech rzeczników Karty 77. Oskarżono go o kradzież mienia państwowego (zerwał kilka kłósów z pola). Nowym rzecznikiem na jego miejsce został 37-letni Jan

Kozlik, elektromonter i b. student teologii protestanckiej, wyrzucony za swoją działalność z 4-tego roku studiów. ■ Reżym praski kontynuuje skuteczną kampanię zmuszania intelektualistów z Karty 77 do opuszczania na stałe Czechosłowacji. W styczniu wyjechali znany historyk słowacki Jan Mlynarik i Kares Bartošek. 12 stycznia, po długich nekaniach, wyjechał znany dziennikarz i działacz Karty 77, Karel Kyncl. Dotychczas ok. 200 działaczy Karty 77 zostało zmuszonych do wyjazdu z Czechosłowacji. ■ Jiří Kolař, cieszący się światową sławą malarz czeski, został podczas swojego legalnego pobytu w Paryżu skazany *in absentia* na 1 rok więzienia pod pretekstem „samowolnego przedłużenia pobytu za granicą”. Władze dążą także do konfiskaty jego prywatnych zbiorów malarskich. Kolař jest także poetą, autorem wielu zbiorów poezji, głównie eksperymentalnej, z których prawie żaden nie mógł ukazać się drukiem od roku 1948. ■ Nagroda im. Jana Palacha za rok 1982, przyznawana przez mający siedzibę w Paryżu Międzynarodowy Komitet Poparcia dla Karty 77, została przyznana dziesięciu osobom — księżom, pastorom i świeckim działaczom chrześcijańskim, których nazwisk nie ujawniono ze względu na ich bezpieczeństwo. Nagroda wynosi F.25.000 i jest przyznawana za szczególnie wybitne zasługi w dziedzinie obrony praw człowieka. ■ Słowacki dziennikarz i działacz Karty 77 Karol Sidon został pozbawiony prawa powrotu do Czechosłowacji. ■ Wybitny dramaturg i obrońca praw człowieka, Vaclav Havel, zachorował w więzieniu na ciężkie zapalenie płuc i nerek. Havel jest więziony od maja 1979, kiedy to został skazany na 4,5 lat w procesie założycieli VONS (Komitet Obrony Nieuczciwie Prześladowanych). W bardzo ciężkim stanie przewieziony został (w kajdankach) do szpitala w Pradze, gdzie pozostawał jakiś czas na leczeniu. Obecnie pisarz powrócił do domu, a wykonanie wyroku zostało tymczasowo zawieszono. ■ Sąd w Bratysławie skazał Františka Novajevskiego i Helenę Gondovą (por. *Kultura* nr 3/1983) na 1 rok więzienia. Niezwykłym wydarzeniem było przybycie na rozprawę dużej grupy młodych ludzi, którzy rozdawali ulotki w obronie oskarżonych. ■ 18 lutego na trasie Poprad-Bratysława-Praga 26-letni Marian Peška dokonał nieudanej próby porwania samolotu. Raniony przez członka ochrony samolotu, zmarł przed wylądowaniem w Pradze. ■ W USA i Wielkiej Brytanii ukazało się drugie, zupełnie nowe tłumaczenie powieści Milana Kundery „Žart”, co stanowi podkreślenie jego wyjątkowego sukcesu w świecie literackim Zachodu. ■ Ukazał się „Słownik czeskich pisarzy i dziennikarzy”, owoc wieloletniej współpracy emigracji i opozycji w kraju. Chociaż tom liczy 534 strony, nie udało się uwzględnić wszystkich pisarzy i dziennikarzy piszących na emigracji i w kraju i objętych zakazem druku w oficjalnych wydawnictwach. ■ Nakładem „68 Publishers”, wydawnictwa kierowanego przez znanego pisarza czeskiego Josefa Škvorecký'ego, ukazały się obszerne, 4-tomowe pamiętniki ministra sprawiedliwości w rządzie Benesza, Prokopa Drtiny. Pamiętniki opisują Monachium, okres okupacji i wojny oraz drogę komunistów do władzy w Czechosłowacji. Drtina spędził kilkanaście lat w więzieniach komunistycznych. Warto dodać, że Vaclav Havel został oskarżony i skazany (z zawieszeniem) na 14 miesięcy więzienia za przesłanie rękopisu tych pamiętników na Zachód. ■ Niebawem ukaże się w Londynie nakładem powstałego w 1982 roku wydawnictwa „Rozmluvy” obszerny zbiór esejów i publicystyki politycznej Havela. „Puls Publications”, we współpracy z „Rozmluvy”, przygotowują polskie wydanie esejów Vaclava Havela.

Alexander TOMSKY

Ci, co odeszli

Śródpole

Dla Marty

Opuszczając Polskę na samym początku okupacji niemieckiej, Marta Erdman pisała: „Wiedziałam, że jadąc zostawię za sobą coś, czego mi żaden inny kraj i żadne inne życie nie da”.

Nie znałam Marty z okresu jej wędrówek z ojcem „Na tropach Smętka”. Nie była więc dla mnie „Tirliporkiem”. Nie była też dla mnie „Tili”, chociaż przecież uroczę zdrobnienie — tak dobrze podchwyczone przez Melchiora Wańkowicza w „Zielu na kraterze” — kiedy to starsza siostra Krysia pochylając się nad kolebką małego podziwia: „Rączki tili-nózieczki-tili-malusieńka tili-tili” bardzo mnie ujęło swoją dziecinną prawdziwością. Chociaż w „Zielu na kraterze” rozpoznawałam w małym „Sancho-Pansa”, w „żerze”, „zgodulku”, „chłopku-roztropku” i w „duchu kozaczym” Martę ze Śródpola (Middlefield), Martę pielęgnującą trudną słodycz dwoistości, Martę, która już nie była „tili”, ale maszerowała zamasyście i bardzo przejęta w pochodzie, kiedy Martin Luther King intonował, a tysiące czarnych grzmiało w stolicy Ameryki potężnym, proroczym *We will overcome*. Ta, którą znałam była już Martą dojrzałą, żoną Jana, matką Ani i Ewy. To była Marta z jedyne go, wybranego przez nich dwoje miejsca na świecie gdzie Erdmanowie wyłączając się z Waszyngtonu i zmyliwszy ślady zarzucili kotwicę swojej „Arki”.

Spostrzegawcza, aż drapieżnie bystra, obdarzona darem słowa, wyczulona na najsubtelniejsze odcienie znaczeń, Marta zamilkła po swojej pierwszej i jedynej książce „W szpitalu pod dwiema okupacjami”, wydanej w roku 1941 przez Związek Polek w Ameryce.

Po tej książce-zapowiedzi, którą pisała nocami, gorączkowo w roku 1940 w Bukareszcie i w Rzymie — cisza. Później rzadkie reportaże, krótkie opowiadania, pisane doskonałym, jedynym stylem, tak jak jedyny, okrągły, specjalny z „r” potykany, na które wesoło wskakiwało „ł”, był jej język potoczny.

Była rozmiłowana w precyzji słowa. Poznałam to z bliska, gdy przygotowywała do druku moją pracę doktorską. Miała już wtedy za sobą nie byle jakie doświadczenia: amerykańskie *college*, magisterium nauk politycznych z uniwersytetu w Pensylwanii, doświadczenie redaktorskie w *Time Magazine*, w *National Planning Association*, w redagowaniu *Scranton Report* — sprawozdania Komisji prezydenckiej dla zbadania powodów niepokojów na kampusach uniwersyteckich. Dlaczego zamilkła? Wymawiała się, że ma pełno pracy. Lubiła tłumaczyć. (Przetłumaczyła Betty Mac Donald *Jako i ja*, Orskiej *Silent is the Vistula* — pierwszą książkę o powstaniu warszawskim. W roku 1970 *Free Press* wydało jej tłumaczenie *Exploration in Freedom*, tłumaczenie Korbońskiego *The Polish Underground State* ukazało się w roku 1978). „Tili — pisał o córce Melchior Wańkowicz w „Zielu na kraterze” — wybierała samorzutnie drugorzędne role”. I jeszcze: „Tirliporek zawsze był ten sam. Za nic nie chciała się martwić. Zawsze się pocieszała”.

Wobec kogo przyjęła drugorzędną rolę? Czy była w tym cało-palna, przeniknięta największym pietyzmem miłość do ojca? Miłość ta, początkowo szukająca modelu, opieki, wskazówek, z biegiem lat stała się dająca, opiekuńcza, a nieraz pełna poświęcenia.

A przecież w swoim pojęciu wartości nie zgadzała się z ojcem. Po okresie młodzieńczego uwielbienia, zaślepienia niemal, nadszedł czas dojrzałej krytyki i szermierki ideologicznej. Sprawa szła o przynależność uczuciową, o pierwszą linię lojalności: Ameryka czy Polska, Polska czy Ameryka?

W „Obojnakach” (*Kultura* Nr 10/156, 1960) Krystyna mieszkająca w Ameryce odwiedza rodziców w Polsce. Nietrudno odgadnąć autentyczność relacji: Krystyna to Marta, Adam to Jan Erdman, dziewczynki: Ania i Ewa, a Dziadunio i Babunia nie zmienili nawet tych rodzinnych zdrobnień, jakimi zwracały się do nich wnuczki. „Moja droga — wtrącał się w tym miejscu Dziadunio (z biegiem czasu takie rozmowy dorabiały się sakramentalnego rytuału) — przecież nie możecie wychowywać dzieci na to, czym sami nie jesteście. Wy oboje, i Ty i Adam, jesteście Polakami, chcecie czy nie chcecie. Nigdy nie potraficie dać dzieciom tego, co każda amerykańska matka, każdy amerykański ojciec, automatycznie swoim dzieciom dają. ...To wszystko będzie sztuczne. Zubożycie dzieci, jeśli ich nie będziecie wychowywać na Polaków, na to czym sami jesteście. Krystyna milczała. Argument był łatwy do odparcia, ale sztych za bolesny dla rodziców. Czasem tęskniła, żeby pchnąć, jak szpada, powiedzieć po prostu: Przecież ja już nie jestem Polką. Przecież ja nie jestem Amerykanką tylko z paszportu, dla wygody. Ja ten kraj kocham. Ja do niego tęsknię, gdy wyjeżdżam”.

Marta i Jan poznali się pracując razem w *Polish Information Center* w Nowym Jorku, a pobrali się w roku 1944, w czasie, gdy ani ojciec, ani matka Marty (oddzieleni oceanem, każde na innym krańcu świata) — nie mogli być na ślubie. Skupiony,

zamknięty w sobie Jan Erdman, górujący wzrostem nad każdym przeciętnym śmiertelnikiem, jest typem upartego samotnika o głęboko ukrytych, żarliwych uczuciach, które potrafi opanować spokojem, a nawet chłodem. W tym utalentowanym dziennikarzu krył się zawsze młody, niesyty zabaw i przygód chłopiec. Bardzo się z Martą dopełniali, chociaż z Melchiorem stali na dwóch przeciwległych biegunach.

Pierwszą przystanią młodego małżeństwa, zanim wyjechali do Niemiec na placówkę w „Głosie Ameryki”, była pięcioletnia gospodarka na kurzej fermie w New Jersey. Ten sam model postępowania, jak u większości przeszczepieńców: szukanie własnego miejsca. Ferma kurza nie stała się jednak tym własnym miejscem; dopiero po dwudziestu latach Erdmanowie znaleźli Śródpole i postanowili zarzucić kotwicę „Arki”.

Zdecydowali się na ten rozpadający się dom i 12 akrów lasu na samym krańcu wioski Śródpole, przy szerokiej drodze, dawnym szlaku na Albany, w okręgu Oneonta, tuż przy jeziorze Otsego, gdzie na początku XVII stulecia ziemia należała niepodzielnie do Indian. Tylko traperzy-handlarze futer docierali tam wtedy i prowadzili handel wymienny z tubylcami. W kilkadziesiąt lat później toczyły się tam walki Anglików z Francuzami, a jeszcze później buntujących się kolonistów z wojskami brytyjskimi. Miejsce to z polską historią polityczną i społeczną wiązały dwa „poloniki”, krańcowo różne w czasie i sytuacji. Trzeci, najnowszy, związany z życiem Marty i Jana. Zacznijmy od ostatniego.

Wczesnym latem roku 1970 Marta pisała:

„Siedzimy tu już prawie dwa tygodnie i — wbrew moim oczuciom — bardzo sobie chwalimy. Przez dach, pod którym postawiliśmy połowe łózka, liczymy gwiazdy. Współżyjemy mniej więcej w zgodzie z tysiącem okazów fauny ciekawej co w domu się dzieje — od saren do pajaków. W pocie czoła kopujemy fundamenty pod garaż, wyłuskując je spośród głązów. Malujemy nieskończone ilości okien i okiennic. Chodzimy na licytacje miejscowe, a wieczorami na ciche spacerki. Nie mamy radia ani TV. Raz na trzy dni kupujemy [gazetę] *Oneonta Star* i okazuje się, że można żyć i to bardzo dobrze. Przyjeździe obejrzyć Szaleństwo Jana! Gościom możemy gwarantować tylko jedną atrakcję; że zapomną o wszystkich swoich kłopotach”.

Pojechaliśmy. Był późny marzec 1972. Nazywa się ten koniec świata Śródpole — Middlefield. Pewnie jeszcze pozostała ta nazwa od czasu Williama Coopera, kiedy to w roku 1785 zakupił od gubernatora kolonii New Jersey tereny na zachód od jeziora Otsego wzdłuż zachodniego brzegu rzeki Susquehanna; taka bowiem zachowała się nazwa w starych kronikach i listach syna jego, pisarza, który z terenów tych wyczarował postać Uncasa, syna wodza Chingachock — Ostatniego Mohikanina.

Wieś rozsypana wzdłuż jedynej ulicy — szerokiego traktu. Dwa po obu końcach kościoły. Jeden kościół opuszczony, drewniany, z cmentarzykiem już tak starym, że tylko tu i ówdzie kamienie jeszcze sterczą, drugi cmentarz okazalszy, nowszy i tam,

w rogu pod płotem — sierżant Sułtanowicz. Ale o nim później. Na końcu tej wsi-ulicy, wsi przydrożnej, wsi bardzo amerykańskiej, ale nie zasobnej, a biednej — dom farmerski, widać stary, zaniedbany, ale w procesie odnowy. Marta przed tym domem. Rozpromieniona, rozjaśniona.

— Spójrz na dach! — woła.

Podnoszę głowę: cały nowy dach! Majątek! Odrestaurowują jak antyk. A Marta bardziej ku domowi niż do mnie zwrócona:

— Ja tak sobie powtarzam, jak na ten dach spoglądam: ty stary domie, czy marzyłeś kiedy o nowym dachu? Już ci przychodziło umierać, już się zapadałeś. A tu cud! Nowe gonty dębowe, nowe klepki na podłogach, nowe szyby w oknach. Do życia cię wróciliśmy, ty stary, poczciwy domie.

— Może — próbuję — warto było budować od nowa.

— Ale ja to kocham — wykrzykuje — właśnie dlatego, że tak go dźwigamy, że widzę jak się na nowo ze zniszczenia wydobywa kształt. Zobaczysz — obiecuje — tu będzie ślicznie. Jak przyjeździecie następnym razem, będzie już zupełnie inaczej. A teraz, po drugiej stronie szosy jest cały teren do sprzedania. A może byście kupili? No to chodźmy, chodźmy póki jeszcze jasno. Tam jest taka opuszczona chata. Mieszkał tam sierżant Sułtanowicz.

Stajemy przed chatą-lepianką, przed ludzkim opuszczeniem, przed ludzkim opuszczonym marzeniem.

— On tu mieszkał sam — mówi Marta — do końca. A grób widzieliście tam, w rogu cmentarza, za linią graniczną, pod cmentarnym płotem. A teraz patrzcie, widzieliście kiedykolwiek coś takiego?

Była to lepianka krzywa, poobijana papą, okienka pozaślupiane deskami, jedna izba pewnie z „kozą”, bo komin blaszany sterczał przez dach. Była to chata-samotnica, lepianka, jakby posklejana żywą substancją z żył domorosłego „architekta”, ślad walki samotniczej, od początku skazanej na przegraną. Chata za wsią — myślałam. Westchnęliśmy nad tym śladem życia. Wróciliśmy do domu. Przed wjazdem nazwa posiadłości: ARKA. Zasiadliśmy w obszernej kuchni, gdzie skupiało się ich życie, bo wszystko jeszcze w odbudowie, tapetowaniu, malowaniu. Ciepło. W ogromnym, szerokobiodrym, żelaznym piecu-antyku, kupionym na miejscowej licytacji — trzeszczy, buzuje wiejski wesoły ogień.

— Opowiedz o tym sierżancie — proszę.

— O Sułtanowiczu?

— Tak, o tym z chaty za wsią.

— Opowiedzieli nam o tym miejscowi ludzie. I tak po trochu kapała ta opowieść. Jedni dodali, drudzy uzupełnili i z tych sączonych relacji taki nam się zarysował obraz: sierżant z Drugiego Korpusu, Sułtanowicz, emigrował do Stanów na samym początku lat pięćdziesiątych. Przyjechał tak, jak ci wszyscy żołnierze z rozwiązanej w Anglii Armii Polskiej, dla których nie było już powrotu do domów rodzinnych za Bugiem. Zawodu żadnego nie miał Syn chłopca, rolnik, w wojsku przyuczył się wszyst-

kiego. W Nowym Jorku — mieście molochu — zatrudnili go przy budowie wieżowca. Popracował trochę, ale pewnego dnia: nieszczęście! Spadł z rusztowania. I już kaleka na całe życie. Podleczyli go w szpitalu, ubezpieczalnia wypłaciła odszkodowanie. Niewiele tego było: za mało za zdrowie i siły. Ale suma, za którą można było coś kupić. Marzyła mu się ziemia. Szukał własnego kąta na świecie, skoro kąt, który był światem dzieciństwa, rozpadł się gdzieś na drugiej półkuli. Nie wiadomo kto go tu, do Middlefield, przywiózł. Kto mu ten kawałek podmokłego lasku pokazał. Cena była niska, ziemi dużo. Zapałał do niej wielką miłością. To nic, że pustkowie, że nieznanne, że pieniądze dość nie miał na budowę domu. „Zrobi się — myślał. — Nie święci garnki lepią”. No i ulepił tę chatę. U siebie był. Na swoim. Wykarczował lasek, zaorał pod kartofle i do Polski napisał do żony, żeby zjeżdżała na gospodarstwo. Podobno przyjechała. Żona, nie żona, wiadomo tylko, że jakaś kobieta co po angielsku ani rusz. Nieszczęśliwa tu była, z ludźmi żyć się nie umieli. Zapakowała kuferek. Odjechała.

— To sam zostałeś? — użaliłam się — o biedak! I z czego on żył? Co robił?

— Z kartofli — wtrąca Marta. — Takich kartofli nikt nie miał w okolicy. Jeszcze o nich tu opowiadają. Smak podobno miały nadzwyczajny. Tak koło nich chodził, pielęgnował.

— I co? — dopytujemy. Co się stało?

— Zachorował — mówi Jan. — Położył się. Nie mógł wstać. Coś chyba było z nogą. Przychodzili do niego ludzie z okolicy, chcieli sprowadzić lekarza, bo może do szpitala, może operacja... Położył obok siebie na łóżku dubeltówkę. Powiedział, że jak tylko lekarza zobaczy, będzie strzelał.

— Zabrali go do szpitala?

— Nie. Nie dali rady. Umarł w tej swojej chacie, co ją sam postawił, coście ją tam widzieli.

— To wszystko?

— Wszystko.

— Ale no nie, czekaj, nie powiedziałaś, jak się wieś zebrała i jak radzili, gdzie go pochować — mówi Marta.

— Ano tak, słusznie. Więc, proszę was, nie wiadomo było co z tym Sułtanowiczem zrobić. Umarł, ani krewnych, ani znajomych. Innowierca do tego, bo tu wszystko protestanci. No i Polak. Emigrant. Zebrała się rada gminy. Pochować go na cmentarzu za kościołem? Nie, no skąd! Przecież to katolik. I obcy. Pochować w polu? Odesłać gdzie? Przecież tu jednak mieszkał. Tu umarł. Straszno tak myśleć, że się człowiekowi odmówiło ostatniego miejsca na świecie. Zawsze ten grunt po prawej stronie traktu był jego. Zapłacił w dolarach, uczciwie. A więc może za parkanem cmentarnym pochować? Trzeba by jakoś zaznaczyć, oddzielić, bo przecież inny. Za parkanem? To tak jakby odrzucenie, jakby za zbrodnię jakąś. A człowiek był uczciwy. Zdecydowali, żeby w rogu, blisko płotu, ale jednak w

obrębie cmentarza. Tak z daleka. Osobno. No i tam, widzieliście, jest nagrobek.

Jan wstaje od stołu, dokłada polana pod blachę żelaznego pieca. Milczymy, a potem pytam cicho: A jak z wami? Czy nie boicie się tu samotności? Może... może w Polsce byłoby lepiej żyć niż tu, na uboczu?

— Tu — mówi Jan — mogę żyć na uboczu, a w Polsce nie mógłbym.

— Ale, posłuchajcie — rozpromienia się Marta. — My tu wcale a wcale nie jesteśmy samotni. Na lato zjeżdża pełno Polaków z Nowego Jorku, nawet z Waszyngtonu, a tu w naszym Middlefield już wszystkich znamy. Zaraz się przejdziemy. Póki jeszcze trochę światła. I do Cooperstown. Bo my tu mieszkamy o krótko od mekki bejsbolistów. Tu jest narodowe muzeum bejsbolu i sławny na całą Amerykę *Hall of Fame*. A przede wszystkim James Fenimore Cooper. Autor *Ostatniego Mohikana*.

Ruszamy, już szaro. Zaraz zapadnie noc.

Przez most, serpentyną górskich dróg, zjeżdżamy nad jezioro i do Cooperstown. Do lektury o Cooperstown uciekłam jakby szukając ukojenia i zbliżenia do stron bliskich Śródpola, kiedy pewnego październikowego poranka Jan zatelefonował z wiadomością, że Marta umarła.

Wiedziała od prawie trzech lat, że zbliża się nieunikniony kres. Obliczała ile jeszcze lat, miesięcy, tygodni życie może jej zaofiarować.

— Czy to tak bez końca można Pana Boga prosić? — odpowiadała na moje żale i bunty. Przecież prosiłam, żeby mogła jeszcze pojechać do Polski, i jeszcze, i jeszcze, żeby Ania, żeby Ewa, żeby chociaż te święta razem. I przecież wszystko dostałam. Na rok przed śmiercią pisała:

„Żywo! mam teraz obcięty do połowy, bo co 4 tygodnie tydzień w szpitalu, a potem tydzień rekonwalescencji w domu, ale przez te pozostałe dwa tygodnie żyje mi się nie tylko dobrze, ale po prostu szczęśliwie. Nie mam zupełnie poczucia jakiegś krzywdy życiowej. Wręcz przeciwnie, dobroci boskiej i sprawiedliwości... Żal mi tylko, że Jan wyciągnął tę „krótszą słomkę” na loterii losu, a raczej dłuższą, ale gorszą. Ale na to nic nie mogę poradzić”.

Czytanie o Cooperstown zaczęło mnie wciągać. Przerzucałam coraz więcej opowieści, listów, dokumentów. Wysłuchałam się z tego jeszcze jedna nić wiążąca tereny nad jeziorem Otsego z historią polskiego uchodźstwa i walk o niepodległość.

William Cooper, ojciec pisarza, pierwszy sędzia miasteczka, które na początku XVIII wieku miało już swoją gospodę „Pod Czerwonym Lwem”, hotel „Pod Orłem” i piętrowe domki z galerijkami balkoników — wybudował rozległy *mansion* nad jeziorem Otsego. W tym to jeziorze bawił się mały James Fenimore, tu pośród terenów falistych, miękkich łańcuchów lesistych gór, gdzie obok świerków gęsto porastał buk, klon, brzoza i wiąz,

uczył się przyszyły pisarz starych legend indyjskich i podziwu dla nieokiełznanego ducha pierwszych obywateli Ameryki. Już jako dojrzały człowiek i znany pisarz James Cooper pożegłował do Europy.

Tam, w Rzymie, w roku 1830, w domu pani Khlustin poznał Adama Mickiewicza. Mickiewicz, wówczas 31-letni, po zwolnieniu z internowania w Rosji przyjechał na zimę do Rzymu. Słynne są długie, konne przejażdżki Coopera na białym koniu „Chingi” po „Roman Campagna”. W przejażdżkach tych towarzyszył pisarzowi Mickiewicz. Wtedy, w tych długich sam-na-sam rzymskich spacerach z niedawno poznanym w salonie Rosjanki Anastazji Klustin (pani Khlustin) Cooperem, polski poeta, w najwyższym rozkwicie swego talentu, zdobywał legendą, balladą, natchnieniem i elokwencją sympatię Amerykanina dla dojrzejącej do powstania Polski.

Dziewiątego lipca 1831 na rue Richelieu pod numerem 104 zebrał się komitet amerykańskich obywateli w Paryżu pod przewodnictwem James Fenimore Coopera. Rezultatem było uchwalenie rezolucji, której pierwszy punkt brzmiał następująco:

„Stwierdzamy, że sympatyzujemy z narodem polskim w jego cierpieniach, podziwiamy heroiczną odwagę i wytrwałość, z jaką starają się zachować swoje święte i naturalne prawa wobec przemocy ich nieprzyjaciół”.

W następnych dniach Cooper wystosował długą odezwę do Amerykanów, opublikowaną i przedrukowywaną w Ameryce jako *Contributions for the Poles*, a 28 października na zebraniu w Paryżu powstał *American-Polish Committee* pod przewodnictwem Coopera. Odezwa do narodu amerykańskiego zaczyna się tymi słowami:

„My, Amerykanie w Paryżu zwracamy się do was w sprawie odwiecznej, a zgnębionej republiki polskiej... Najbliższy więzom krwi i najsilniejszy związek człowieka jest z jego ojczyzną. Najczystsze z uczuć ludzkich to uczucie patriotyzmu”.

Czytając, myślałam o Marcie. Przecież odezwę tę pisał człowiek, który przemierzał te same co ona ścieżki Cooperstown. Na te same spoglądał łańcuchy gór. I tu też umarł. Tu został pochowany. U siebie.

Na pogrzeb Marty pojechaliśmy do Doylestown w Pensylwanii, do amerykańskiej Częstochowy, na cmentarz — „kwatere kombatancą”. W ostatnim już akcie pożegnania Jan wyjął z kieszeni małą szkatułkę, rzucił proch ziemi polskiej na trumnę.

— Mamusia — zwierzała mi się Ewa — miała zawsze tę szkatułkę, co to jeszcze należała do matki mego dziadunia, z ziemią polską, na swoim biurku.

O ziemi tej pisze Marta w opowiadaniu „Popatrzcie, proszę, na Barbarę” (*Kultura*, marzec 1962). Opowiadanie, pisane w pierwszej osobie, jest relacją jednej z dwóch przyjaciółek. Zbliżył je obóz koncentracyjny, wspólna emigracja do Ameryki, wspólne wrastanie w ten kraj. Ale Barbara nie mogła wrosnąć

naprawdę, opanowała ją niezrozumiała dla przyjaciółki obsesja odwiedzenia kraju. Ciułała na to każdy grosz, zapożyczyła się. Wyjechała. Wraca oczekiwana przez narratorkę opowiadania. Upragniona w tej samotności, witana z rozczulającą radością. Ale Barbara jest inna, trudna do zrozumienia, odległa. Kiedy zmęczona po podróży Barbara usypia, przyjaciółka widzi nagle wysuwającą się spod białego rogu poduszki zmiętą papierową torbę.

„Odruchowo, nieuważnie, sięgnęłam po papier, żeby wyrzucić do kosza. Z torebki posypały się szare grudki suchej ziemi, znacząc cienką strużkę na białej poduszce, na puszystym, błękitnym dywaniku koło łóżka. Ziemia w trójkątnej tutce była sucha, szara, jałowa. Nic by z niej wyrosnąć nie mogło. Nie przypominała tej ciepłej, soczystej, czarnej ziemi, którą kiedyś przesypywałam bezmyślnie między palcami. Była smutna, najsmutniejsza w świecie, jak zwiędłe kwiaty, jak puste oczodoły wypalonego domu, jak niepłodna kobieta. Z szarego prochu, z palców serca, z serca do mózgu skoczyła iskra przejmującego pragnienia, żeby raz jeszcze dotknąć, poczuć ręką ciepło tamtej ziemi. Na klęczkach, troskliwie, zaczęłam zbierać szary proch. Garstka tego była, nie więcej”.

Taką garstkę rzucił Jan na trumnę. Gdzie należała, należy Marta? Gdzie należymy my wszyscy, przeszczepieńcy? A może należymy, każdy z osobna, do jakiegoś swojego śródpola, do ojczyzny zakreślonej sobą, wypracowanej z siebie, do miejsca nie podlegającego zwykłym kryteriom „tu albo tam”? I może tak należąc, wybieramy wartość nową, wszystko ogarniającą, w której jest dość miłości i dla tej garstki ziemi polskiej i dla ogromu tej ziemi, która nas przygarnia?

Danuta MOSTWIN

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI • PRZEKŁADY Z JĘZYKA
POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie.

Kronika kulturalna

Wallis i jego prace semiotyczne*

Pogląd, że znaki i ich systemy stanowią klucz do zrozumienia wszystkich zjawisk kultury i że wobec tego winny być podstawowym przedmiotem uwagi nauk humanistycznych, stał się w drugiej połowie XX wieku dość powszechny. Ma on za sobą bardzo długą i bogatą tradycję. Historia rozważań filozoficznych o znakach i języku sięga sofistów greckich, czynnych w V wieku przed Chr. Myśl, że zawarty w języku system pojęć odgrywa zasadniczą rolę dla rozwoju kultury, wypowiedział Giambattista Vico na początku XVIII wieku. W końcu ubiegłego stulecia Charles S. Peirce umieścił sprawę znaczenia w centrum całej problematyki filozoficznej.

Współczesne rozpowszechnienie się zainteresowania semiotyką (nauką o znakach, zwaną także semiologią) i pojawienie się licznych teorii semiotycznych miało parę źródeł inspiracji. Najważniejsze wśród nich były bodaj cztery następujące:

1. Logiczna analiza zjawiska znaczenia, zrelatywizowanie pojęć znaczenia i prawdy do danego systemu językowego (systemu znaków) oraz do określonych zachowań (pragmatyczna koncepcja znaczenia). Celem tych poszukiwań było osiągnięcie większej precyzji wypowiedzi naukowych, a także możliwość bardziej jednoznacznej interpretacji badanych tekstów, ostatecznie zaś zbliżenie się do prawdy o myśleniu ludzkim i jego stosunku do rzeczywistości pozaintelektualnej.

* Szkic ten został napisany jako wstęp do opracowanego przeze mnie zbioru „Pism semiotycznych” Mieczysława Wallisa. Książkę przygotował do druku Państwowy Instytut Wydawniczy w Warszawie w drugiej połowie 1981 roku. Po objęciu przeze mnie stanowiska w Radiu Wolna Europa wycofano z druku zarówno wstęp, jak i moje nazwisko jako redaktora tomu. Książka ukazała się pod tytułem „Sztuki i znaki — Pisma semiotyczne”, PIW, Warszawa 1983, str. 339 i 4 nlb.

2. Refleksje filozofów kultury i badania historyków sztuki nad formami wyrażania aktywności duchowej, a zwłaszcza artystycznej człowieka prowadziły do poszukiwania dla nich wspólnej zasady. Znajdywano ją w tworzeniu i rozumieniu znaków i ich strukturalnych powiązań. Celem tych refleksji było odszukanie istoty kultury i człowieczeństwa; środkiem — analiza wytworów człowieka, badanych przez historię kultury.

3. Badania lingwistów nad językiem naturalnym, jego formami i strukturami. Wyniki tych badań, a przede wszystkim ich metody, imponujące naukową precyzją, promieniowały na inne dyscypliny humanistyczne. Celem bezpośrednim było maksymalnie dokładne uporządkowanie danych; celem dalszym — unaukowanie humanistyki, nadanie jej stwierdzeniom ścisłości wymiernej podobnej do tej, jaką osiągnęły nauki przyrodnicze.

4. Cybernetyka i teoria komunikacji, rozwijając systemy języków sztucznych, stwarzały modele do badania języków naturalnych i w ogóle wszelkich będących w praktycznym użyciu sposobów porozumiewania się ludzi. Ukazywały te modele możliwość ujęcia w jeden system pojęciowy wszystkich form przekazywania informacji. Przeniesienie centrum uwagi badawczej ze znaczenia i symbolizowania na przekazywanie (komunikowanie) wiadomości przyczyniło się do wytworzenia szczególnej aury „panlingwizmu”: oto wszystkie otaczające nas wytwory człowieka, od pisma po ubiory i budynki albo są językiem, albo mogą być uważane za język.

Semiotyczne podejście do dzieł sztuki również czerpało inspirację z rozmaitych źródeł. Estetyka semiotyczna albo raczej: semiotyczna teoria sztuki, tak bujnie rozwijająca się przed naszymi oczami koncentruje się na zagadnieniach komunikacji. Pozwoliło to jej przezwyciężyć trudności, które napotyka estetyka semiotyczna o rodowodzie filozoficzno-pragmatycznym (Charles Morris, Susanne K. Langer), skupiająca uwagę na pojęciach znaku, znaczenia i desygnatu. Jednakże np. zaproponowane przez Umberta Eco ograniczenie refleksji do dwu pierwszych składników owej tradycyjnej triady znak — znaczenie — desygnat powoduje sztuczne zatarcie granicy, w powszechnym odczuciu ogromnie ważnej, między nazwami rzeczy a nazwami przedmiotów fikcyjnych i pojęciami abstrakcyjnymi.

Jeżeli „dawna”, tj. uprawiana jeszcze w latach pięćdziesiątych, estetyka semiotyczna bywała niezręcznie sztywna terminologicznie i pojęciowo w ujmowaniu zjawisk estetycznych — dzisiejsza, demonstrująca żywiołowy rozmach, zbyt łatwo przesłizguje się nad trudnościami logicznymi i upartą różnorodnością interpretowanych faktów.

Mieczysław Wallis był jednym z pionierów kierunku semiotycznego w badaniach nad sztuką. Jego rozprawa o rozumieniu pierwiastków przedstawiających w dziełach sztuki należy do pierwszych na świecie prób semiotycznego ujęcia problematyki przedstawiania w sztuce, a krótki referat „Sztuka z punktu widzenia semantycznego — nowa metoda estetyki”, wygłoszony w roku 1937 w Paryżu, jest jednym z pierwszych syntetycznych ujęć wymienionego w tytule tematu.

Był Wallis humanistą bardzo wszechstronnie wykształconym. Obok gruntownych studiów filozoficznych posiadał głęboką znajomość historii sztuki, a także technik malarskich, orientował się doskonale w stanie współczesnej wiedzy psychologicznej, był dobrze osłuchany z muzyką i szeroko odczytany. Do spraw estetyki miał stosunek bezpośredni i żywy: był nie tylko erudytą, ale i przyjacielem dzieł sztuki, zaciekawionym wędrowcem po dziejach kultury wszystkich krajów i epok.

W swoich pracach filozoficzno-estetycznych czerpał inspiracje z dwu pierwszych wymienionych powyżej źródeł; był jednak dobrze świadom i trzeciego, a chociaż wśród jego licznych i różnorodnych lektur nie było chyba dzieł cybernetyków i informatyków — od początku patrzył na dzieła sztuki głównie jako na przedmioty coś odbiorcom komunikujące. Jednakże to nie wielostronność inspiracji (związaną tak z bogactwem zainteresowań, jak i erudycją) uważam za naczelną i szczególnie cenną cechę pism semiotycznych Wallisa, ale właściwość inną, którą dzielił z tak przez siebie cenionym Stanisławem Ossowskim, autorem „U podstaw estetyki”, najwybitniejszej polskiej książki teoretyczno-estetycznej XX wieku: mianowicie umiejętność łączenia nowatorstwa myślowego z zachowaniem wypracowanych przez dotychczasowy rozwój logiki i metodologii wymogów naukowej jasności i ścisłości wypowiedzi.

Przemyślenia i propozycje Mieczysława Wallisa, wykładane w jego pismach semiotycznych, były próbami interpretowania i porządkowania nie innych teorii, ale rzeczywistych przeżyć, własnych i cudzych. A snując owe przemyślenia i wysuwając propozycje miał przede wszystkim na uwadze wierność kryteriom poprawności naukowej, przejętym od twórców lwowsko-warszawskiej szkoły filozoficznej: Kazimierza Twardowskiego, Jana Łukasiewicza i Tadeusza Kotarbińskiego. Sam siebie do szkoły warszawskiej zaliczał i pisał: „Jej główne cechy widzę w szacunku dla faktów, w dążeniu do największej precyzji terminologicznej i ścisłości rozumowania”¹. Tym właśnie, powtórzmy, odzna-

1. Według notatek autobiograficznych Mieczysława Wallisa, udostępnionych mi łaskawie przez Jego syna Aleksandra.

czają się prace Wallisa na tle innych, nieraz śmielszych i barwniejszych, często bardziej epatujących: można zawsze stwierdzić, na jakich oparte są założeniach, autor wystrzega się tautologii, dba o możliwość weryfikacji lub obalenia wysuwanych hipotez. Kult teorii łączy z kultem faktu. Swoje poglądy i propozycje rozwijał Wallis i modyfikował nie na drodze takiego rozciągania teorii, by pokryła jak najwięcej faktów, ani też na drodze przykrawiania i „ustawiania” faktów tak, by do teorii pasowały — ale na drodze precyzacji i usprawniania przedstawionego modelu teoretycznego. Potrafił jednak również unikać gubienia się w metodologicznych dystynkcjach: jasność i jednoznaczność były dlań ważniejsze od pedantycznej, wycieniowanej ścisłości.

Z semiotyki czynił Wallis użytek metodologiczny, nie ontologiczny: nie twierdził, sposobem wielu innych filozofów, że pewien szczególnie rodzaj znaczenia stanowi istotę, cechę definicyjną wszystkich dzieł sztuki albo wszystkich zjawisk estetycznych — ale stosował semiotyczny system pojęć do analizy zjawisk artystycznych. Nie sądził też, aby wszystkie dzieła sztuki i wszystkie ich składniki dawały się w kategoriach semiotycznych opisywać; ograniczał stosowanie tych kategorii tylko do takich przedmiotów fizycznych, które wywołują myśl o przedmiotach innych niż one same, tj. do znaków, kierujących uwagę na określone desygnaty. Używany przezeń system pojęć opierał się więc o tradycyjną triadę: znak — znaczenie — desygnat. Unikał w ten sposób i filozoficznej skrajności, i daleko idących teoretycznych spekulacji, i kłopotliwego pytania stawianego „totalnym” semiotykom: jeżeli cała sztuka jest systemem znaków, to co każdy z tych znaków oznacza? do czego poza sobą odsyła?

Wallis ujmował jednak zarazem wszystkie dzieła sztuki jako przekazy — jeżeli nie *sensu stricto* informacji, to określonych bodźców. Chociaż więc nie stosował terminologii współczesnej teorii komunikacji, samo jej zjawisko i jego wszechobecność w dziedzinie sztuki w pełni dostrzegał. Widoczne to jest dobrze w jego świetnej, do dziś nie przestarzałej książce „Wyraz i życie psychiczne” (Wilno 1939), która mówi o ekspresji, ale przedstawia ją w sposób wolny od typowo ekspresjonistycznej jednostronności i psychologizmu: „Dzieło sztuki jest zawsze przeznaczone dla pewnej, mniej lub więcej określonej grupy odbiorców, jest zawsze tak ukształtowane, by mogło być odpowiednio spostrzeżone, zinterpretowane i przeżyte przez odbiorcę należącego do owej grupy”².

Deklarował się Wallis jako zwolennik estetycznego pluralizmu (na który „nawrócił” go Władysław Tatarkiewicz ogłoszoną

2. Przedruk w tomie „Przeżycie i wartość”, Kraków 1968, str. 169.

w 1913 rozprawą „Rozwój w sztuce”³), ale obca mu była postawa relatywistyczna. Uznając nieuchronną względność ocen estetycznych uwarunkowanych np. perspektywą czasową, starał się — zarówno jako historyk sztuki jak i jej teoretyk — stawiać tej względności tamy. Miała temu celowi służyć teoria właściwych i niewłaściwych przeżyć estetycznych, nigdy w pełni nie wyłożona, ale obecna w pismach Wallisa *implicite* i naszkicowana w pochodzącym z roku 1968 wstępie do cennego zbioru jego pism estetycznych „Przeżycie i wartość”. Jak się zdaje, teoria ta dałaby się ująć w postaci stwierdzenia, że każdy przedmiot (komunikat) estetyczny zawiera zestrojony znaków i bodźców; rozumienie „komunikatu” zakłada prawidłową interpretację zawartych w nim składników znaczących oraz możliwość, fizyczną i psychiczną, odbioru bodźców zmysłowych i emocjonalnych. Tam, gdzie te warunki nie są spełnione, nie można mówić o „właściwym” przeżyciu estetycznym i ocena, na takim przeżyciu oparta, nie będzie oceną uprawnioną.

Niestety, Wallis nie rozwinął szerzej tej teorii i trudno powiedzieć, jak potrafiłby uniknąć trudności, które przedstawia jej uszczegółowienie (np. niezbędna dla niej definicja „odpowiedniego” tła psychofizycznego). Założenia teorii uformował, będąc przekonany, że dla właściwego rozumienia dzieła niezbędne jest odczytanie go zgodnie z intencją twórcy (patrz rozprawa „O rozumieniu...”), chociaż w jego późniejszych pracach pogląd ten, dziś na ogół zarzucony, nie zdaje się odgrywać większej roli. Nie jest też pewne, jak ustosunkowałby się do rozróżnienia między poznaniem a doznaniem estetycznym, rozróżnienia, jakie niektóre jego wypowiedzi zdają się postulować.

Koncepcje estetyczne Wallisa pozostały więc pod pewnymi względami niedopowiedziane — ale nie sądzę, by stanowiło to ich wadę. Przeciwnie: niedopowiedzenia, nie pochowane za zasłoną frazesów, zachęcają do kontynuowania jego przemyśleń. Wallis nie miał zresztą ambicji tworzenia zamkniętego i pełnego systemu — ale chciał wprowadzać elementy ładu w niezmierzone bogactwo faktów artystycznych. Zwłaszcza jego późne prace syntetyzujące, jak „Napisy w obrazach” i „Semantyczne i symboliczne pierwiastki w architekturze”, a spośród książek „Dzieje zwierciadła i jego rola w różnych dziedzinach kultury” (1956) i „Autoportret” (1964) są dobrymi przykładami, jak wiele me-

3. Artykuł w encyklopedii „Świat i człowiek”, t. IV, Warszawa 1913, str. 228-2281. Obok Wallisa wymienić tu należy Stanisława Ossowskiego i zapomnianego dziś prawie Leopolda Blausteina, autora wartościowych prac „Przeciwstawienia imaginacyjne”, Lwów 1930 i „Przedstawienia schematyczne i symboliczne”, Lwów 1931.

toda semiotyczna może wyjaśnić zarówno jeśli idzie o genezę i historię form artystycznych, jak i o strukturę poszczególnych dzieł sztuki.

Jednym z ważniejszych zabiegów porządkujących było dla Wallisa wprowadzenie nowej terminologii, celniej niż dawna siatka pojęciowa wskazującej zasadnicze linie podziału; tak wyodrębniającej klasy zjawisk, że związki i kontrasty między nimi stawały się wyraźniejsze i bardziej zrozumiałe. Sądzę, że większość tych propozycji terminologicznych była trafna, choć sam autor nie uważał ich za niezmiennie, dążąc do wypracowania pojęć bardziej precyzyjnych i przejrzystych (por. różnice terminologiczne między „O rozumieniu...” a szkicem „Geneza i podstawy malarstwa bezprzedmiotowego”). Może najmniej zręczny był wybór wieloznacznego i stosowanego zwykle do innych celów terminu „pole semantyczne” na oznaczenie przestrzennych wyznaczników semantycznych — ale samo opisane zjawisko zmiany sensu znaku w zależności od jego pozycji w określonej przestrzeni zasługiwało na uwagę. Nie budzą natomiast wątpliwości takie pojęcia i terminy, jak „okole semantyczne” („O polu semantycznym”) „pleromat” jako przeciwieństwo schematu („O znakach ikonicznych”), semantyzacja i desamentyzacja, kapitalne, a zwykle pomijane rozróżnienie symbolu i znaku symbolu („Dzieje sztuki jako dzieje struktur semantycznych”), „samodzielne” i „niesamodzielne” dzieła przedstawiające, rozróżnienie odtwarzania i przedstawiania („O rozumieniu...”), malarstwo „konkretne” i „abstrakcyjne” — nowe definicje obiegowych terminów („Geneza i podstawy...”) itd.

Czytając pisma filozoficzne Mieczysława Wallisa trudno opętać się myśli, że autora prześladował pech historyczny. Wspomniałem już o niezastąpionej do dziś pracy „Wyraz i życie psychiczne”, która, wydana w przededniu wojny, była przez trzydzieści lat prawie niedostępna. Cenna i oryginalna rozprawa „Wartości estetyczne łagodne i ostre” wyszła drukiem w roku 1949, u progu dogmatycznego zamrożenia. Jeszcze w roku 1937 nakreślił Wallis plan badań semiotycznych nad sztuką — ale wojna i wieloletnie oderwanie od humanistyki zachodniej, która w latach czterdziestych i pięćdziesiątych bujnie w tej dziedzinie rozkwitła, nie pozwoliły mu w porę rozwinąć tych zainteresowań i dotrzymać kroku zagranicznym kolegom. Podejmując około roku 1960, po tylu latach przerwy, dawne refleksje, mógł Wallis odczuwać zniechęcenie: literatura przedmiotu urosła do wielkich rozmiarów, a wysuwane przezeń przed ćwierćwieczem propozycje metodologiczne stały się tak powszechnie przyjęte, że prawie banalne. Zachowanie ciągłości własnych przemyśleń i dalsze ich rozwijanie było w tych okolicznościach trudne, ale już

po paru latach Wallis nabrał najwidoczniej nowego rozpędu i jego ostatnie prace semiotyczne, jak „Świat sztuk i świat znaków” i „O tytułach dzieł sztuki” obfitują w nowe rozwiązania i wykazują nowe poszerzenie zakresu materiałów.

Wczesne prace semiotyczne Wallisa mają dziś dla nas wartość podwójną. Są dokumentem historii myśli semiotycznej, wskazującym, że w latach trzydziestych naszego stulecia metodologia nauk humanistycznych w Polsce zaliczała się do światowej czołówki tak pod względem nowatorstwa, jak i sprawności filozoficznej. Są zarazem cennym materiałem do nowych przemyśleń, bo zawarte w nich propozycje klasyfikacyjne i terminologiczne nie straciły i dziś przydatności. Natomiast zalety prac późniejszych, zwłaszcza analitycznych, są innego rodzaju. Stanowią one znakomite przykłady praktycznego zastosowania metod semiotycznych w badaniach historycznych i do porządkowania przebogatego materiału sztuki współczesnej. Chociaż Wallis był specjalistą przede wszystkim w dziedzinie malarstwa, rzeźby i architektury — nawet jego bardziej szkiecowe i wymagające dalszego rozwinięcia uwagi, np. o tytułach dzieł literackich i muzycznych, stanowią cenną pomoc dla studentów i pożyteczną inspirację dla badaczy. Osobno wymienić trzeba syntetyczny szkic „Sztuka i znaki”, ostatnią ukończoną (w rozwiniętej wersji angielskiej) pracę semiotyczną autora. Spełnia ona zapowiedź tytułową i daje świetny, pobudzający do myślenia ogólny obraz wzajemnych stosunków owych dwu przenikających się światów.

Chociaż każdy z zamieszczonych w niniejszym zbiorze tekstów pisany był jako samodzielna całość — komponują się one zbiorowo również w pewną większą całość myślową i pokrywają treściowo pełnię ogromnego obszaru wytworów artystycznych człowieka od najdawniejszych czasów i na wszystkich lądach. Aby tę wewnętrzną spoiwość uczynić wyraźniejszą i aby ułatwić lekturę temu, przyjęty w nim układ tekstu wyznaczony jest przez dwa czynniki: tematykę i chronologię. Część pierwsza zbioru obejmuje prace o charakterze raczej ogólnym i filozoficznym; część druga — prace bardziej analityczne, poświęcone poszczególnym sztukom i ich aspektom. W ramach tego dychotomicznego podziału zachowano w zasadzie porządek według dat powstania tekstów.

Był Mieczysław Wallis człowiekiem bardzo skromnym, także jako uczyony: z pieczołowitością posuwana do granic przesady odnotowywał zasługi innych w opracowywaniu podejmowanych przez siebie tematów. Zmarł w szczytu swojego rozwoju, u szczytu powiększanej i pogłębianej stale erudycji, u szczytu analitycznej dokładności. Ostatnie zamieszczone w tym tomie studia poka-

zują w największej pełni możliwości metody i autora. Ale aby sprawiedliwie ocenić wkład Mieczysława Wallisa do dorobku polskiej myśli estetycznej i semiotycznej, trzeba czytać także jego książki, w których najpełniej ujawniał finezję interpretacyjną i wielki zakres ogarnianych myślą zjawisk. Obok już wymienionych przypomnieć należy „Secesję” (1967) i „Późną twórczość wielkich artystów” (1975).

Kiedy się czytało tylko książki i rozprawy Mieczysława Wallisa, łatwo sobie wytworzyć jednostronny i zgoła fałszywy obraz jego osobowości. Sądzę, że należy i warto ten obraz uzupełnić garścią danych biograficznych — oddając choćby część sprawiedliwości człowiekowi zasłużonemu i dzielnemu, który o swoich zasługach i dzielności nie lubił przypominać.

Mieczysław Wallis urodził się w Warszawie 16 czerwca 1895 roku w spolonizowanej rodzinie pochodzenia żydowskiego, jako syn Bronisława Walfisza i Heleny z Lipszców (pseudonimu Wallis, zalegalizowanego później jako nazwisko, używał od roku 1922). W latach 1905-1908 przebywał z rodziną w Niemczech. W roku 1913 zdał maturę w Warszawie, w praskim gimnazjum męskim. Już od dzieciństwa przejawiał zainteresowania naukowe, ale najpierw w dziedzinie przyrodznawstwa, zwłaszcza biologii, później skierował je na psychologię, wreszcie na filozofię, zwłaszcza epistemologię i kwestię granic poznania. W latach 1913-1914 studiował nauki przyrodnicze, filozofię i rysunek w Heidelbergu, słuchając m.in. wykładów Wilhelma Windelbanda. Po wybuchu wojny został internowany jako poddany rosyjski, ale już na jesieni 1915 roku rozpoczął studia na nowoutworzonym uniwersytecie warszawskim. Studiował filozofię (u Jana Łukasiewicza, Stanisława Leśniewskiego i Tadeusza Kotarbińskiego), historię sztuki i polonistykę.

Ci, którzy znali Wallisa jako człowieka dobrotliwego i spokojnego, u schyłku życia melancholijnego, wątkiej budowy i o nieśmiałym obejściu, zwykle nie podejrzewali nawet, że miał za sobą działalność konspiracyjną i wojskową. Od roku 1916 należał do Polskiej Organizacji Wojskowej, a 11 listopada 1918 roku, w dniu odzyskania niepodległości, rozpoczął służbę ochotniczą w Legii Akademickiej (przemianowanej później na 36 pułk piechoty). Wśród spisywanych u schyłku życia wspomnień znalazła się m.in. taka kartka, dotycząca tego okresu:

„17 (?) listopada. Na warcie przed Pałacem Namiestnikowskim na Krakowskim Przedmieściu. W Pałacu tym mieściło się podczas okupacji niemieckiej *Zivilgouvernement des Generalgouvernements Warschau*. Pod-

ówczas przebywały w nim jeszcze ściągnięte z Jabłonny dwie kompanie niemieckiej szkoły oficerskiej.

Na podstawie zawartej kilka dni przedtem umowy między Piłsudskim a niemieckim *Soldatenratem* wychowankowie tej szkoły mieli nazajutrz rano opuścić pałac i wyjechać do Niemiec, przy czym każdy z nich miał prawo wziąć ze sobą swe rzeczy osobiste, jeden koc i broń (wzięto to wtedy Piłsudskiemu bardzo za złe, że pozwolił Niemcom, zniechęconym powszechnie okupantom, wziąć ze sobą bagaż i broń). Wieczorem wychowankowie szkoły urządzili jeszcze w sali balowej pałacu wielki bankiet, pili, śpiewali i wznosili głośne okrzyki m.in. na cześć Wilhelma II (stałem wtedy na warcie od Krakowskiego Przedmieścia i dobrze to słyszałem). [Z innych notatek wspomnieniowych wynika, że na wartowników polskich wymierzone były cały czas ckmny warty niemieckiej]. Punktualnie o drugiej nad ranem pogasły jednak wszystkie światła w pałacu, o 5-tej zaś Niemcy wymaszerowali, we wzorowym porządku, czwórkami, w przepisowych odstępach. Na chodniku przed pałacem zebrało się, mimo wczesnej pory, trochę ludzi: wymyślali oni głośno na Niemców i grozili im pięściami. Niemal natychmiast po wyjściu Niemców, około szóstej rano, zjawili się dwaj cywilni i przedstawili mi papier podpisany przez Piłsudskiego — upoważnienie do przejęcia przez nich archiwum *Zivilgouvernement*. Byli to profesorowie Marceli Handelsman i Stanisław Kętrzyński. W biurach zajmowanych przez *Zivilgouvernement* znaleźliśmy sporo broni i amunicji, przede wszystkim zaś nieprawdopodobną ilość pustych butelek od win, koniaków i likierów i pustych pudełek od cygar. Na ścianach wisiało trochę plakatów, zwłaszcza plakatów nawołujących do podpisywania pożyczek wojennych. Zdjąłem je, wziąłem ze sobą i przekazałem później do zbioru plakatów Koła Historyków Sztuki Studentów Uniwersytetu Warszawskiego”.

Po rocznej służbie wziął Wallis urlop z wojska dla ukończenia studiów, ale w lipcu 1920 roku zgłosił się znowu jako ochotnik na front i walczył jako podoficer 192 pp. Szczególny był z niego wojak, skoro potrafił skracać sobie oczekiwanie na atak lekturą „Salammbô” Flauberta; ale widać obowiązków nie zaniedbywał, skoro ukończył służbę w stopniu podporucznika.

W roku 1921 otrzymał tytuł doktora filozofii na Uniwersytecie Warszawskim. Promotorem był Tadeusz Kotarbiński, a praca miała za przedmiot obronę naukowości dyscyplin historyczno-humanistycznych. Argumentował Wallis, że ani fakt indywidualizacji, ani niepewność twierdzeń ogólnych nie mogą służyć za powód odmawiania humanistyce rangi nauki — bo dyscyplinami indywidualizującymi są też np. geografia i selenografia, a wszystkie uogólnienia nauk przyrodniczych, oparte na indukcji niezufornej, też nie są absolutnie pewne.

W II Rzeczypospolitej pracował Wallis głównie jako krytyk artystyczny. Był jednym z najlepszych i najwszechstronniejszych znawców współczesnej sztuki polskiej, wiernie i z troskliwą sympatią śledzącym jej rozwój, nie pomijającym nawet zjawisk drugorzędnych. Przyjaźnił się z wieloma malarzami i poetami. Najwięcej artykułów i recenzji opublikował w *Robotniku* i *Wiadomościach Literackich*, będąc przez wiele lat stałym współpracow-

nikiem tych pism. Ogłosił też w *Wiedzy i Życiu* znakomity cykl artykułów, popularyzujących podstawowe pojęcia estetyki, a także wiele rozpraw naukowych, tłumaczeń oraz dwie krótkie monografie: Stanisława Noakowskiego i Ludomira Ślendrańskiego. Związany był z kręgami socjalistycznymi i liberalnymi; najbliżsi mu ideowo byli ludzie tacy, jak Tadeusz Kotarbiński i Stanisław Ossowski. Przykrości, jakie go niekiedy spotykały z powodu pochodzenia, traktował z melancholijnym spokojem; wybryki kof-tunerii i szowinizmu nie przesłaniały mu nigdy tych wartości, które go trwale wiązały z Polską.

We wrześniu 1939 roku znowu mu jej przyszło bronić, tym razem jako dowódca plutonu cekaemów przeciwlotniczych w Warszawie. Po kapitulacji dostał się do niewoli, w której spędził pięć i pół lat, prowadząc przez cały czas wykłady najpierw w Osterode, a potem w Woldenbergu. Natychmiast po zakończeniu wojny wrócił do zajęć naukowych; jego późniejsza kariera miała charakter bardziej „zwyczajnie” akademicki. Po habilitacji na Uniwersytecie Warszawskim objął w październiku 1945 katedrę estetyki na nowoutworzonym Uniwersytecie Łódzkim, gdzie wykładał do przejścia na emeryturę w roku 1965. Wykładał też na innych uczelniach: Uniwersytecie Warszawskim, PWST i PWSF w Łodzi, był czynny w wielu towarzystwach naukowych w kraju i za granicą.

U schyłku życia, zwłaszcza po stracie żony, sprawiał wrazenie człowieka przygaszonego, smutnego — ale swój smutek i osamotnienie znosił z filozoficzną godnością. Jak na myśliciela przystało, starość poskramiał badawczą analizą: przez ostatnie parę lat życia pracował nad książką-esejem „Późna twórczość wielkich artystów”. Ukazała się na kilka miesięcy przed jego śmiercią (25 października 1975).

Jednym z najbliższych przyjaciół Mieczysława Wallisa był Henryk Elzenberg — zupełnie odmienny jako filozof, pod wieloma względami podobny jako człowiek. Myślę, że niejedno zdanie z pięknego wspomnienia Wallisa o Elzenbergu można odnieść do niego samego:

„Jego zachowanie się cechował umiar i wytworna dyskrecja. Wszelka ostentacja, wszelkie narzucanie swojej osoby innym było mu obce. Tak jak w swym stroju i w stylu pisarskim, podobnie w swym sposobie bycia unikał wszelkiej jaskrawości”⁴.

Zdzisław NAJDER

4. *Ruch Filozoficzny* 1967, nr 2, str. 108. Wśród zapisków wspomnieniowych Wallisa znajduje się wiele bardzo ciekawych sylwetek wybitnych humanistów polskich XX wieku.

Malarstwo polskie 1918-1939

Pod tym tytułem ukazała się w oficynie wydawniczej „Auriga” w Warszawie książka o malarstwie epoki naszej Niepodległości. Nikt, kto zechce o tej epoce pisać, nie będzie mógł pominąć tego tomu, który chciałbym nazwać złotą księgą malarstwa naszej Niepodległości.

Blisko stustronicowy tekst Joanny Pollakówny to próba rzetelnego, czujnego i bezkompromisowego przemyślenia ścisłości niezliczonych wątków, myśli i ocen malarstwa tej epoki. Autorka nie tylko dotarła do ogromnej ilości płócien rozsypanych po muzeach i prywatnych kolekcjach, ale też przeorała się przez niezliczone teksty i druki, pisma jednodniowe, manifesty i książki, w których sami malarze próbowali wyrazić i uzasadnić swoje widzenie malarstwa.

Ten tom stanowi jedyną chyba dotychczas sumę osiągnięć, poszukiwań i błędów omawianej epoki malarskiej. Obfite i staranne noty biograficzne Wandy L. Rudzińskiej o wszystkich wymienionych malarzach oraz dwieście dwadzieścia pięć całostronicowych reprodukcji kolorowych tworzą całość imponującą.

Jedyna krytyka, którą ośmieliłbym się wypowiedzieć dotyczy tak ważnej kwestii kolorowych reprodukcji. Bardzo wąska i mglista skala kolorystyczna reprodukcji do pewnego stopnia upodabnia obrazy wielkiej wartości do słabych i zupełnie złych. Pewna chaotyczność i pomieszanie dodatkowo mącą i utrudniają ocenę. Najlepiej wyszły obrazy z gamą w rzeczywistości całkiem ściszoną, jak np. pejzaż Wolffa, który by można porównać do najpiękniejszych Morandich, ale również niektóre płótna Cybisa, o gamie nieporównanie silniejszej niż na reprodukcji, dają nam przecucie miary tego malarstwa. Wśród bardzo wielu obrazów znanych mi już, lub nieznanymi wcale, chciałbym choć na kilka zwrócić uwagę. Akwarela Adwentowicza „Przed zabiegiem” (scena w szpitalu, którą namalował krótko przed śmiercią), niesamowity obraz Mierzejewskiego „Pogrzeb”, na którym tłum czarno ubranych mężczyzn niesie nagiego trupa mężczyzny. Całość tonie w szarozielonej mgle. Ten obraz o aurze kafkowskiej wyróżnia się klasą malarską i siłą ekspresji. Nie potrafię i nie zamierzam wymienić wszystkich płócien, które mnie i zastanowiły, i zachwyciły.

Jest wielką zaletą tej książki, że autorka coraz to wychodzi poza utarte szlaki różnych „izmów”, że omawia malarstwo artystów mniej znanych a nie ustępujących klasą malarską obrazom zwykle omawianym. Nie potrafię ich wszystkich wyliczyć: obok Krchy, Laricha, okrutnego Linkego, Blondera, bardziej znanych Kowarskiego, Rzepińskiego, Henryka Gotliba, Pękalskiego, Eibi-

scha i Taranczewskiego trudno nie wspomnieć mało znanego kolorysty Aberdama a przede wszystkim Jana Spychalskiego, który był dla mnie prawdziwym odkryciem. Pollakówna ponadto omawia i ilustruje całe zespoły abstrakcjonistów czy pół-abstrakcjonistów i próbuje zgromadzić i sformułować malarskie teorie tego prawdziwego kłębowiska prób i realizacji, jakie pojawiło się w pierwszych latach naszej niepodległości: od Witkacego i Chwistka aż po teorie konstruktywistów i innych licznych grup czystej abstrakcji, której najwybitniejszym przedstawicielem zdawał mi się zawsze Strzeмиński, wierny wyznawca Malewicza. Te sprawy są najszerszej opracowane w pierwszej części książki, pt. „Głód nowoczesności”. Ileż prądów i podprądów wyrosło z Malewicza, Mondriana, futurystów włoskich i rosyjskich, ekspresjonistów niemieckich, kubistów wszelkiej maści no i fowistów paryskich!

Druga część, „Kapiści i malarstwo koloru”, dotyczy dziedzin mi najbliższych. Chyba tylko tu potrafię dodać skromny do tej książki przyczynek, który sam uświadomiłem sobie tak wyraźnie dopiero po przeczytaniu tekstów Pollakówny. Jeżeli chodzi o kapistów, już dawno postanowiłem więcej o nich nie pisać. Nie tylko sam za dużo o nich pisałem, ale w międzyczasie ukazał się esej Woźniakowskiego „Czy należy nienawidzić kapistów”, kilka innych opracowań, a teraz praca Pollakówny. Jeżeli myślałem niechętnie o tak częstym wspomnianiu kapistów, to dlatego, że stałe operowanie przeróżnymi „izmami” często wprowadza w błąd. Kapiści dali Polsce kilku malarzy diametralnie od siebie różnych, których łączenie dzisiaj wydaje mi się mylącym nieporozumieniem. Nikt jednak dotychczas nie sformułował w paru słowach określenia tego ruchu. Poza Woźniakowskim, który za główną zasługę kapistów uważa wprowadzenie Cézanne'a do polskiej świadomości malarskiej. Pollakówna zaznacza, że kolor w latach dwudziestych zaczyna w Polsce żyć sam dla siebie, pisze, że malarstwo kapistów tworzy własną strukturę świata i że w dużym stopniu dzięki nim kolor zdobywa uprzywilejowaną pozycję w malarstwie i walczy zazdrośnie o autonomię malarskich środków i celów. Wyłączność tej walki o kolor, nawet namiętność, była reakcją przeciwko malarstwu polskiemu, w którym kolor istniał podrzędnie, albo wcale.

Jeżeli sam wracam jeszcze do tego tematu z dalekiej perspektywy, to dlatego, że początek tego ruchu już się jakby zatarł nawet we mnie, i dopiero dziś jaśniej niż kiedykolwiek wyczuwam, że jego odkrywcze i szczęśliwe powstanie miało swój tragizm, tragizm nie tylko osobisty. Chodzi mi o przedwczesną śmierć Zygmunta Waliszewskiego. Kapizm powstał na samym początku lat dwudziestych między dwoma biegunami wizji malarskich, Waliszewskim i Cybisem. Trzeba by jeszcze wspomnieć Nachta-Samborskiego, którego rola — pozornie cicha — i niezwykle czujność malarska działały na wszystkich łagodząco. Waliszewski był nieskończenie szerszy od Cybisa w swoich reakcjach na świat, urzeczony wszystkimi stylami, epokami, le-

gendami, historią po Renesans i Grecję; imaginację miał bujną, lekką, nieoczekiwaną (nasz Mozart, mówiliśmy o nim). Cybis miał nad nim jedną zasadniczą przewagę: był malarzem jakby wyłącznie czystego, autonomicznego koloru. Mówi się o absolutnym słuchu w muzyce. Cybis miał absolutne wyciucie gry barwnej i był dla nas przez szereg lat rodzajem wyroczni.

Zabawne ale prawdziwe wspomnienie — gdy Cybis po raz pierwszy spotkał Zygę, sam dopiero co uciekł z niemieckiego Śląska, gdzie mu grożono śmiercią, bo głosował za Polską. Waliszewski zaś po wielu przygodach przybył z dalekiej Gruzji do Krakowa, gdzie nikogo nie znał i gdzie — wycieńczony nędzarz — często nocował na podium w naszej akademii. Nędzarz ale król.

„Spotkałem go” — opowiadał mi Cybis wiele lat później — „obejrzałem jego rysunki, powiedziałem sobie — 'ależ to Rafael!', chciałem go zabić”. Ich trwająca do śmierci Waliszewskiego przyjaźń była także walką upartej jednokierunkowej pracy i myśli z lekką, wrażliwą na wszystkie powiewy, uśmiechniętą, poetycką wrażliwością. Waliszewski niewątpliwie nieraz czuł się Cybisem przygnieciony, ale przyjaźń ich była rzeczywista. O tej różnicy temperamentów i nawet malarskich założeń wnikliwie pisze Pollakówna. „Gorące centrum kapizmu” — o którym pisze — to był wieloletni dialog tych dwóch malarzy, urwany w 36 roku, gdy Waliszewski umarł prawie że z paletą w rękę, po pięciu amputacjach, oddany do końca żywiołowej pracy.

Pollakówna mówi w pewnej chwili, że kapizm przeżył porażkę, choć przyznaje, że w samym jego rdzeniu spełniała się głęboka myśl malarska. Tym niemniej wyraża się negatywnie o dalszym rozwoju tego ruchu: „Przewalały się po ich malarstwie leniwe, lubieżne materie farb, nudziły fałszywie wyrafinowane wyciszenia sprasowanych walorów”. Podkreśla tę porażkę kapizmu, który stoczył się do poziomu malarskiej galanterii. Wszystko to wydaje mi się częściowo słuszne, niemniej nie była to porażka kapistów, nic z tego nie było w płótnach Cybisa, Cybisowej, Nachta-Samborskiego ani innych. Była to najprościej degeneracja kierunku, klasyczne zjawisko każdego ruchu, spowodowane jego zbyt gwałtowną popularyzacją. Monet nie odpowiada za wszystkie abażury i obicia wypełnione monetowskimi kwiatami, Rafael nie odpowiada za niezliczone obrazy według Rafaela.

Chciałbym ze swej strony dodać, że kapizm, gdy mówimy o jego wąskim zespole, dał zryw ostatni — dzieło Piotra Potworowskiego. Jego świetność kolorystyczna, jego rzut malarski — zdaje mi się, że tego Pollakówna nie docenia. Zresztą miało to miejsce dużo później, poza epoką, o której pisze autorka. Niemniej Potworowski należy do pierwszej garstki kapistów, i wybuch jego talentu już w latach powojennych tak samo należy do kapizmu jak dzieło Nachta-Samborskiego, którego miarę i klasę dostrzeżono dopiero na wystawie zorganizowanej po jego śmierci w Warszawie.

O dwu ostatnich częściach książki, o stylizatorach i synkretystach oraz o enklawie romantyzmu i ekspresjonizmu nie chciałbym zabierać głosu. Z rzetelnością historyka i z równą powagą i uwagą starała się Pollakówna te ruchy przedstawić i ożywić. W pierwszej części dominują stylizatorzy z Zakiem na czele (sztuka, która zawsze mi się wydawała nieznośnie maneryczna), potem zaś omawia bractwo św. Łukasza spod znaku Pruszkowskiego oraz szkołę wileńską, tzn. Ślodzińskiego. Muszę wyznać, że od powrotu do Polski z Paryża w 1931 roku byłem w nieustannej walce i polemice z tymi właśnie grupami. Zdawały mi się one wprost antytezą tego, co chcieliśmy do Polski wprowadzić. Były tam na pewno talenty, ale jakby bez ostrej świadomości, czym jest malarstwo. Czy miałem rację, walcząc z nimi? Oglądając po ilu latach, w książce Pollakówny, ich liczne reprodukcje zdaje mi się, że miałem rację. Brakowało tym artystom nawet nie tradycji, bo na różne tradycje się powoływali; brakowało im szkoły, chciałbym powiedzieć elementarnej szkoły Pankiewicza, który nie dopuszczał żadnej łatwizny. Uzbrojony w wielką kulturę malarską, nie pamiętam by kiedykolwiek kogokolwiek z nas (chyba że półgębkiem) pochwalił. Pruszkowski, sympatyczny, szalenie pomocny w sprawach praktycznych, kochany przez swych studentów, nie miał tej miary.

Dwie ostatnie części wielkiej książki Pollakówny winien omówić krytyk czy artysta bliższy tym prądom i żyjący w Polsce, mogący dziś na miejscu obrazy tamtych malarzy obejrzeć. Gdy wracam do całości książki to zdaje mi się, że wkład przemysłów, krytyk i ocen jest w niej rzeczywiście podziwu godny — prawdziwy wachlarz tego, co nam dało krótkie dwudziestolecie naszej niepodległości.

Józef CZAPSKI

Polski teatr w Niemczech

W ósmym numerze tygodnika *Der Spiegel* z dnia 21 lutego 1983 roku, ukazała się interesująca wzmianka pt. „Polski teatr szuka mecenasów”, w której czytamy:

„Na 80 do 100 osób ocenia się liczbę żyjących obecnie w Republice Federalnej Niemiec polskich aktorów i reżyserów. Po to, żeby ci artyści, zamiast korzystać z pomocy socjalnej mogli znów wykonywać swój zawód, powstał pomysł utworzenia polskiego zespołu teatralnego. Kilońskie towarzystwo „Initiative Polnishes Theater” stara się o pozyskanie mecenasów, którzy pomogliby w sfinansowaniu tego przedsięwzięcia. Dla uruchomienia tego teatru i wystawienia pierwszej sztuki, „Operetki” Gombrowicza, z którą zespół wyruszyłby w jesieni w objazd po Republice Federalnej i w ten sposób zaczęłyby na siebie zarabiać — potrzebne jest ok. 150.000 DM (konto

dla datków otworzono w Kilońskiej Spar- und Leihkasse). Jak to określił reżyser polski Aleksander Berlin, zespół nie chce być żadnym emigracyjnym teatrem w sensie agitatorskim, lecz pragnie zapoznawać publiczność niemiecką z klasyczną i współczesną polską literaturą dramatyczną”.

Przytoczona powyżej informacja nie zawiera zbyt wielu szczegółów o tej interesującej inicjatywie, o której pisała już zresztą wcześniej prasa niemiecka, z okazji warsztatu teatralnego z polskimi aktorami, który niedawno odbył się w Kiel i stanowił kamień milowy na drodze do powstania polskiego zespołu teatralnego w Niemczech.

Zaczął się od przypadkowych spotkań polskich artystów z kilońskim środowiskiem literackim i artystycznym. Z kontaktów tych narodziła się idea specjalnego towarzystwa, które przyjęło nazwę Initiative Polnisches Theater i zostało oficjalnie zarejestrowane jako stowarzyszenie wyższej użyteczności publicznej z siedzibą w Kiel i objęte opieką władz tego miasta.

Duszą całego przedsięwzięcia jest Irmtraut Meerstein, która została przewodniczącą towarzystwa. Działa również skutecznie i w sposób niezwykle zaangażowany mąż pani Irmtraut Robert Meerstein, pisarz i Prezes Związku Niemieckich Literatów Landu Schleswig-Holstein.

W deklaracji towarzystwa Initiative Polnisches Theater — czytamy:

„Stowarzyszenie nasze powstało, ponieważ pragniemy pomóc polskim aktorom, którzy znaleźli się na terenie Republiki Federalnej Niemiec i chcą tu obecnie bez większych perspektyw, korzystając z pomocy socjalnej. Chcemy im dopomóc w utworzeniu polskiego teatru.

W grudniu 1982 roku, przy poparciu Ministerstwa Kultury Schleswig-Holstein i miasta Kiel, zorganizowaliśmy warsztat teatralny z polskimi aktorami i reżyserami, którzy zjechali się na tę imprezę z terenu całej Republiki Federalnej i Zachodniego Berlina. Informowała o tym prasa, radio i telewizja.

Dlaczego polski teatr w Niemczech?

— Aby stworzyć bardziej bezpośrednie formy porozumienia między Polakami i Niemcami, niż pozwalają na to stosowane dotychczas oficjalne umowy o współpracy kulturalnej.

— Aby nie pozwolić na osłabienie lub nawet zupełne wyniszczenie potencjału twórczego żyjących tu polskich artystów.

— Aby wzbogacić niemiecki krajobraz teatralny o nowe elementy i szerszej oraz głębiej rozpowszechnić wiedzę o polskiej literaturze dramatycznej i polskiej kulturze.

Wreszcie po prostu żeby pomóc ludziom w sposób, który nie będzie dla nich jałmużną.

A więc *Polenhilfe*, pomoc w usamodzielnieniu się.

Do urzeczywistnienia naszego przedsięwzięcia potrzebne są pieniądze! 100.000 DM stanowiłyby dla tego teatru realną szansę startu i przeżycia. Wygląda to na dużą sumę, ale byłoby to tylko: 100 × 1.000 DM, lub 2.000 × 50 DM.

Zastanówcie się proszę, czy ten datek, który naturalnie odlicza się od podatku — nie opłaca się?

Swoim gestem możecie otworzyć tym artystom możliwość wznowienia twórczego życia, a nam możecie pomóc w udowodnieniu, że kultura w Republice Federalnej nie zawsze bywa niechcianym dzieckiem.

Jeśli doczytaście ten tekst do końca, dziękujemy i pozdrawiamy w imieniu polskich aktorów, którzy nam zaufali”.

Tyle deklaracja programowa.

Pierwszym konkretnym krokiem Initiative Polnisches Theater było zorganizowanie w Kiel w grudniu 1982 roku wspomnianego już warsztatu teatralnego. Zjechało się kilkunastu polskich aktorów. W ciągu czterech dni trwania warsztatu aktorzy ci, w większości nie znający języka nie-

mieckiego, przygotowali inscenizację poematu Brechta w oryginale oraz przedstawili wariacje na temat „Ślubu” Gombrowicza pod kierunkiem reżysera Aleksandra Berlina. Prowadzący również z nimi zajęcia warsztatowe reżyser teatru kilońskiego Herman J. Geiger powiedział potem podczas konferencji prasowej dziennikarzom, że był zaskoczony i zarazem oczarowany faktem, że aktorzy polscy potrafili w tak krótkim czasie nie tylko nauczyć się niemieckiego tekstu, ale także interpretować go we właściwy sposób. Powiedział dosłownie: „Zapał, bezpośredniość i spontaniczność, zaprezentowane przez tych polskich artystów, poruszyły mnie do głębi, żeby nie powiedzieć — wprost wstrząsnęły. Dynamika ich gry oraz możliwości tworzące pozwalają mi być pewnym, że ten polski teatr będzie miał powodzenie. Życzę z całego serca, aby pokładane w nim nadzieje w pełni się ziściły”.

Prasa niemiecka, której przedstawiciele zostali zaproszeni na warsztatowe spotkania, skwitowała tę imprezę bardzo życzliwie. Ukazało się wiele artykułów na ten temat w szeregu czasopism.

24 marca br. reżyser Aleksander Berlin, kierownik artystyczny przyszłego teatru, zamierza wystartować z premierą „Indyka” Sławomira Mrożka. Sztuka będzie grana przez tych polskich aktorów, którym umożliwiono już osiedlenie się w Kiel i stanowiących załogę zespołu. Reżyser Aleksander Berlin dysponuje już listą ok. 20 aktorów polskich, którzy zgłosili chęć współpracy i którzy w niedalekiej przyszłości będą mogli uzupełnić zespół.

Następną premierą, którą teatr będzie chciał zainaugurować we wrześniu bieżącego roku swoją oficjalną działalność, będzie „Operetka” Gombrowicza po niemiecku.

Teatr ma mieć charakter objazdowy i będzie przygotowywał również sztuki w języku polskim dla rodaków mieszkających na obczyźnie. Tą formą działalności chciałby objąć nie tylko Polonię zamieszkałą w Republice Federalnej Niemiec, ale i w sąsiednich krajach europejskich.

A. K.

OŚWIADCZENIE PISARZY POLSKICH CZŁONKÓW ZLP

Wobec oficjalnych wypowiedzi rzeczników PZPR i rządu PRL, stwierdzających, że „państwo nie może tolerować obecności w Związku Literatów Polskich współpracowników Instytutu Literackiego w Paryżu, wydawnictwa NOWA, „Pulsu”, Radia Wolna Europa, „Zapisu” i innych ośrodków dywersji ideologicznej i politycznej” — oświadczamy, że:

Wybór miejsca i sposobu publikacji własnych utworów uważamy za niezbywalne prawo autora;

Potępimy próby narzucenia form organizacyjnych i ustaleń statutowych zawieszonemu i pozbawionemu możliwości obrony Związkowi Literatów Polskich, który powinien pozostać samorządnym stowarzyszeniem ludzi pióra;

Uważamy, że o prawie pisarzy polskich do pozostania nadal członkami Z.L.P. może zdecydować wyłącznie walny zjazd Związku.

Stanisław Barańczak, Władysław Bartoszewski, Ewa Bienkowska, Jacek Bierezin, Kazimierz Brandys, Wojciech Karpiński, Leszek Kołakowski, Anka Kowalska, Maria Kurecka, Maria Kuncewiczowa, Czesław Miłosz, Sławomir Mrożek, Zdzisław Najder, Włodzimierz Odojewski, Krzysztof Pomian, Jerzy Pomianowski, Witold Wirpsza, Adam Zagajewski.

Wolna trybuna

Podziemie wczoraj i dziś

Caveant consules

Jako weteran polskiego wojennego podziemia drugiej wojny światowej i były szef Kierownictwa Walki Cywilnej, przemianowanego w roku 1943 na Kierownictwo Oporu Społecznego, czuję się powołany a nawet zobowiązany do zabrania głosu w oparciu o moje ówczesne doświadczenia w sprawie obecnego podziemia „Solidarności”, a także każdego ewentualnego przyszłego podziemia.

Pozycja Polski

W obecnej rozgrywce światowej Polska, używając terminologii szachowej, jest czymś więcej niż pionkiem w rękach Sowietów. Możliwość nieograniczonego posługiwania się tą figurą na szachownicy światowej jest warunkiem zwycięstwa Sowietów nad zachodnią Europą i pośredniego nad Stanami Zjednoczonymi. Z tego względu dla utrzymania nad Polską pełnej kontroli Sowiety użyją wszelkich środków, włącznie z inwazją własnej armii, traktując to jako ostateczność, ale wiedząc doskonale, że ta inwazja nie wywoła wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Pozostawiono by Polskę własnemu losowi jak Węgry w roku 1956 i Czechosłowację z roku 1968, kiedy inwazje sowieckie były połączone z większym niż obecnie ryzykiem z powodu ówczesnej ogromnej przewagi militarnej Stanów Zjednoczonych, która obecnie należy do przeszłości. Oczywiście reakcja Ojca Świętego Jana Pawła II byłaby bardzo mocna, ale historyczne pytanie Stalina „A ile papież ma dywizji?” przy niewrażliwości Kremla na wszelkie kryteria moralne jest wciąż głównym sowieckim miernikiem siły Watykanu.

Każde zagrożenie zasadniczych elementów kontroli sowieckiej nad Polską wywoła użycie siły i w obecnej sytuacji międzynarodowej jest skazane na niepowodzenie. Natomiast w pozostałych dziedzinach, to jest kulturalnej i ekonomicznej, droga do wysiłków i walki jest otwarta i rokuje widoki powodzenia.

Podziemie wojenne i obecne

Podziemie obecne, tak jak wojenne musi stawiać sobie za cel ostateczny odzyskanie przez Polskę niepodległości, wolności i ustroju demokratycznego. Z samej istoty podziemia wynika, że nie może ono żądać mniej. Na osiągnięcie tych celów w obecnych warunkach nie ma żadnych szans, w przeciwnieństwie do okresu wojennego, kiedy to podziemie opierało swe przekonanie, że szansa taka istnieje na niezbitą pewność, iż Polska wraz z aliantami w wojnie zwycięży, co też się stało. Nikt nie był w stanie przewidzieć w roku 1939, że Polska nie odzyska niepodległości na skutek rozciągnięcia nad nią kontroli sowieckiej.

W obecnych warunkach, mogących trwać kilka czy kilkanaście lat, podziemie — należące tak jak wojenne do kategorii masowych — nie ma też szans na przetrwanie. Tym także różni się od wojennego, którego czas trwania w chwili gdy powstawało obliczano na parę miesięcy, tj. do wiosny 1940 („słoneczko wyżej, Sikoreczka bliżej”), a później na parę lat, co się sprawdziło.

Są to dwie zasadnicze różnice między wojennym podziemiem a obecnym, pokojowym. Do dalszych różnic należy organizacja wojennego podziemia jako państwa z klasycznym monteskiuszowskim podziałem władz na ustawodawczą (Rada Jedności Narodowej), wykonawczą (Delegatura i Krajowa Rada Ministrów) oraz sądowną (Cywilne Sądy Specjalne), podczas gdy obecne ma tylko charakter organizacji politycznej. Poza tym podziemie wojenne walczyło z bronią w ręku (akcja „Burza” i Powstanie Warszawskie), natomiast obecne wyrzeka się użycia broni i walczy przy użyciu środków pokojowych. Wreszcie podziemie wojenne od góry do dołu używało pseudonimów, podczas gdy kierownictwo obecnego występuje pod prawdziwymi nazwiskami. Podobieństwo istnieje natomiast w dziedzinie propagandy, nauczania (tajny uniwersytet) i podziemnych publikacji oraz prasy. Zresztą to przykładowe wyliczenie różnic i podobieństw tematu nie wyczerpuje.

Likwidacja wojennego podziemia

Wojenne podziemie przeszło przez dwa okresy walki z NKWD. Pierwszy trwał od 17 września 1939 do 22 czerwca 1941, tj. do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, drugi od wkroczenia kontrofensywy sowieckiej na ziemię Rzeczypospolitej pod Sarnami w

nocy z 3 na 4 stycznia 1944 do chwili przejścia od NKWD walki z podziemiem przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego czyli bezpiekę. Tę ostatnią datę trudno dokładnie ustalić, gdyż przez parę lat akcją bezpieki dyrygowali zakamuflowani oficerowie NKWD, na czele ze słynnym generałem Iwanem Sierowym, z którym zetknąłem się dwukrotnie — pierwszy raz jako więzień, drugi raz jako polityk. W obu okresach zostało wyaresztowane prawie całe centralne kierownictwo polskiego podziemia, cywilne i wojskowe, wiele ośrodków lokalnych i tysiące członków podziemia i żołnierzy AK.

Za punkt kulminacyjny pierwszego okresu należy uznać aresztowanie przez Sowiety generała Michała Tokarzewskiego w nocy z 6 na 7 marca 1940, przy przejściu granicy obu okupacji, w drodze do Lwowa. Za punkt kulminacyjny drugiego należy uznać podstępne aresztowanie przez NKWD szesnastu cywilnych i wojskowych przywódców podziemia w dniach 27 i 28 marca 1945, w Pruszkowie pod Warszawą.

Po likwidacji AK i powołaniu do życia 2 września 1945 organizacji Wolność i Niezawisłość (WIN) bezpieka i NKWD zlikwidowały dwie kolejne Komendy WIN-u, pierwszą na czele z płk. Janem Rzepeckim, drugą pod dowództwem płk. Franciszka Niepokólczyckiego, i wyaresztowały setki członków tej organizacji.

Szanse obecnego podziemia

Te wszystkie doświadczenia wojennego podziemia i jego epigonu WIN-u z bezpieką i NKWD wskazują, że żadna masowa organizacja podziemna nie ma szans ani na osiągnięcie swych celów, ani nawet na przetrwanie w rozgrywce z obecną bezpieką i KGB, tym bardziej że pokojowe, nie wojenne warunki ułatwiają pracę policyjną, a podziemiu utrudniają życie. W czasie pokoju trudniej jest np. fabrykować i operować fałszywymi dowodami osobistymi, zameldowania i innymi dokumentami. Policja ma znacznie lepszą kontrolę ludności i las nie może już służyć za dobre schronienie, jak w czasie wojny.

KGB jest najlepszą policją polityczną świata. Gestapo w porównaniu z tym wyrafinowanym systemem policyjnym to prymityw nie wytrzymujący porównania zarówno co do metod, jak i osiągniętych wyników. Poza tym KGB stoi poza prawem i ponad prawem. Jest to właściwie państwo w państwie. Szanse dłuższego przetrwania miałyby tylko nieliczne, drobne, dobrze zakonspirowane organizacje elitarne. Rozumując w ten sposób, Komenda Główna AK powołała w roku 1945 do życia nową antysowiecką elitarną organizację „NIE” na czele z gen. Emilem Fildorfem. Niestety wkrótce Fildorf został aresztowany w Milanówku i spenetrowane „NIE” na wniosek mój jako Delegata Rządu na Kraj i płk. Jana Rzepeckiego jako Delegata Sił Zbrojnych na Kraj zostało przez rząd w Londynie rozwiązane.

Pisząc na stronie 433 o „NIE” w mej książce „W Imieniu Rzeczypospolitej”, wydanej przez Instytut Literacki w Paryżu w roku 1954, a więc 28 lat temu, dodałem na temat antysowieckiej konspiracji następującą generalną uwagę, wciąż aktualną:

„... podziemie musi znaleźć nowe formy dla zmanifestowania dążeń niepodległościowych narodu polskiego, formy uwzględniające metody działania NKWD i zapewniające szanse przetrwania”.

Nowa koncepcja oporu i walki

Reasumując, zarówno obecne podziemie „Solidarności” jak i ewentualne przyszłe podziemia typu masowego nie mają szans skutecznego działania i przeżycia w obecnych warunkach i muszą być zastąpione przez koncepcję walki innego rodzaju, służącą tym samym celom, to jest temu, aby Polska była Polską. Ta koncepcja musi być oparta na założeniu, że realizacja wielkiego programu polityki polskiej, tj. odzyskania wolności, niepodległości i ustroju demokratycznego, nie jest obecnie możliwa. Nie rezygnując z niego w żadnym wypadku, należy dążyć do wykonania małego programu polityki polskiej, tj. w dziedzinach, w których kontrola sowiecka dopuszcza pewne ulgi i nie spowoduje inwazji oraz bezpośredniej sowieckiej okupacji. Głównym celem tego małego programu byłoby zachowanie substancji, oblicza i kultury narodowej, czemu służyłaby walka przy użyciu środków pokojowych na każdym odcinku zagrożenia tych podstawowych wartości.

Moim zdaniem podziemie „Solidarności” i każde inne należy zastąpić koncepcją społeczeństwa, walczącego w zniewolonym kraju o swoje prawa w zasadzie jawnie, a tylko wyjątkowo ukrywającego się do konspiracji, o czym dalej. Taka jawna walka może się cieszyć nieograniczonym poparciem hierarchii katolickiej, w przeciwieństwie do konspiracji, której popieranie groziłoby Kościołowi nieobliczalnymi konsekwencjami. Z zastrzeżeniem właściwych proporcji, to samo odnosi się do Lecha Wałęsy.

Wobec przełamania bariery strachu w czasie szesnastu miesięcy względnej wolności ta koncepcja może społeczeństwu bardziej odpowiadać, niż podziemne państwo z drugiej wojny światowej lub podziemne społeczeństwo, o którym mówi deklaracja Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” z 28 lipca 1982.

Określenie „podziemne społeczeństwo” nie jest zbyt szczęśliwe. Jest zawarte w dwóch słowach, które się ze sobą kłócą. Nie można mówić o podziemiu składającym się z 36 i pół miliona członków. Istotą podziemia jest tajność i konspiracja większej lub mniejszej liczby ludzi, działających w obrębie pewnego spo-

łeczeństwa. Zresztą treść deklaracji wskazuje, że chodzi w niej właściwie o masowy, powszechny ruch całego narodu walczącego o swoje prawa. W Polskim Państwie Podziemnym z czasów drugiej wojny światowej nosił ten ruch nazwę Walki Cywilnej, przemianowanej w roku 1943 na Opór Społeczny. Kierownictwo Walki Cywilnej względnie Oporu Społecznego, na którego czele stałem od początku do końca, było organem podziemia dyrygującym akcją oporu społeczeństwa nie należącego do podziemia. W gruncie rzeczy autorom deklaracji nie chodzi o podziemne lecz o zjednoczone w walce społeczeństwo, którym dyrygowałyby podpisana na deklaracji z 28 lipca 1982 Tymczasowa Komisja Koordynacyjna. Rola jej byłaby podobna do Kierownictwa Walki Cywilnej względnie Oporu Społecznego z drugiej wojny światowej.

Na temat „podziemnego społeczeństwa” wypowiedziałem się już 29 lat temu, gdy 24 października 1953, przemawiając do około dwustu członków Overseas Press Club of America (Klub Prasy Zagranicznej) w Nowym Jorku, zainteresowanych tym, czy w ówczesnej Polsce możliwe jest nowe podziemie, wypowiedziałem się zdecydowanie negatywnie, ale rozwiódłem się również nad tym, jakim warunkom musi odpowiadać opór w czasie pokoju, by móc przetrwać i działać pod kontrolą sowiecką. Znalazłem na to tylko taką odpowiedź:

„Nie może on tworzyć wielkich organizacji a przeciwnie, musi działać w jak największej decentralizacji i rozproszeniu. Ideałem tej decentralizacji byłaby masa jednoosobowych organizacji podziemnych. Najlepsza policja nie znajdzie do nich dostępu, gdyż każda jest zamknięta w duszy ludzkiej. Jej jedyny członek obserwuje pilnie sytuację międzynarodową, słucha zachodniego radia i wie prawdę o świecie, przechowuje w sobie ducha walki o niepodległość, nadzieję na wyzwolenie i nieustannie stawia opór komunizmowi, ale tak by nie utracić wolności osobistej, którą musi zachować przez długie lata”. (Patrz „W Imieniu Polski Walczącej” nakładem firmy B. Świdorski, Londyn 1963, str. 228-289).

To niezawisłe społeczeństwo musi traktować ustrój komunistyczny i monopol rządów partii jako zło konieczne i posiłkować się nimi jako parasolem chroniącym narodową substancję przed sowiecką ulewą. Za podstawę do akcji jawnej może służyć konstytucja PRL, która gwarantuje np. prawa obywatelskie niegorzej od konstytucji amerykańskiej. Wprawdzie partia, naśladując ślepo stosunek Sowieców do ich własnej konstytucji, uważa ją za świstek papieru, jednak nie znaczy to wcale, by obywatele PRL nie mieli jej traktować poważnie i opierać na niej swych żądań. Do tego samego celu może służyć także umowa w Helsinkach i inne międzynarodowe układy podpisane przez PRL.

Przykładem takiej jawnej społecznej akcji był KOR, którego założyciele w roku 1976 dla podkreślenia, że nie jest to organiza-

cja konspiracyjna, ogłosili na wstępie swe prawdziwe nazwiska, adresy i telefony. Zasady jawnej akcji wyłożył profesor Marcin Król w swej książce wydanej nakładem Libelli w Paryżu w roku 1979 pt. „Style politycznego myślenia”:

„Trzeba uznać za pewnik, że egzystencja i przetrwanie narodu jest ważniejsze od niepodległości. Niemniej istnienie narodu bez własnego niepodległego państwa to ułomna forma egzystencji. Posiadanie jakiegokolwiek formy państwowej jest lepsze od nieposiadania żadnej. Wola niepodległości i myśl niepodległościowa państwowa zastępują w obecnych warunkach niepodległość i państwo. Tradycja życia politycznego w Polsce została przerwana, niemniej należy zszereżyć o niej wiedzę. W obecnej sytuacji elity moralno-intelektualne grają ważniejszą rolę niż w państwie niepodległym. Powinny one działać i prowadzić społeczeństwo w kierunku poszerzania zakresu niepodległości. Dla tego celu pracują wszyscy ci, którzy dobrze wykonywują swoje obowiązki, począwszy od profesora uniwersytetu, a skończywszy na robotnikach i rolnikach. Każde umocnienie i powiększenie cywilizacyjnego i kulturowego stanu posiadania służy sprawie poszerzania niepodległości. Obecnie kompromis posiada określone, nieprzekraczalne granice”.

Z powyższego Marcin Król wyprowadza trzy zasadnicze tezy. Pierwsza, że należy działać nie tyle przeciw władzy, co niezależnie od niej. Druga, że społeczeństwo myśli realistycznie dzięki doświadczeniom Powstania Warszawskiego i rozważnemu kierownictwu Kościoła katolickiego. Trzecia, że trzeba sformułować program generalny, ale nie utopijny.

Jestem zdania, że do konspiracji należy się uciekać tylko wówczas, gdy jawna działalność dla pewnych celów programu małego nie jest możliwa. Należy do nich np. wydawanie poza cenzurą książek, prasy i innych wydawnictw, łączność między elitami moralno-intelektualnymi prowadzącymi społeczeństwo, o jakiej mówi profesor Król i Deklaracja z 28 lipca 1982, wreszcie komunikowanie się z emigracją polityczną, szczególnie tą najnowszą, która na Zachodzie osiągnęła już cyfrę paruset tysięcy. Może ona, wraz z dawną emigracją, reprezentować jako rzecznik kraju nawet Wielki Program Polskiej Niepodległości. Konspirację należy jednak uważać za wyjątek od reguły jawnego działania. Głównym jej problemem będzie znalezienie przez rodaków w kraju odpowiedzi na pytanie, jakie formy musi mieć konspiracja o nieokreślonym czasie trwania, by móc istnieć, osiągać swoje cele i opierać się skutecznie kontrakcji KGB i bezpieki. Jeśli ją znajdą, wówczas nawiążą historyczną łączność z konspiracją Polskiego Państwa Podziemnego drugiej wojny światowej.

Stefan KORBOŃSKI

Konspiracja, podziemie, opór społeczny

Pytanie o charakter niezależnych działań społecznych, choć bez wątplenia jedno z najważniejszych, jest w obecnej chwili nieco anachroniczne. Odpowiedzi nań udzielił rozwój wydarzeń w Polsce po 13 grudnia '81: z jednej strony opór społeczny organizujący się w zasadzie niejawnie (o odstępstwach od reguły będzie jeszcze mowa), z drugiej zaś — represyjna i „normalizacyjna” polityka Jaruzelskiego, dyktująca „Solidarność” i innym podziemnym ugrupowaniom takie a nie inne metody działań.

Artykuł prof. Korbońskiego dotyka jednak problemu, który jest i będzie aktualny dopóty, dopóki w Polsce panuje system komunistyczny; jakie są szanse działań konspiracyjnych w warunkach stworzonych przez aparat państwowy i policyjny typu sowieckiego? Warto także — stosownie do obecnej sytuacji w Kraju — sprecyzować elementarne pojęcia: konspiracja, podziemie, opór społeczny.

Choć opowiadam się za konspiracyjną formułą działań, nie będę ukrywał, że szanse zasadniczych zmian realiów politycznych Polski (możemy to nazwać odzyskaniem niepodległości czy likwidacją systemu sowieckiego) w bliskiej perspektywie (dajmy na to jednego pokolenia) wydają mi się znikome. W oparciu o doświadczenia podziemia wojennego i powojennego prof. Korboński stwierdza, że organizacja konspiracyjna typu masowego nie ma szans na przetrwanie. Autor trafnie wskazuje na różnice między podziemiem wojennym i obecnym (jest ich o wiele więcej niż podobieństw) i właśnie te różnice, choć nie tylko one, skłaniają mnie do poddania w wątpliwość jego zasadniczego wniosku. Podziemie wojenne i jego kontynuatorzy w drugiej połowie lat 40-tych prowadzili walkę zbrojną, zwalczano ich zatem także zbrojnie. Obecnie organizacje podziemne wyrzekają się użycia broni, z czym łączą się środki represji stosowane przeciwko nim; są one bez porównania łagodniejsze, nawet w stosunku do terroru w latach 50-tych. Jeśli natomiast rozpatrujemy historyczne precedensy to faktem jest, że w europejskiej strefie Związku Sowieckiego i w samym ZSSR żadna większa organizacja konspiracyjna nie przetrwała (w ostatnim ćwierćwieczu KGB równie bezwzględnie i konsekwentnie zwalczano konspiratorów negujących podstawy systemu politycznego co działających jawnie dysydentów, którzy powoływali się na sowiecką konstytucję i prawa człowieka). Nie próbowano wszakże zbyt często ich tworzyć, a te, które powstawały liczyły bardzo niewiele członków. Wynika to z natury systemu sowieckiego

i wszelkich jego mechanizmów zniewolenia (jedną z zasadniczych różnic między komunizmem a innymi dyktaturami polega właśnie na względnej łatwości, z jaką w wypadku tych ostatnich można stworzyć opozycję — i jawną, i podziemną).

Te analogie historyczne okazują się jednak niewystarczające dla analizy obecnej sytuacji w Kraju, nie ma ona bowiem precedensów. Opór po pacyfikacji 13 grudnia zrodził się samorzutnie, a nie na skutek decyzji określonych władz politycznych czy organizacyjnych. Charakterystyczny jest przykład tworzenia Komitetów Oporu Społecznego¹, które — jak sądzę — najtrafniej oceniły realia stanu wojennego i potrafiły znaleźć najwłaściwsze metody działania. Ci, którzy zdecydowali się na udział w podziemnym oporze czy na współdziałanie z nim, właśnie w takiej formule ruchu odnajdują potwierdzenie wartości, symbolizowanych przez „Solidarność”. Decyzja współpracy z podziemiem staje się jednostkowym aktem wyzwolenia, opcją na rzecz wolności i prawdy.

Program TKK „Solidarność dziś”, późniejszy w stosunku do wypowiedzi prof. Korbońskiego, proponuje rozwijanie istniejącego już oporu społecznego: „Społeczeństwo nie ma wyboru — jedyna droga to opór, walka z dyktaturą”². Członkowie TKK zdecydowali się na kontynuację działalności w podziemiu. Gdyby nie szerokie poparcie społeczne, nie mogliby nawet — już od ponad roku — skutecznie się ukrywać. Przeczy to zresztą twierdzeniom propagandy o zupełnej izolacji liderów podziemnej „Solidarność”. Bardzo ciekawym dokumentem programowym, uzasadniającym podziemny charakter działań jest „Deklaracja Solidarność” z 12 grudnia 1982. Czytamy w niej m.in.: „Odrzucamy wezwanie do ujawnienia się. Dla reżymu 'podziemiu' są wszelkie przejawy niekontrolowanego przezeń życia społecznego. W kraju, w którym nielegalna jest sama władza, zakres naszej wolności zależy od niejawnych działań. Dzięki podziemnej Solidarnośći nie zamarły społeczne więzi, mogliśmy godnie przeżyć ten kolejny czas pogardy. Ujawnienie się byłoby zgodą na ubezwłasnowolnienie narodu”³. Nie widzę zatem możliwości przejścia od obecnej formuły oporu, organizowanego nie-

1. Por. „W rocznicę powstania KOS-ów” (wywiad z członkiem Komitetu Oporu Społecznego Janem L.); *Biuletyn Informacyjny* nr 52, Paryż (26. 01. 1983).

2. „Solidarność dziś”. Oświadczenie programowe Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność”.

3. *Kontakt* nr 1/9 1983, str. 5. (Deklarację podpisali: Komitet Oporu Społecznego KOS, wydawnictwo CDN, niezależne pismo literackie *Wzwanie*, redakcja *Tygodnika Mazowsze*, redakcja *Tygodnika Wojennego*, redakcja kwartalnika politycznego *Krytyka*, redakcja *Informacji Solidarnośći*, Międzyzakładowy Komitet Koordynacyjny Solidarnośći, Ruch Oświaty Niezależnej, Ośrodek Badań i Analiz OBA, wydawnictwo Krag, Terenowy Komitet Oporu Solidarnośći regionu Mazowsze, redakcja *Tu Teraz*, warszawska Niezależna Ofiyna Poetów i Malarzy, wydawnictwo Przedświt).

jawnie, do działalności w zasadzie jawnej, za którą opowiada się autor „Caveant Consules...”. Reżymowa propaganda dąży w tej chwili do wywołania negatywnych skojarzeń związanych ze słowem „podziemie”, sugerując analogie ze zbrojnym podziemiem z czasów drugiej wojny światowej i pierwszych lat powojennych, co budzi łańcuch skojarzeń: rozlew krwi, terror, walka bratobójcza. Oficjalne środki przekazu utożsamiają zresztą działalność podziemną z państwem podziemnym. Tworzenie konspiracyjnych struktur państwowych nie jest ani możliwe, ani potrzebne. Kwestionowano już zresztą zasadność samego pojęcia ‘społeczeństwo podziemne’ (TKK w swym ostatnim dokumencie programowym zastępuje je sformułowaniem ‘Społeczeństwo Niezależne’). Konspiracja ma być metodą (tworzenia społeczeństwa niezależnego), a nie organizacją. Niejawną działalność polityczną, związkową, wydawniczą czy samokształceniową można podejmować w oparciu o rozmaite struktury środowiskowe — zakład pracy lub uczelnia, krąg przyjaciół czy sąsiadów, parafia. W zasadzie winna to być aktywność niejawna; jak trafnie zauważył A. Michnik — „wyboru dokonał za nas Jaruzelski”. Konieczne jest jednak także jawne demonstrowanie jej istnienia; społeczeństwo musi okazywać swą rzeczywistą postawę wobec reżymu.

Symboliczne wyrazy sprzeciwu — znaki zwycięstwa, emblematy „Solidarności”, napisy na murach — nie wystarczają. Polityczna porażka „Solidarności” w jesieni ubiegłego roku umożliwiła władzom przejęcie inicjatywy i przyspieszenie „procesu normalizacji” (sądząc jednak z ostatniego dokumentu programowego, kierownictwo TKK pozbyło się wreszcie złudzeń co do możliwości „powrotu do stołu rozmów”). Szereg wypowiedzi Księdza Prymasa z tego samego okresu, zresztą wielokrotnie krytykowanych także w łonie Kościoła, dało Jaruzelskiemu do ręki kolejne atuty. Jedną z metod „normalizacji” jest swego rodzaju „ofensywa legislacyjna”, wobec której społeczeństwo — pozbawione programu i wskazań taktycznych — pozostawało bezbronne. W tym samym czasie zdecydowanie rośnie ilość ingerencji cenzury i zaostroża się politykę wobec środowisk twórczych; nadzieje na „oświecony kadaryzm” Jaruzelskiego pękają niczym mydlane bańki. Wzmocniono wyzysk pracowników — podwyższa się normy produkcyjne i wydłuża czas pracy.

Dochodzimy do problemu, którego ważność chciałbym tutaj podkreślić. Konieczne jest znalezienie jawnych metod obrony interesów pracownika już na poziomie zakładu pracy. Obecnie możliwości oporu wobec wyzysku ekonomicznego, walki o warunki pracy czy obrony pozbawionego zatrudnienia kolegi są znikome. Zakonspirowana struktura „Solidarności”, nawet przy poparciu większości załogi, nie jest w stanie wystąpić wobec dyrekcji jako reprezentacja robotników. Jednym z elementów „frontu odmowy” jest bojkot reżymowych związków zawodowych. Doceniając moralną wagę tego protestu, trzeba liczyć się z tym, że liczebność związków WRON-y będzie jednak szybciej

lub wolniej rosła. TKK sugeruje „wykorzystanie samorządu robotniczego tam, gdzie istnieje możliwość utworzenia go tak, by służył ochronie warunków bytu załogi i obronie przed represjami”.

Kolejnym odstępstwem od reguły działalności niejawnej powinny być strajki, demonstracje uliczne czy inne manifestacje, przygotowane wszakże w konspiracji. Elementarnym błędem TKK było ogłaszanie dat i miejsc protestów z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Udane demonstracje uliczne, które — odpowiednio przygotowane — potrafiły oprzeć się atakom ZOMO, znakomicie wzmacniały morale społeczeństwa. Jeśli policja symbolizuje zniechęconą władzę, widok uciekających ZOMO-wców ma również wymiar symboliczny — pokazuje, że władza nie jest wszechmocna. W ubiegłym roku nadużywano tej formy protestu, co nieuchronnie prowadziło do jej dewaluacji. Należy dokonać selekcji rocznic, których ważność akcentuje się poprzez manifestacje uliczne. Przygotowane demonstracje, połączone ze strajkami, powinny również służyć wyrażaniu sprzeciwu wobec kolejnych ustaw narzucanych przez władzę czy wobec drastycznego pogorszenia sytuacji ekonomicznej ludności.

Pozwolę sobie jeszcze na krótką wycieczkę w dziedzinę *Hochpolitik*. Refleksja polityczna nigdy nie była najmocniejszą stroną niezależnych ruchów społecznych w Polsce. W programie „polityki polskiej”, o ile o takim w ogóle można mówić, powtarza się pewna sprzeczność, której rezonans odnajdujemy i w artykule prof. Korbońskiego i w dokumencie programowym „Solidarności”. Otóż dość powszechna wydaje się świadomość, że zasadnicze zmiany w Polsce (można je określić mianem odzyskania niepodległości, choć dla mnie pojęcie „niepodległość” jest raczej hasłem niż kategorią precyzyjnie opisującą stan powiązań międzynarodowych państwa) uzależnione są od osłabienia imperialnej pozycji Związku Sowieckiego. Tymczasem w obu wymienionych tekstach autorzy niejako zastrzegają nienaruszalność wpływów sowieckich w Polsce (istnieją także różni marzyciele proponujący rozmowy autentycznej polskiej reprezentacji z Kremlem, celem zagwarantowania militarnych, politycznych i gospodarczych interesów ZSSR). Otóż w przeciwieństwie do członków TKK uważam, że w interesie polskiego społeczeństwa byłoby „naruszenie zasadniczej równowagi sił w Europie” (czy aby na pewno jest to równowaga?) i „istniejącego ładu międzynarodowego” (trudno mówić o „istniejącym ładzie międzynarodowym”, jeśli Sowicie niemal co roku przyłączają do „obozu socjalistycznego” kolejne państwo).

Natomiast przeciwstawianie przez autora „Caveant Consules...” „powiększania cywilizacyjnego i kulturowego stanu posiadania” „niemożliwemu obecnie do realizacji wielkiemu programowi polityki polskiej (tj. odzyskaniu wolności, niepodległości i ustroju demokratycznego)” — jest zabiegiem sztucznym. W warunkach systemu sowieckiego, przy dyktaturze partii komunis-

tycznej, nie sposób oddzielić walki o wolność kultury czy rozwój ekonomiczny kraju od zmian politycznych. Granicy pomiędzy „ochroną narodowej substancji” a „wywołaniem sowieckiej ulewy” nie można po prostu wyznaczyć. Zresztą „sowiecka ulewa” nie jest wcale konieczna. Przekonaliśmy się o tym 13 grudnia 1981 roku.

W pełni podzielam przekonanie S. Korbońskiego o praktycznej obojętności Zachodu, nawet w wypadku sowieckiej ingerencji militarnej w Polsce. Nie zwalnia to nas jednak z obowiązku analizy szerokiego kontekstu międzynarodowego sytuacji politycznej w Kraju. Sprawa polska miała międzynarodowy wymiar już przed 13 grudnia, a jeszcze bardziej po (czego zupełnie nie potrafili uświadomić sobie działacze „Solidarności” na Zachodzie). Sprawa polska już zresztą od kilku dziesiątków lat nie jest sprawą polską; jest jednym z frontów trzeciej wojny światowej, która zdecyduje o sowieckim panowaniu nad światem. Dopóki „polityka polska” nie zda sobie z tego sprawy, będzie skazana na perspektywę celów doraźnych i operowanie kategoriami *wishful thinking*. Konieczne jest stworzenie na Zachodzie reprezentacji polskiego ruchu oporu, reprezentacji o odpowiednim poziomie politycznym i intelektualnym. Kontynuowanie działalności zagranicznych komitetów „Solidarności” w dotychczasowy sposób nie ma większego sensu. W Kraju zaś należy szerzyć wiedzę o tym, że realizacja wizji demokratycznej i niepodległej Polski uzależniona jest nie tylko od ilości podziemnych drukarni, lecz także od szeregu czynników międzynarodowych — poczynając od tempa sowietyzacji Ameryki Łacińskiej poprzez rezultaty wyborów w RFN czy wzrost przewagi militarnej Moskwy a kończąc na dramatycznej izolacji Reagana w jego antysowieckiej polityce.

Wróćmy jednak do pytania: jawnie czy niejawnie? Odpowiedź prof. Korbońskiego i jego propozycja powrotu do metod z okresu działalności KOR-u opierają się na niedostrzeganiu zupełnie odmiennego tła społecznego, w jakim kształtował się tamten model ruchu. Przemiany psychologiczne, które stały się udziałem społeczeństwa w okresie ostatnich dwu i pół lat stwarzają całkowicie nową sytuację. Przed Sierpniem działacz opozycji demokratycznej porwany na ulicy przez bezpiekę — pomimo najgłośniejszych krzyków — spotykał się z obojętnością przechodniów. W okresie „Solidarności” bezczelność milicjanta, który poza kolejką chciał kupić papierosy, spowodowała 2-dniowe obłędzenie komendy w Otwocku. Jak obecnie zachwaliby się ludzie w sytuacjach tego typu — nie wiem i przyznaję, że z emigracyjnej perspektywy niełatwo udzielić odpowiedzi na to pytanie. Istnienie w podziemiu struktur organizacyjnych, ponawianie — pomimo represji — wystąpień protestacyjnych, gotowość ryzyka, trwałość ideałów wolnościowych „Solidarności”, zaś z drugiej strony komunistyczna „normalizacja”, przed którą trzeba się bronić, przemawiają według mnie za utrzymaniem zasady niejawnego budowania społeczeństwa niezależnego.

Jiří Lederer tak pisał o procesie „normalizacji” w Czechosłowacji:

„A społeczeństwo? Jeszcze się buntowało, głównie intelektualiści, ale już bez dawnego zapału i wiary w zwycięstwo. Jedyna rzecz mogłaby się stać groźna dla odradzającego się totalizmu: praca konspiracyjna, przemyślana i konsekwentna; ale jej właśnie zabrakło”⁴.

Nie powtarzajmy zatem tego samego błędu. Dla władzy komunistycznej najgroźniejsze jest to, co tworzy się poza zasięgiem jej kontroli.

Tomasz MIANOWICZ

19/20 lutego 1983

4. „Trzecia normalizacja”, *Kultura* nr 11/422 (1982), str. 79.

WOLNY STRZELEC

„NORMAL”

A więc Papież ma się udać do Polski od 16 do 22 czerwca, to już oficjalne — lub niemal — i każdy stara się zgadnąć, co powie lub nie powie w kraju, który zakrawa na prochownię, po której Kościół obnosi sporo świec.

Ale w zeszłym roku data była również ustalona, program uzgodniony, a przecież Papież dowiedział się w ostatniej chwili, że jego podróż nie jest na czasie, gdyż sytuacja nie pozwala jeszcze go przyjąć. A w miarę jak czas mija sytuacja ta wciąż się pogarsza na płaszczyźnie moralnej i materialnej. Dowiadujemy się dziś, że generał Jaruzelski liczy na Jana Pawła II, aby doprowadzić do „normalizacji”. „Normalnym” byłoby natomiast, by rząd polski, zanim wpuści Papieża wypuścił swoich więźniów.

(Przekład z francuskiego)

André FROISSARD

FIGARO, 11 marca 1983.

(André Froissard, jeden z najbliższych Papieżowi intelektualistów francuskich, jest autorem jedynej książki opartej na rozmowach z Janem Pawłem II).

Książki

Pamiętnikarz spod znaku Norwida

Ci co przygód szukają, nie zawsze na dobre trafiają (*los que buscan las aventuras no las siempre hallan buenas*), tak w *Don Kichocie*, ostrzeżenie, ale i pociecha zarazem, jak zawsze u Cervantesa. Zbigniew Zaniewicki miał tyle przygód, tyle razy otarł się o śmierć, że *Pięć groźnych lat*, czwarty tom jego pamiętników* wydaje się być dowodem jakiejś niebywałej polisy ubezpieczeniowej, ponieważ autor kończy w styczniu równe osiemdziesiąt lat. Poza tym przeżyciem różnorodnych przeżyć, pamiętniki jego są w mojej opinii ważnym i na swój sposób oryginalnym dokumentem czasu. W latach bierutowo-gomułczanych, wedle zasady, że historia jest macochą prawdy, umniejszono dokonania Polski przedwojennej, wyciągano wszystkie możliwe błędy i potknięcia, a przecież to był jedyny okres w ostatnich dwustu latach, kiedy Polacy uczyli się oddychać normalnie jako Europejczycy i mieszkańcy tej nieszczęsnej planety.

Zaniewicki daje w owych czterech tomach obraz swojego wyjątkowego pokolenia. Dzielił z nim ciekawość i chłonność świata w połączeniu z upartym optymizmem. Jako młody chłopak walczył w obronie Lwowa, brał udział w powstaniu śląskim, na szkolnym statku *Lwów* czmychnął do Brazylii, doznał tam przygód, które nie zawsze były dobre, nauczył się zawodu kelnera, potem w Paryżu pracował w restauracji rosyjskiej na Montmartre (są to chyba najzabawniejsze rozdziały w pamiętniku); pieniądze do niego ciągnęły i równie dobrze uciekały; wrócił do Warszawy na rodzinne łono i do kłopotów, studiował pod opieką profesora Ujejskiego, dostał pracę w biurze Polskiej Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelktualnej, wydał cztery

książki, zrobił doktorat, ożenił się z Francuzką (dziś jeden z jego synów jest pułkownikiem w armii francuskiej), zaprzyjaźnił się z odkrywcą Norwida, Miriamem-Przesmyckim. Dosłownie w dzień wybuchu wojny w stylu zaniewickim (bo o tym można w jego wypadku mówić) wrócił z zagranicy do Polski, żeby poznać koszmar i groteskę okupacji, grał znowu ze śmiercią w szachy, walczył w powstaniu.

Opatrzność nie tylko chroniła go jak mogła (bo Zaniewicki nie bardzo jej w tym pomagał), ale dała mu bezcenny dar: pamięć szczegółów. Co uderza podczas czytania tych tomów, nawet kiedy niektóre strony są mniej efektowne, to wybór i dobór szczegółów. *Mój pamiętnik* Anny z Działyńskich Potockiej jest dlatego dobrym pamiętnikiem, że autorka woli konkret od ogólników. Dobór szczegółów jednak zależy od refleksji i tonu pamiętnikarza. Zaniewicki miał i ma pewnie dalej ewangeliczną ufność wobec ludzi. Był czasem tak ufny, że prowokował ironiczny grymas losu. Strycio Wiktor, chytry bałaganiarz; legun od taborów, który z patriotyzmu nie płaci za mieszkanie; urzędnik ministerialny, który podtruwa Zaniewickiego nawet podczas okupacji, różni heroje co lubią rozboje — te portrety zawiesił także w galerii pamięci. Zaniewicki przekazuje więc perypetie życia z właściwą stylowi dozą naiwności, jak to czynili osiemnastowieczni łowcy przygód; czasem ukazuje się nam jako Kubaś-fatalista, czasem jako Kandyd czy poczciwy Doświadczynski. Wydaje mi się, że to właśnie połączenie ufnej naiwności z praktycznym instynktem samozachowawczym, który działa w chwili krytycznej, pobudza w czytelniku ciekawość i sympatię. Nie sposób nie lubić Zbigniewa-fatalisty w jego zmiennych rolach powstańca, kelnera, urzędnika, wytwórcy baterii w okupowanej Warszawie, a przede wszystkim przyjaciela a potem powiernika Miriama, któremu pomógł dźwigać trud norwidowy. Gdyby Zaniewicki nie zjawił się w życiu Miriama właśnie w tych przedwojennych latach, nie mielibyśmy dzisiaj owych odkrywczych czterech tomów z zamierzonego wydania *Wszystkich pism* (w tym listy).

Ta przyjaźń między dawnym redaktorem *Chimery*, eks-ministrem kultury i trzydziestoletnim Zaniewickim podnosi wartość tomu trzeciego (*Od Amazonki do Wisły*) jako dokumentu. Teraz, na początku norwidowego roku, każdy kto ceni i kocha tego poetę ironii, wyrwanego z niepamięci, musi z wdzięcznością pamiętać o roli tak bezinteresownych ludzi jak Zaniewicki, Wellisz czy Półtawski. A jak on znał i rozumiał swego mistrza Miriama! — namiętnego palacza, skrupulanta, podejrzliwego wydawcę, miłośnika i znawcę kwiatów, a przy tym bezdzietnego człowieka, który pod koniec życia szukał i znalazł syna. Duchowy syn wdział sens tego powiązania: „Przyjaźń nasza — Mistrza do ucznia i odwrotnie — zacieśniała się nieustannie. Straciłem ojca gdy miałem 13 lat i czułem potrzebę tej przyjaźni”. Cywilizacja trwa pomimo barbarzyństwa dzięki takim właśnie ludzkim spotkaniom.

* Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1982. Poprzednie tomy: *Moje dwudziestolecie*, 1976; *Moje piętnolecie*, 1977; *Od Amazonki do Wisły*, 1980. Wszystkie wydane przez P.F.K.

We wrześniu podczas obłężenia Warszawy Miriam szedł do Zaniewickiego na Zielną 24. W popłochu wśród pękających pocisków zapomniał numeru domu, trafił pod numer 30.

„Tam przesiedział na schodach całą noc. Zdawało mu się, że robi korekty dzieł Norwida: wyjął z kieszeni plik banknotów i czytał ich treść, a potem dawał je 'do druku' współtowarzyszom niedoli. Jadwiga odebrała od ludzi kilka 100-złotówek, ale wiele ich przepadło. Nad ranem ktoś przyniósł wieść, że Mazowiecka 4 spłonęła. Miriam słysząc to stracił przytomność. A wiadomość ta okazała się zwykłą w tych czasach omyłką lub wymysłem paniki. Gdy przybyłem, mój mistrz i przyjaciel leżał bezwładnie na ziemi. Przenieśliśmy go na noszach do bramy Mazowiecka 4, ale na próżno staraliśmy się go docucić. Zabiegi osiągnęły tylko to, że poruszył głową i wyszeptał jakieś słowo. Mnie się wydawało, że słowem tym była 'piwnica'. Znieśliśmy go więc do piwnicy, w której przechowywał skarby Norwida i Hoene-Wrońskiego. Nacierałem mu — za radą Jadwigi — piersi spirytusem i szeptałem do ucha: 'piwnica ocalała'. Otworzył wreszcie oczy i nim zapadł w ponowne omdlenie, wyrzekłem te słowa głośno. Uśmiechnął się na znak, że zrozumiał i z uśmiechem tym zasnął. Obudził się po godzinie i długo przecierał oczy. Pokazywałem mu kuferek i walizki z bezcennymi rękopisami. Po policzkach płynęły mu łzy. Jedyne jakie widziałem w jego oczach”.

Kto tak potrafi posługiwać się językiem, i to na progu osiemdziesiątki, przynosi zawodowi pisarskiemu radość i otuchę.

Co mnie najbardziej ujmuje w pamiętnikach Zaniewickiego, to brak mizdrzenia się i pretensjonalności (Boże, jak pretensjonalne miejscami są lustrzane *Dzienniki* mistrza Witolda). Unika dość konsekwentnie jakichkolwiek ramek i pseudostylizacji. Obramowując nazbyt nieforemność życia, pamiętnikarz mimo woli zaczyna kłamać i to czytelnik czuje po latach. Jeśli pamiętnik Zaniewickiego wywoła u niektórych czytelników niechęć, to tylko dlatego, że pomyślał: myśmy drzemali, kiedy ten Zaniewicki naprawdę żył, a oto teraz dogasamy przy telewizji.

Mam nadzieję, że w ostatnim tomie autor da porządną indeks, jak to zrobił z listami Norwida, bo bez indeksu pamiętnik o takiej rozpiętości i bogactwie konkretów zasmuciłby Muzę pamięci.

Pozwoli Zbigniew Zaniewicki, że w jego pięknym wieku przypomnę mu słowa z wiersza Norwida:

*I żadna łąka, i żadna myśl, i chwila, i rok,
nie przeszły, nie przepadły, ale idą wiecznie (...)*

Na tej drodze wiecznej spotykają się nadal podróżnicy z trzech pokoleń: Norwid, Miriam-Przesmycki i wierny ich sojusznik, Zbigniew Zaniewicki.

Jerzy PIETRKIEWICZ

Cztery rozmowy o literaturze

I.

Studentka. Rocznik 62. Rok temu wyszła za mąż za Amerykanina i wyjechała z Polski. Wie tyle, ile ją tam nauczono. Chce wiedzieć więcej.

— Czy może mi pan polecić jakąś historię literatury polskiej po pięćdziesiątym szóstym roku?

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nikt jej nie napisał. Niech pani czyta *Kulturę*.

— To nie kultura, to polityka.

Sięgam na półkę, wyciągam gruby tom, czytam:

— „Polityka jest naszym przeznaczeniem, cyklonem, w którego sercu tkwimy ciągle, choćbyśmy się chronili w łupinkach poezji”.

— Kto to napisał? Majakowski?

— Nie. Miłosz.

— Niemożliwe!

— Proszę, niech pani sprawdzi.

— Rzeczywiście. Kto to był Aleksander Wat?

— Poeta, którego zmiążdżyła polityka.

— Nigdy o nim nie słyszałam. Więc jak z tą historią literatury? Dlaczego nikt jej nie napisał?

— Nie wiem. Może ktoś napisze.

— A może pan...?

— Kiedyś próbowałem.

— No i co?

— Mój londyński wydawca odesłał z uwagą: „Więcej schabów, mniej Ochabów”.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że chociaż pisarze emigracyjni stanowią nie więcej niż dziewięć procent współczesnych pisarzy polskich, należy pisać o nich więcej, niż o pisarzach krajowych.

— To może wydaliby w Polsce?

— Przypuszczam, że odpowiedzieliby: „Mniej schabów, więcej Ochabów”. Nie przeszkodzi.

— A gdyby wydać tu, w Stanach?

— Czy kupiłaby pani książkę za 50 dolarów?

— Chyba nie.

— Właśnie. Niech pani czyta *Kulturę*...

— Do widzenia, to ja już chyba pójdę...

II.

Student, Amerykanin, kandydat na doktoranta w niedalekiej przyszłości. Rusycysta, chce się przekwalifikować na polonistę. Inteligentny, czytany, dobrze mówi po polsku. Ambitny.

— Chciałbym pisać referat o jakimś najwybitniejszym polskim pisarzu współczesnym.

— Co pana interesuje?

— Współczesna proza, powieść, duże formy. Upolitycznione, głębokie, mocne.

— Nie mogę panu niczego takiego polecić.

— Ale przecież ktoś pisze?

— Oczywiście. Niech pan czyta *Zapis*.

— *Zapis* się skończył w momencie powstania „Solidarności”. To zresztą już historia...

— Wszystko staje się historią. Niech pan wobec tego czyta reportaże zebrane przez Instytut Literacki.

— Ale mnie interesuje literatura, formy artystyczne, struktury.

— Czytał pan Konwickiego?

— Czytałem. To za mały format. Wycinek.

— Taki wycinek daje panu wgląd w większe sprawy.

— Tak, ale to nie to. Mnie pociąga epika, rozmach, duża forma.

— Niech pan czyta Mackiewicza.

— To znów historia. Zresztą niechlujnie napisana. Czy nie ma w Polsce dzieł na miarę Pasternaka, Sołżenicyna?

— Zamiast „Doktora Żiwago” mamy „Miazgę”.

— Ale po ostatnich latach, po powstaniu „Solidarności”?

— Mamy „Miazgę”. Nic poza tym.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Może pisarze przestali sami sobie wierzyć?

— Ale tu, na emigracji.. Przecież tyłu...

— Niech pan sobie poczyta „Miesiące”. To epika naszych dni.

— Więc naprawdę nie może mi pan nikogo polecić?

— Proszę pana, niech pan nie będzie zbyt wybredny. Ma pan wybór, od Andrzejewskiego i Brandysa do... Bo ja wiem, Strykowski? Toporskiej?

— Ale ja naprawdę chcę się zająć wielką, współczesną prozą polską!

— Wie pan co? Niech pan zacznie na nowo od Sienkiewicza. To ciągle jeszcze wielka polska epika, warta pańskiego czasu. A i dla Prusa znalazłoby się miejsce...

— Dziękuję. To ja chyba przyjdę później.

III.

Studentka, Amerykanka z polskiej rodziny, mówi po polsku

bardzo słabo, ale uczy się gorliwie. Wybiera się właśnie do Polski na studia, dostała stypendium. Podekscytowana i szczęśliwa. Nigdy jeszcze nie była za granicą, ba, nawet poza rodzinnym stanem.

— Mam trzy miesiące do wyjazdu. Chciałabym jak najwięcej przeczytać, żeby z literatury dowiedzieć się czegoś o kraju.

— O kraju pani przodków?

— Moich rodziców. Ojciec był w Powstaniu, mama w obozie. Ale ja nie chcę o tym. Ja chcę o współczesnej Polsce.

— Współczesnej, to znaczy jakiej: Bieruta, Gomułki, Gierka czy Jaruzelskiego?

— Nie, o naszej.

— To ładnie. Czytała pani Wyspiańskiego?

— Widziałam film. Wajdy, zdaje się.

— Tak. Pamięta pani o tym serduszku? „A to Polska właśnie”?

— Pamiętam. To o mnie. Od dzieciństwa. Ale chcę ją poznać. Co mam czytać?

— Gazety.

— Pan chyba żartuje.

— Nie, wcale nie. Każda książka pokaże pani Polskę albo Gombrowicza, albo Machejka. Nie ma Polski obiektywnej.

— Ale ja chcę się jej nauczyć.

— Pojedźcie pani, naucz się na miejscu. Na razie niech pani sobie poczyta gazety i czasopisma.

— Które?

— Wzruszam ramionami. Co można odpowiedzieć?

— Wszystkie — mówię wreszcie. — I niech pani zajdzie do mnie przed wyjazdem, pogadamy. Ile dają za dolara na czarnym rynku. Powodzenia.

IV.

Ankieta na temat „Polska książka roku”, anno 1982. Wydana w kraju i wydana na emigracji, to jedyne rozróżnienie i jedyne słuszne rozróżnienie. Wszelkie inne podziały stały się nieistotne; mimo (a może wskutek?) stanu wojennego maszynopisy przekraczają granice łatwiej niż ludzie. Czyżbyśmy w ten sposób przekraczali granice podziału powstały przed czterdziestu laty? „Kuzatari wreszcie podział powstały przed czterdziestu laty? „Kuzatari z Warszawy” Nowaka jako warszawski *bestseller* i „Miesiące” Brandysa w Bibliotece *Kultury*. Zdaje się, że Orwell nie był aż tak wielkim prorokiem.

Cytuję mój wybór książki wydanej w kraju: „Za najlepszą książkę wydaną w Polsce uważam nie utwór fikcji literackiej czy utwór poetycki, ale książkę naukową, stypendium Jarosława Marka Rymkiewicza „Juliusz Słowacki pyta o godzinę”. To wysokie miejsce przyznają pracy Rymkiewicza nie tylko za jej wielką wartość naukową, ale także, a może nawet przede wszystkim za jej całkowicie nowy, pozornie zabawny

sposób podania czytelnikowi odkrywczych przemyśleń autora. Rymkiewicz dowiódł, że studium literackie nie musi być nudne, ciężkostrawne i przeładowane pseudonaukowym żargonem, jak to się najczęściej zdarza polskim uczonym i krytykom. Pozwalam sobie zacytować tu jedno tylko zdanie z książki Rymkiewicza jako przykład tego nowego, ożywczego sposobu patrzenia na literaturę: «O tych konstrukcjach — o podmiocie lirycznym, podmiocie mówiącym, osobowości poetyckiej, osobowości stylistycznej, narratorze, personie, komunikacie, strukturze, znakach, toposach, i ileż jeszcze jest, ileż jeszcze będzie tego tałatajstwa, i jak długo jeszcze będzie trwało to gładzenie, jak długo jeszcze będziemy cierpieli ten bełkot, co głos ludzki, głos ducha zagłusza?». Rymkiewicz napisał rzecz poważną i cenną, wypowiedział wojnę materializmowi i upomniał się o ducha, a napisał rzecz swą tak, że zachęcił do czytania tych, którzy inną pracę o podobnej tematyce odłożyliby po pierwszym na nią wejściu. Zrobił tym samym dla literatury polskiej więcej, niż wielu jego uczonych kolegów i zasługuje, moim zdaniem, na wyróżnienie go jako autora najlepszej książki wydanej w kraju w roku pańskim 1982”.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Rok łaski

Tom zebranych pod tym tytułem artykułów pisanych co tydzień dla *France Catholique* dedykuje Pierre Emmanuel „A la Pologne”. Polska jest tu rzeczywiście obecna, nie tylko w pięciu tekstach bezpośrednio jej poświęconych. W swych rozważaniach o tradycji, kulturze, socjalizmie nawraca Emmanuel raz po raz do *Solidarności* i do wartości jakie jej przypisuje. Hasło polskiej „odnowy” wydaje mu się aktualne dla całej Europy.

Opisując wrażenia z pobytu w Polsce w październiku 1981 (z okazji przyznania mu nagrody polskiego PEN-Klubu) okazuje się Emmanuel bystrym obserwatorem:

„Mimo, że nikt w Polsce nie jest komunistą, poza kadrą wojskową i — być może — członkami partii, sporo ludzi w średnim wieku wyraża nadzieję, że generał Jaruzelski osiągnie wymiar wodza narodu. Mało to prawdopodobne, sądząc po jego bezwarunkowo lojalnej przeszłości: ale są tu złudzenia, że jego podświadomość syna deportowanego, który zmarł w ZSSR, może się odezwać. Olbrzymia większość nie ufa mu jednak: reżym stracił dla niej jakikolwiek kredyt. Jednoczyciel to Lech Wałęsa. Ale nie otacza się go tu żadnym kultem: przeciwnie, *Soli-*

darność jest ruchem masowym będącym antytezą totalitaryzmu, Nomenklatury, jakiegokolwiek uosobienia władzy (...). Wobec społeczeństwa rząd, partia, państwo czują się obłąceni. Wyobcowani własną pustką, odizolowani od narodu. Mają za sobą autorytet nominalny, wojsko, geopolitykę, „przyjaźń” ze Związkiem Sowieckim. Ale nawet nie mają odwagi odesłać do domów żołnierzy z kontyngentu i powołać nowych rekrutów, zbyt przesiąkniętych od roku atmosferą *Solidarności* (...). Władzę cechuje dziś nie żywotność, a milczenie. Wszystko, co żyje jest po stronie *Solidarności*. Nie należy jednak mieć złudzeń, ten paraliż jest niebezpieczny”.

K. A. J.

Na Mlecznej Drodze

Barbara Toporska zajmuje się w swoich powieściach kobietami, których energią napędową, swoistym *élan vital* jest nieprzystosowanie do życia. A raczej — odmowa przystosowania. Akcja jej ostatniej powieści¹ toczy się od zakończenia wojny do roku około 1957 w Rzymie, w Londynie, w okolicach Londynu i w dwóch miastach w Polsce. Są to miasta bez nazw, bez historii i bez architektury, rozpoznawalne tylko przez swoje socjalistyczne pejzaże.

Miejsce w Rzymie to via Sicilia i podrzędny pensjonat, w którym mieszkają dipisi. Londyn to dom przy eleganckiej ulicy w Kensington, własność Krystyny Jelskiej. W tym domu, w którym odnajduje pokoje w oczekiwaniu na życiową szansę, zostaje zamordowana. Raz z zazdrości przez zakochanego Anglika, drugi raz w wyobraźni, przez swojego kuzyna Karola. Powody, dla których Karol przyznaje się do niepełnionego morderstwa nie są jasne. Zazdrość Anglika nie przekonuje jako motyw zbrodni. Ale od kryminalnej intrygi, rozpętanej wokół angielskiego kochanka, a nawet od samej Jelskiej znacznie bardziej interesujący jest Karol: schizofrenik, tragiczny polski inteligent wysadzony z siodła przez wojnę.

Na Mlecznej Drodze to książka misternie, zbyt misternie skomponowana, ale jakby pisana w pośpiechu. Na pięciu narratorów dwóch zostało zaprezentowanych wybornie. Dwie kobiety, Katarzyna Siemieńska i Halszka, zwana także Leną i Helenką. Krystyny Jelskiej autorka pozbyła się zbyt prędko. Karol na-

1. Barbara Toporska, *Na Mlecznej Drodze*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1982, str. 246.

daje się na bohatera odrębnej powieści, a dziennik, w którym ten zrozpaczony nihilista motywuje swą zbrodnię, swoisty *act gratuit*, traci na integralności, włączony do części opowiadanej tu przez Anglika, autora kryminalnych powieści.

Katarzyna Siemieńska przypomina Barbarę „wieczne zmartwienie” z *Nocy i dni* Dąbrowskiej. „Kasia bez zgrzyoty nie może...” — powiada Piotr, jej mąż. Dwie kobiety, Halszka i Katarzyna, pozornie tak różne od siebie, zostały skonstruowane podobnie. Mają tę samą naturę podzieloną na odmienne okoliczności życia. Katarzyna jest chimeryczna, nieubłagana wobec ludzi, nie przyjmująca do wiadomości żadnych łask, jakimi ją życie obdarza. Halszka jest dzieckiem socjalizmu. Inteligentna, cyniczna i całkowicie w swoim cynizmie bezradna. Kobiety Toporskiej, inaczej niż bohaterki Romanowiczowej, chętnie epatują mroczniejszą, mniej pociągającą stroną swojej osobowości. Zdają się czynić punkt honoru z niezdobienia się w cnoty.

Książka Toporskiej składa się z pięciu części, z których każda opowiedziana jest przez innego narratora. Tylko pierwsza część, nie najdłuższa, należy do Katarzyny. Ale to ona dominuje nad całością powieści, psując innym role. Kapryśna i destruktywna, Katarzyna jest abnegatką z nadmiaru, nie z braku charakteru. Nie godzi się na kompromisy z równą zawziętością i uporem, z jakimi Halszka je akceptuje, a nawet prowokuje. „Ożeniłem się ze strzygą...” — mówi Piotr w finałowej rozmowie, wypominając żonie, że jest zdolna kochać tylko umarłych.

Na Mlecznej Drodze jest powieścią, której akcja rozwija się razem z postaciami. Bohaterów poznajemy stopniowo, raz z ich własnej relacji, potem oświetlanych przez inne, grające na tej samej scenie postaci. Akcja zmierza do kulminacji, ale prawie wszystkie wątki kulminują w braku rozwiązania. Książka Toporskiej ma dwa zakończenia, prawie identyczne ze sobą. Pierwsze należy do Katarzyny, drugie skierowane jest wprost do czytelnika. Toporska powtarza w nim słowa Siemieńskiej o milczącym porozumieniu po śmierci, „na Mlecznej Drodze”, porozumieniu, które nigdy nie jest udziałem żywych. Nie jest to zakończenie, które mi się podoba. Toporska psuje nim swą znakomitą, realistyczną, rygorystycznie skomponowaną powieść. Ale czyni to z determinacją, przed którą kapituluję. Jak kapituluję przed jej niekoniecznym — bo dostrzegalnym wcześniej, w toku opowieści — utożsamieniem się z Katarzyną.

Kolejne narracje nie układają się równolegle, ale chronologicznie i komplementująco. Powieść Toporskiej nie jest klasyczną powieścią punktu widzenia, oświetlającą te same postaci w tym samym czasie, w tych samych sytuacjach. Pisarka pozornie daje swoim narratorom równą szansę, ale największym stopniem autoświadomości obdarza Katarzynę i Halszkę. Dziewczynę z Polski być może nawet w większym stopniu, niż jej starszą, emigrancką kuzynkę. Dlatego szkoda, że odebrała jej prawo relacji z okresu pobytu w Anglii, oddając głos Piotrowi,

który narracyjnie nie umie udźwignąć sytuacji i zubaża własny komentarz, przytaczając obszerne fragmenty rozmów z dwiema kobietami.

Halszka po przyjeździe do Anglii staje się pozorną przyczyną rozkładu małżeństwa Piotra i Katarzyny. Ale romans z Piotrem likwiduje tylko jej szansę na pozostanie w Anglii. Katarzyna przyspiesza jej wyjazd, pozbywa się rywalki i żąda od Piotra rozwodu. Odchodzi w kolejną fikcję na temat własnego życia, powodowana kaprysem, zachowując pełną wewnętrzną integralność. „Życie jest gdzie indziej” — tak dla Halszki, jak i dla Katarzyny, a trochę wcześniej dla Jelskiej. Ale z trzech kobiet tylko Katarzyna nie powoduje się strachem. Lękiem przed klęską życia.

Katarzyna tęskni za Polską. To mogłoby tłumaczyć jej postawę wobec Piotra i życia na emigracji. Całkiem dobrego życia. Ale nie tłumaczy. Jedynym człowiekiem w tej książce, nastawionym do życia aktywnie i pozytywnie — aktywność Halszki jest paniczną ucieczką przed nędzą, której doznała w kraju — jest miły i niezbyt skomplikowany Piotr. Piotr ze swoją gorzką tajemnicą, iż matka bardziej kochała Karola, który nie był jej synem. I Piotr, który nigdy nie dowie się, jaki był udział Katarzyny w samobójstwie jej pierwszego męża.

Najlepsza część książki Toporskiej toczy się w PRL-u i należy do Halszki. Wiedzą autorki o codziennym życiu w Polsce do zakończenia wojny do pierwszych miesięcy „odwilży”, o mechanizmach politycznych i gospodarczych aferach jest imponująca i chyba wyjątkowa wśród pisarzy emigracyjnych. Toporska potrafiła uniknąć jednoznaczności, opisując stosunki w kraju. Jest jej bezsporną zasługą, iż swoją młodocianą bohaterkę wyposaża w cechy — i w język — które czynią jej relację wiarygodną psychologicznie i sytuacyjnie spójną. Ale ta dziewczyna, która przyjeżdża do Anglii, różni się bardzo — przynajmniej w relacji Piotra — od swojej własnej wersji. Sobą jest tylko wtedy, kiedy psuje emigrantom ich wizję utraconej ojczyzny.

Książka Toporskiej pełna jest psychologicznych niuansów i sytuacyjnych niespodzianek. Jest także pełna tła, choć zdumiewające, iż to tło nabiera większej konkretności w Polsce, a wiotczeje na emigracji. Być może dlatego, iż życie na emigracji toczy się bardziej we wnętrzu bohaterów, niż w ich relacjach z obcym otoczeniem. Za narratorami *Na Mlecznej Drodze* wloką się romantyczne zagadki z dworków, z czasu przed kataklizmem. Tajemnice minionej młodości, należące do ich minionej ojczyzny. Usiłują je leniwie rozszyfrować, ale w głębi ducha wiedzą, że stanowią one niezbędne fikcje ich nowej egzystencji. Nierozwiązane sprawy „stamtąd” są ową wątlą nicią, która pozwala im na luksus podwójnego życia. Ta nić lada chwila może się zerwać i dlatego tym mocniej starają się ją zasupłać.

"Szukając miary, może tworzysz miarę"

Historia odciska dziś swoje ślady nawet w spisach treści tomików poetyckich. Adama Zagajewskiego „List. Oda do wielości. Nowe wiersze”*, książka wydana podziemnie w Krakowie jesienią 1982 roku, składa się — jak wskazuje tytuł — z trzech części: każda z nich powstała w innym okresie biografii poety i zarazem w innym okresie historycznym. Część pierwsza to powtórzenie tomiku „List”, wydanego niegdyś również w niezależnym obiegu (aczkolwiek w bardziej pokojowych czasach), a zawierającego wiersze z lat siedemdziesiątych, włącznie z paroma wczesnymi utworami skonfiskowanymi ongiś przez cenzurę. Część druga zawiera, jak można się domyślić, wiersze z paru ostatnich lat minionej dekady, spędzonych przez autora na Zachodzie. Zagajewski powrócił do kraju na parę miesięcy przed wprowadzeniem stanu wojennego. I właśnie do tego okresu — bezpośrednio przed i zaraz po Grudniu 1981 — odnosi się część trzecia tomu, „Nowe wiersze”.

Z pozoru więc — poetycka rejestracja trzech kroków, uczynionych przez Historię w jej przyspieszonym biegu. Myliłby się jednak, kto by sądził, że wiersze Zagajewskiego są tylko rejestracją czy, jeszcze gorzej, „odbiciem” zewnętrznych wydarzeń, dziennikarską poezją chwili bieżącej. Na to autor „Listu” jest po prostu zbyt dobrym poetą i zbyt mądrym człowiekiem. Poeta naprawdę wartościowy pisze w gruncie rzeczy całe życie o jednej sprawie, na której rzeczywiście się zna: o sobie. I jest paradoksem, ale paradoksem o całkiem racjonalnych podstawach, że nas, czytelników, tak naprawdę obchodzi i poruszają te wiersze, które są krańcowo osobiste i nawet egocentryczne, które stanowią wyraz krańcowo indywidualnego punktu widzenia. Piśzę o tym, aby raz jeszcze zwrócić uwagę na zadziwiające nieporozumienie, narastające od lat wokół literatury „pokolenia 68”, którego Zagajewski — jako poeta, prozaik, eseista, krytyk — jest czołowym przedstawicielem. Od lat klepie się w kółko te same formułki: że mianowicie liryka tej generacji jest „poezją społeczną”, poezją „spraw powszechnie istotnych”, poezją „zaangażowaną w problemy”. Ba, w końcu lat siedemdziesiątych pojawiła się nawet w młodej poezji reakcja na tę rzekomą „społeczność” w postaci szkoły Nowej Prywatności (która zresztą sama wkrótce, pod ciśnieniem historycznych wydarzeń, porzuciła pry-

* Adam Zagajewski, *List. Oda do wielości. Nowe wiersze*. „Półka Poetów”, Kraków 1982. Str. 76. Tom ten ukaże się w najbliższym czasie w Bibliotece „Kultury”.

watność na rzecz „zaangażowania”). Wszystko opierało się na dość elementarnym pomieszeniu pojęć i na skłonności do operowania schematycznymi podziałami. Nie dostrzegano, że to, co w poezji Marcowej generacji było najlepsze, rodziło się z połączenia „społeczności” z „prywatnością”: z mówienia o sprawach powszechnie ważnych, ale z indywidualnego, prywatnego, osobistego punktu widzenia. Nie mogło być inaczej, skoro w uniformizującym umyśle systemie politycznym samo obstawanie przy własnej niepowtarzalności jest już — czy tego chcemy, czy nie — faktem o społecznym znaczeniu, wyznaniem wiary, wyborem wartości.

Nie ma lepszego na to przykładu niż świetna i bogata myślowo twórczość Zagajewskiego. Podobnie jak jego powieści stanowią ironiczne współczesne parafrazy klasycznego gatunku *Bildungsroman*, ukazującego duchowy rozwój wybranej jednostki, podobnie jak eseje skupiają się zwykle na osobliwościach indywidualnego kształtu czyjejs sztuki czy myśli, tak i wiersze — przy całej swojej niewątpliwiej „społecznej” doniosłości — składają się w gruncie rzeczy na portret pojedynczego człowieka. Można to nawet uściślić: na portret człowieka podwójnie osamotnionego — przez swoją z góry daną niepowtarzalność i przez swoją nabytą skłonność do sceptycyzmu, powątpiewania, stania z boku.

Tak więc — portret umyślnego niezależnego. Ale umyślnego znajdującego w tej niezależności więcej udręki niż satysfakcji. Poszczególne wiersze precyzyjnie budują ów portret, wzbogacając go o szczegółowe rysy. Sceptyk-indywidualista ma, przede wszystkim, swoją przeszłość: ukształtowało go dzieciństwo, które przypadło na pierwsze lata powojennej „nowej rzeczywistości”:

*Po raz pierwszy płakałem po śmierci Stalina (...)
Oto moje krótkie życie
biegłem w pochodach skandowałem powietrze
tonąłem w rzece przyjaźni
głosowałem z zamkniętymi oczami
Jestem krótkowidzem mogłem zostać tylko inteligentem
(„Skarga młodzieńca z dawnych lat”)*

Tak wczesne zetknięcie się z pokusami i rozczarowaniami Historii pozostawia bohaterowi w spadku boleśnie pękniętą świadomość. Z jednej strony bowiem czuwa w niej wyostrowana, nadwrażliwa gotowość do bezustannej etycznej samokontroli i samooceny, przekonanie o własnej odpowiedzialności za Historię („nie jesteśmy niewinni, pomimo wszystko nie jesteśmy niewinni”: z wiersza „Zwycięstwo”), niepewność własnej moralnej „czystości”:

*Ja przecież należę do tych
którzy ze zdziwieniem nic nie rozumiejąc
pytają jak mogliście pisać ody na śmierć rzeźnika*

*Sam piszę ody na cześć zwykłego życia
i jestem czysty bo łatwo być czystym
gdy spadają liście ale nie wiem czy wtedy
bym tak samo jak wy nie krzyczał*

Jednakże tego rodzaju wygórowane żądania moralistyczne wobec samego siebie zderzają się dotkliwie z inną nabytą skłonnością. Oto „Kto raz zetknął się z ironią, będzie parskał śmiechem podczas wykładu proroka” („Oda do wielości”): to, że byliśmy świadkami tyłu zbiorowych wzlotów i upadków skazuje nas na przekleństwo ironicznego dystansu, wiecznie doskwierający sceptycyzm wobec masowych porywów i promiennych utopii, choćbyśmy stali całym sercem za ich hasłami:

*śpiewałem
także te piosenki, wiem jakie to wspaniałe
biec razem z innymi, później zostaję sam,
w ustach mam smak popiołu i słyszę
kłamstwa ironiczny głos, krzyczy chór
a ja dotykam głowy tam pod palcami
wypukła czaszka ojczyzny mojej twardy brzeg.*

(„Ogień”)

Przypomina się Norwidowskie „...i bez skrzyknięcia wstecz Ironii / Żeby się udało zrobić coś...”. I dla Zagajewskiego ironia jest „koniecznym bytu cieniem”, w jego wierszach jednak stanowi ona zarazem hamujące obciążenie i niezbędną samoobronę. Wystarczy spojrzeć na pisany w listopadzie 1981 roku wiersz „Zebranie warszawskie” (czy tytuł nie stanowi znów dalekiej aluzji do „Przepsisu na powieść warszawską” Norwida?), karykaturalny portret zbiorowości poddanej presji wielkich słów i emocjonalnych stereotypów — ironia przeszkadza tu bohaterowi utożsamiać się z ową zbiorowością, ale zarazem opancerza go i ochrania jego duchową tożsamość. Wtopienie się w zbiorowość dałoby może bohaterowi tych wierszy szansę ucieczki pod skrzydła nadrzędnego autorytetu, groziłoby mu jednak stereotypizacją i uproszczeniem. A to są niebezpieczeństwa najgroźniejsze: naruszają zasadę „wielości” świata, który — jak głosi swoisty manifest filozoficzny Zagajewskiego, wiersz „Oda do wielości” — jest godny pochwały właśnie dlatego, że mnogość jego składników i aspektów „przerasta moją zdolność pojmowania”.

Gdyby Zagajewski na tym poprzestał, byłby poetą dość jednostronnym: piewca dobrowolnej samotności. Samotności motywowanej ontologicznie — przez podstawowe założenie „wielości” świata, której nie wolno uniformizować żadną doktryną. Tak, ale — jak już wskazywałem — mechanizm napędowy tej intrygującej i skomplikowanej poezji zostaje wprawiony w ruch dzięki pewnej nierozwiązywalnej sprzeczności. Jest to mianowicie sprzeczność między ontologią a etyką. Rzeczywistość każe nam się podziwiać w swojej egzystencjalnej „wielości”, zarazem jed-

nak jej moralna niesprawiedliwość nie pozwala nam się z nią pogodzić. Jest to szczególnie oczywiste, gdy bierzemy pod uwagę rzeczywistość objawiającą się pod postacią Historii. Jak pisze Zagajewski w kończącym tom wierszu, czołgi „kładą kres wszelkiemu porównywaniu”; nasz zachwyt „wielością” rzeczy ustępuje miejsca przekonaniu, że na niektóre z tych rzeczy przystać nie można. Tym bardziej, że mamy do czynienia z postępującym popolitowaniem się zła, ze światem, w którym np. cenzura jest dziełem nie demonicznych prześladowców ale „zażywej urzędniczki Która trzyma w ręku zwyczajne nożyczki” („Mała piosenka o cenzurze”), a despotci stroją swoje zbrodnie w szaty dyplomatycznych protokołów (wiersz „Z kronik dyplomatycznych 1939”, będący zapisem dialogu Ribbentropa i Mołotowa).

Na taki świat nie można przystać z jednego prostego powodu: nie da się w nim żyć. Dlatego sceptyczny indywidualizm, który skazuje na samotność, nie może stanowić zwolnienia od odpowiedzialności. Przeciwnie, pozycja indywidualnego obserwatora nakłada na niego dodatkowe zobowiązania. Stojąc osobno, z boku, widzi się nieraz lepiej, trzeźwiej, ostrzej:

*W suchym twardym materiale
prawdę masz utrwalić*

(„Nie pozwól rozpuścić się skupieniu”)

Tylko — jaką prawdę? Zgodnie z ontologią tej poezji, nie może to być prawda stereotypu, prawda dogmatu. Może to być jedynie prawda obiektywnej i wiernej obserwacji. Niekoniecznie obserwacji szczegółów — również obserwacji istoty rzeczy lub zjawiska, którą można zamknąć w paru słowach syntezy (przykładem znakomity wiersz „Plany, sprawozdania”, jedną skrótową obserwacją podsumowujący cały absurd naszych czasów). Może to być również prawda, żeby się tak wyrazić, samego poszukiwania prawdy. Jednym z dominujących motywów tych wierszy jest nieustannie odnawiana i ilustrowana kolejnymi metaforami opozycja pewności i wątplenia, prostej linii i „okrężnej drogi”, nieomyślności i ryzyka błędu. „Moi mistrzowie nie są nieomylni”, pisze Zagajewski, opowiadając się po stronie niepewności i wiecznego poszukiwania:

*Tylko wątplenie
niespokojny przeczający ruch głowy
zawieszony w pytaniu głos
mogą ocalić
iskierkę nieskończoności*

„Szukając miary, może tworzysz miarę”, sugeruje w innym wierszu. Zatoczyliśmy w ten sposób koło: to, co zdawało się bolesną konsekwencją ironicznego dystansu, okazuje się właśnie jedyną możliwością dotarcia do istoty rzeczy; co było przekleństwem, staje się wartością; co skazywało na samotność, jest

— przeciwnie — darem, jaki poeta może ofiarować ludzkiej społeczności.

Parokrotnie w tej analizie pojawiło się nazwisko Norwida. Nie bez głębszej przyczyny. Norwid, wymieniony z nazwiska, pojawia się dwukrotnie i w wierszach Zagajewskiego: tych najnowszych, pisanych w czasie wojny w Polsce. Co znamienne, raz jest to Norwid prześladowany i tropiony, drugi raz — Norwid triumfujący: absurd „potężnych wojsk i bitnych generałów, policji tajnych, widnych i dwupłciowych” przetrwa w przyszłości tylko w formie przypisów do wierszy poety. Ale przywołanie tego właśnie nazwiska jest dla Zagajewskiego również wyborem określonego patrona i określonej tradycji: Norwid to jeden z jego „omylnych mistrzów”, piewca sceptycyzmu i zarazem poświęcenia, ironii i moralnej pasji, wątpienia i dobroci, wahania i wiary. W dzisiejszej poezji polskiej nie znam nikogo, kto miałby równe jak Adam Zagajewski prawo do takiego patronatu.

Stanisław BARAŃCZAK

Polska bibliografia w Danii

Duński tytuł tej pięknie i solidnie wydanej książki brzmi: *Polsk bibliografi 1850-1980**. Jej autorem jest Peter Ravn, nauczyciel gimnazjalny w Arhus na Jutlandii, z wykształcenia filolog duński, z zamiłowania maniak polskiej literatury. Jest bowiem maniactwem wykonywanie mrówczej, intelektualnej pracy prawie za darmo w kraju, w którym za zamieszczenie schodów dostaje się ładny pieniądz. Książka ukazała się dzięki subwencji duńskiego Ministerstwa Kultury. Jest to pierwsza tego typu publikacja w Danii; podobne opracowania dawno już ukazały się w Szwecji i Norwegii.

We wstępie pisze Peter Ravn nie bez ironii, że był już najwyższy czas na opracowanie polskiej bibliografii, zważywszy, że nie kto inny jak Georg Brandes zainteresował Skandynawię polską literaturą i polską historią. Brandes jest ulubionym autorem niżej podpisanej, która doznawała metafizycznych dreszczy czytając w jego tłumaczeniu *Wielką Improwizację* i dowiadując się, że Goethe splagiował historię o trzech Budrysach. Książka

* Peter Ravn, *Polska. Bibliografia 1850-1980*, Bibliotekcentralen, 1982, str. 79.

Brandesa pt. *Wrażenia z Polski (Indtryk fra Polen)* ukazała się w roku 1888. W zbiorowym wydaniu weszła w skład tomu, którego drugą część stanowią *Wrażenia z Rosji*. Część polska, która nosi motto „*malgré tout*”, jest pisana z pełnym uczuciowym zaangażowaniem, ogromną znajomością polskiej literatury i polskiego życia politycznego pod zaborami. *Wrażenia* przynoszą także chlubę Brandesowi jako znawcy charakteru Polaków i w tym aspekcie można je czytać bez aktualizujących poprawek. Nie na darmo od powstania Solidarności cytata z tej książki zaszły się wszystkie niemal audycje poświęcone Polsce w duńskim radio i telewizji.

Książka Petera Ravna składa się z 1600 haseł i jest podzielona na bibliografię literatury fachowej (niebeletrystycznej) i bibliografię literatury pięknej. W pierwszej pomieszczone zostały zarówno publikacje tłumaczone z polskiego jak też niemal wszystko, co na temat Polski ukazało się w języku duńskim na przestrzeni ostatnich 130 lat. Z części drugiej wynotowuję: z autorów dawniejszych tłumaczony jest Mickiewicz (m.in. *Pan Tadeusz*), Krasiński, Reymont, Sienkiewicz (żadna książka polska nie pobiła ilości wydań *Quo vadis?*), Kraszewski, Dąbrowska (całość *Nocy i dni* ukazała się w roku 1969, wcześniej przetłumaczono zbiór nowel *Ludzie stamtąd*). Nałkowska reprezentowana jest jednym opowiadaniem, podobnie — z autorów nowszych — Różewicz i Borowski. Przetłumaczono *Popiół i diament* i *Idzie skacząc po górach* Andrzejewskiego, *Granadę i Łucję Król* Brandysa. *Sklepy cynamonowe* Schulza doczekały się dwóch wydań. Przetłumaczono *Ferdydurke*, *Pornografię* i pierwszą część pierwszego tomu *Dziennika* Gombrowicza. Marek Hłasko reprezentowany jest dwoma zbiorami opowiadań, Mrozek *Stoniem* i licznymi krótkimi opowiadaniemmi rozrzuconymi po czasopiśmie, Herbert — *Panem Cogito*. Poza tym Lem i Lec. Najlepiej powodzi się polskim pisarzom w duńskim radio, dotyczy to także polskiej dramaturgii, czego jednak w *Bibliografii* z przyczyn metodologicznych nie odnotowano.

Największa hossa dla polskiej literatury przypadła na lata 60-te. Potem nastąpiła przerwa i nowa fala zainteresowania pod koniec lat 70-tych. Ale tuż po wojnie ukazało się na przykład drugie wydanie *Nieboskiej komedii* Krasińskiego (pierwsze w roku 1925), a w pierwszej połowie lat 70-tych na łamach prasy codziennej toczyła się dyskusja na temat Marii Konopnickiej, której bajka *Na jagody* jest prawdopodobnie plagiatem ze szwedzkiej pisarki Else Beskow.

Już po zamknięciu przez Petera Ravna jego bibliografii ukazała się *Dolina Issy* Miłosza i wybór jego wierszy, a także wybory wierszy Różewicza i Szymborskiej. Współczesna proza polska nie ma szczęścia w Danii (w przeciwieństwie do Szwecji i Norwegii): wydanie esejów Miłosza czy którejkolwiek z powieści Konwickiego napotyka na trudności nie do pokonania. Z niewiadomych przyczyn łatwiej jest wydać poezję, choć mało kto ją

kupuje. Trzeba jednak przyznać, że dla tej niewielkiej garstki Duńczyków, którzy to czynią, warto podjąć każdy trud.

Uwaga natury czysto osobistej: kiedy przeglądam *Bibliografię Ravna* mam wrażenie, że nie wszystkie z dwunastu lat mego pobytu w Danii zupełnie zmarnowałam.

Janina KATZ HEWETSON

«Narodowiec» i Polska

Tak więc wszystko jest jasne. Historia Polski w ciągu ostatnich lat, a w szczególności od roku 1980, tłumaczy się walką marksistów antysowieckich z marksistami prosowieckimi, trockistów ze stalinowcami, KOR-u z PZPR. Obie te siły są obce narodowi polskiemu. Ale pierwsza, sprzymierzona z lewicą zachodnią i piśsudczykami z *Kultury*, jest bardziej niebezpieczna, gdyż jest rewolucyjna, antyrosyjska i diabelsko inteligentna, czemu dała wyraz pozorując chęć współpracy z Kościołem i podporządkowując sobie „Solidarność”. Toteż jest ona w pierwszym rzędzie odpowiedzialna za wprowadzenie stanu wojennego.

Tyle dr St. Kozanecki w broszurze *Pologne 1980-1982. Ombres et lumières*, wydanej przez drukarnię *Narodowca*. Wtórują mu artykuły p. T. Borowicza na łamach tejże gazety, zebrane obecnie w jednym tomie (*O wyjście z błędnego koła*, Londyn 1983, nakładem autora). Ale jeśli dr Kozanecki skłonny jest uznać pozytywną rolę KOR w pierwszym okresie jego działania, to p. Borowicz nie okazuje żadnej słabości. Jego zdaniem była to od początku organizacja trockistowsko-sanacyjna (*sic!*), popierana przez wywiady zachodnie i dążąca do zrobienia w Polsce rewolucji. Koniec. Kropka.

Tak oto autorzy z *Narodowca* i *Myśli Polskiej*, gęsto cytowanej przez p. Borowicza, piszą — w ramach pracy społecznej? — wypracowania, które powielają tematy urzędowej propagandy, dostarczając jej zarazem alibi w postaci rzekomej opinii „zdrowych sił” emigracji. Różnica między Lwem ryczącym na łamach *Żołnierza Wolności* a tymi panami polega tylko na tym, że przedstawiają się oni jako antykomuniści. Wystarcza jednak chwila uwagi, by dostrzec, że ten afiszowany antykomunizm jest tylko retoryczną osłoną prosowiectwu. Jakoż nie przeszkadza on dr. Kozaneckiemu przyznać racji Kremlowi, uważającemu „Solidarność” za narzędzie trockistów, a Lecha Wałęsę — za ich parawan (str. 19). W tym punkcie poglądy p. Borowicza zdają się nieco bardziej zniuansowane. Twierdzi on, że Wałęsa „stawał czasem nieświadomie — podkreślić trzeba, że nieświadomie —

pod wpływem doświadczonych graczy politycznych rewolucyjnych trockistów” (str. 142). Obrona Lecha Wałęsy polega tu na uznaniu go za kukłę, której należy wybaczyć, bo nie wiedziała, co czyni.

Niepodobna, a zapewne i nie warto prostować przeinaczeń i zmyśleń pp. Borowicza i Kozaneckiego, pochodnych wobec spiskowej wizji dziejów, w której rolę Żydów i masonów obsadzają „trockiści”. Zauważmy, że w obu cytowanych tu utworach nie da się znaleźć żadnego argumentu przemawiającego za wyborem tego właśnie terminu, żadnego cytatu z jakiegos oświadczenia KOR-u, który by nadawał mu choćby cień zasadności. To oczywiście zapożyczenie z żargonu propagandy stalinowskiej, ciągle używanego w krajach bloku sowieckiego, jest widomym znakiem powinowactwa naszych autorów z polskimi rzecznikami ???-tyzmu Paktu Warszawskiego. Świadczy o nim również takie samo w obu przypadkach lekceważenie faktów i zastępowanie ich przez własne urojenia. Niezorientowanym czytelnikom dr. Kozaneckiego przypomnijmy, tytułem przykładu, że Kuroń i Modzelewski nie „opuścili” PZPR, ale byli z niej wyrzuceni, po czym spędzili, w dwóch turach, siedem lat w więzieniach PRL, że Michnik nigdy do partii nie należał, że jego książka ukazała się nie w czasie wizyty papieża w Polsce ale w maju 1977 roku, że KOR nigdy nie głosił „rewolucji”. Co się zaś tyczy stanu umysłu p. Borowicza, to nic nie ukazuje go lepiej niż jego wizja porozumienia Kuronia z Jaruzelskim (por. str. 52-53).

Komentarz byłby tu zbyt cenny. Pozostaje przypomnieć wrażenia Tuwima z podobnych lektur:

„Ciężko mi jest. Nie na sercu
Lecz wprost przeciwnie i niżej.
Niech się ciężarem tym ze mną
Podzieli któryś z rodaków.
Mój Boże, iluż jest jeszcze
Tępych endeckich pismaków”.

kp

Nadesłane nowości wydawnicze

KONWICKI (Tadeusz). *Mała Apokalipsa*. Str. 147 i 9 nlb. (Wyd. Index on Censorship jako przedruk krajowego Zapisu nr 10, wznowienie, 1983).

MIŁOSZ (Czesław). *Hymn o perle*. Str. 98 i 4 nlb. (Wyd. Ardis w

serii Michigan Slavic Publications, Ann Arbor Mich., USA 1983).

BRANDYS (Marian). *Moje przygody z historią*. Str. 137 i 7 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1983, wznowienie).

- KORZENIEWSKI (Tadeusz). *W Polsce*. Str. 81 i 7 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1983).
- GŁOWACKI (Janusz). *Moc truchleje*. Str. 71 i 1 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1982).
- MORAWSKI (Dominik). *Kościół w Polsce: strategia wyzwolenia, implikacje dla Europy Wschodniej*. Str. 16. (Wyd. Studium Polskiej Myśli Demokratycznej w Niemczech im. Mieczysława Niedziałkowskiego, Monachium 1983).
- KOWALIK (Jan). *Polska w Niemczech powojennych*. Zbiór artykułów ogłaszanych na łamach polskiej prasy emigracyjnej w RFN. Str. 127. (Wyd. American-Polish Documentation Studio, San Jose Ca., USA 1982).
- KURDWANOWSKI (Jan). *Mrówka na szachownicy*. Str. 381 i 3 nlb. (Wyd. nie podane, Nowy Jork 1983).
- RUDNICKI (Klemens). *Na polskim szlaku (wspomnienia z lat 1939-1947)*. Str. 216. (Wyd. II, wyd. PFK, Londyn 1983).
- ŻENCZYKOWSKI (Tadeusz). *Rok 1945*. Str. 233 i 9 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1982 jako przedruk z krajowego wydania *Głosu* z 1981 roku).
- SZAWŁOWSKI (Ryszard). *Prawa człowieka a Polska*. Str. 212 i 4 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1982).
- Collegium Polonorum* nr 6. Str. 217 i 7 nlb. (Wyd. Papieskie Kolegium Polskie w Rzymie, 1982).
- LAKS (Szymon). *Moja wojna o pokój*. Str. 130 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1983).
- ZIMMER (Szczepan Karol). *Thoreau i jego otoczenie*. Str. 207 i 3 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1983).
- MILERSKA (Ewa), KUPIEC (Aniela), FILIPEK (Anna). *Korzenie*. Wiersze. Str. 111 i 7 nlb. (Edycja polska wyd. w Ostrawie przez „Profil”, 1981, cena Kčs 14).
- RAINA (Peter, oprac.). *Jan Paweł II, Prymas i Episkopat Polski o stanie wojennym*. *Kazania, listy, przemówienia i komunikaty*. Str. 316 i 4 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1982).
- ŻYCHIEWICZ (Tadeusz). *Stare Przymierze. Prorocy Izajasz, Jeremiasz, Ezechiel*. Str. 233 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1982).
- Czas walki. Karykatury i rysunki z prasy zachodniej*. Str. 40. (Wyd. Polonia Bookfund, Londyn 1982).
- MAREK (Krystyna). *Retour sur Yalta*. (Nadbitka z *Revue Générale de Droit International Public* nr 3, lipiec/wrzesień 1982, str. 458-507).
- WINOCK (Michel). *Histoire politique de la revue „Esprit” 1930-1950*. Str. 446 i 2 nlb. (Wyd. Seuil, 1975).
- Pologne. L'insurrection de 1830-1831, sa réception en Europe*. Oprac. Daniel Beauvois. Str. 297 i 7 nlb. (Wyd. Université de Lille III, 1982).
- Journal Institute of Muslim Minority Affairs*, vol. III nr 2, zima 1981. Str. 316 i 4 nlb. (Wyd. King Abdulaziz University, Dżedda, Arabia Saudyjska).
- MEIKLEJOHN TERRY (Sarah). *Poland's Place in Europe. General Sikorski and the Origin of the Oder-Neisse-Line, 1939-1943*. Str. 394 i 4 nlb. (Wyd. Princeton University Press, USA 1983).
- STAFF (Leopold). *An Empty Room*. Tłum. Adam Czerniawski. Str. 60 i 4 nlb. (Wyd. Bloodaxe Books, Newcastle, Wielka Brytania, 1983).
- SORESCU (Marin). *Selected Poems*. Tłum. Michael Hamburger. Str. 93 i 3 nlb. (Wyd. Bloodaxe Books, Newcastle, Wielka Brytania, 1983).
- War against the Nation*. Fragmenty dokumentów, wiersze. Rys. A. Dudzińskiego. (Wyd. Committee in Support of Solidarity, Nowy Jork 1982).
- MIŁOSZ (Czesław). *Poesie*. Str. 202 i 6 nlb. (Wyd. Adelphi Edizioni, Mediolan 1983).
- PRZYBYSZEWSKA (Stanisława). *L'affaire Danton*. Tłum. Pietro Marchesani. Str. 205 i 3 nlb. (Wyd. Edizioni Costa et Nolan, Genua 1983).

Polemiki

O Palestyńczykach inaczej

Ramalla, 8 grudnia 1982.

Do Redakcji *Kultury*.

Jako Polka mieszkająca od dwu lat w Cisjordanii niemile zaskoczona zostałam artykułem p. Ungera „Widziane z Brukseli” (*Kultura*, wrzesień 1982), a także komentarzem Redakcji. Głównym celem artykułu wydaje się być obrona obecnej polityki Izraela i atak na elementy propalestyńskie, zwłaszcza w środowisku lewicy zachodnioeuropejskiej. W uwagach p. Ungera na temat lewicy jest zapewne sporo racji, niebezpieczeństwo jednak leży w sądzie sprawy li tylko po jej sojusznikach.

Komentując wojnę w Libanie, p. Unger przyznaje, że rząd Izraela kłamał od początku inwazji¹, zdaje się jednak sugerować, że „cel uświęca środki”, a głównym celem kampanii było zniszczenie wpływów Organizacji Wyzwolenia Palestyny (OWP) w Cisjordanii i Gazie (okupowanych przez Izrael od roku 1967) i uniemożliwienie stworzenia tam niezależnego państwa palestyńskiego, które stałoby się „państwem po satelicku związanym z Sowietami” i „sowiecką bombą z opóźnionym antyizraelskim zapłonem”. Nikt nie neguje faktu, że OWP uznaje ZSSR za swego sojusznika, nie należy jednak zapominać, że Palestyńczycy i ich przywódcy zwrócili się w kierunku Rosji, gdy Narodów Zjednoczone, ani Europa Zachodnia, ani USA, ani Narody Zjednoczone, ani nawet kraje arabskie nie chciały lub nie były w stanie skłonić Izraela do poszanowania praw arabskiej ludności Palestyny (*vide*

1. Autor artykułu przytacza jedynie niektóre kłamliwe wypowiedzi rządu izraelskiego dotyczące wojny w Libanie, przyjmując inne za dobrą monetę. Tak np. p. Unger stwierdza, iż „palestyńska artyleria ostrzeliwała codziennie galilejskie kibuce”, podczas gdy faktem jest, że przez rok, tj. od momentu zawarcia przez Habiba porozumienia z OWP (lato 1981) do inwazji Izraela na Liban, ani jedna rakietą nie przeleciała ponad północną granicę Izraela (cf. m.in. artykuł Shevaha Weissa „Peace for Galilee?” w *Jerusalem Post* z 4 października 1982).

liczne rezolucje ONZ dotyczące Palestyny, całkowicie ignorowane przez Izrael). Związek Sowiecki niewątpliwie chętnie wykorzystałby problem palestyński dla własnych ekspansywnych celów; wojna w Libanie wykazała jednak raz jeszcze, że Rosja nie myśli narażać własnych interesów dla tak słabego i w sumie niepewnego sojusznika jak Palestyńczycy, a w ogóle historia prób umocnienia pozycji ZSSR na Bliskim Wschodzie to jedno pasmo niepowodzeń (by wspomnieć tylko Egipt). Przy tym mieszkając w Cisjordanii łatwo przekonać się na co dzień, jak nikłe są tu wpływy rosyjskie, szczególnie w porównaniu z wpływami Europy Zachodniej i USA. Tak np. niewielu można tu spotkać Palestyńczyków wykształconych w ZSSR, natomiast wciąż rośnie liczba młodych — często wychowanków doskonałych prywatnych szkół prowadzonych przez różne europejskie i amerykańskie fundacje religijne — wyjeżdżających na studia do Europy i USA. Rośnie również liczba emigrantów palestyńskich w USA, utrzymujących żywe kontakty z rodzinami w kraju. Dla przykładu: z miasteczka Ramalla, w którym obecnie mieszkam, wywodzi się około 25 tys. emigrantów w USA; organizują oni „rodzinne” zjazdy, pomoc finansową dla instytucji charytatywnych w Ramalli, stypendia dla Ramalczyków etc. Jednocześnie w Ramalli przebywa obecnie kilka tysięcy Palestyńczyków posiadających obywatelstwo amerykańskie.

Argumentując przeciwko projektom utworzenia niezależnego państwa palestyńskiego, autor artykułu używa retorycznie: „Po co państwo w Cisjordanii? Tylko dla Arafata?”. Autor wydaje się zapominać o 1,3 milionach mieszkańców Cisjordanii i Gazy, całkowicie zjednoczonych w marzeniach o własnym państwie. Kształt tego państwa, charakter jego stosunków z Izraelem a zwłaszcza z Jordanią, to dla nich sprawy do ustalenia, gdy będą mogli sami decydować o swoim losie. Obecnie ogromna ich większość popiera OWP, gdyż jest to jedyna organizacja polityczna Palestyńczyków (uznana przez przeszło 100 krajów) reprezentująca interesy różnych grup społecznych, religijnych i zawodowych, zarówno wśród uchodźców jak i na terenach okupowanych. Nawiasem mówiąc, można boleć wraz z autorem artykułu nad „łamańcami semantycznymi” zmierzającymi do demonizacji Izraela, nie sposób jednak nie wspomnieć o próbach demonizacji OWP przez propagandę izraelską².

Pogląd, że zniszczenie potencjału militarnego OWP w Libanie spowoduje nagłe ujawnienie się tzw. umiarkowanych Palestyńczyków w Cisjordanii i Gazie jest nieporozumieniem, opartym

2. *Nota bene* ciekawa psychologicznie jest postawa Begina, który usprawiedliwia własną przeszłość terrorystyczną w grupie Irgun zasadą „cel uświęca środki” (akty terroru przeciwko Arabom i Brytyjczykom miały doprowadzić do stworzenia państwa izraelskiego), a kategorycznie odmawia Palestyńczykom prawa do podobnego rozumowania. Na temat działalności terrorystycznej Begina i innych członków obecnego rządu Izraela można znaleźć interesujące informacje m.in. w książce N. Bethella *The Palestine Triangle* (Londyn 1979).

na niedocenianiu aspektu politycznego tej organizacji i masowego poparcia, jakim się ona cieszy na tych terenach. Mieszkając w Cisjordanii nie sposób na chwilę zapomnieć, że jest to kraj pod okupacją; natrętna obecność żołnierzy i uzbrojonych osadników izraelskich, punkty kontroli dokumentów, aresztowania, nocne rewizje, zamykanie szkół i uniwersytetów w ramach „kary zbiorowej”³, cenzura lokalnej prasy, słowem życie na co dzień w atmosferze ciągłego zagrożenia — wszystko to nie sprzyja rozbudzaniu wśród tutejszej ludności przyjaznych uczuć w stosunku do Izraela. Próby znalezienia tzw. alternatywnego przywództwa, z którym rząd Izraela mógłby pertraktować na temat stworzenia na terenach okupowanych „arabskiego Bantustanu” (bo do tego sprowadza się koncepcja autonomii Begina) nie są jak dotąd zachęcające. Wygrywając tradycyjne konflikty plemienne i stosując presję ekonomiczną, udało się władzom izraelskim założyć pewną liczbę tzw. lig wiejskich (*village leagues*), których przywódcy za cenę kolaboracji (bo tak określa się tutaj ich rolę) uzyskali dostęp do funduszy rządowych i zgodę na inwestycje, na które inne wioski czekają od lat. Członkowie lig zostali uzbrojeni przez Izrael, co daje im znakomitą szansę terroryzowania całkowicie rozbrojonej miejscowej ludności; jak łatwo się domyślić, są oni ogólnie znienawidzeni i nawet w Izraelu przyznaje się fiasko eksperymentu.

Inną próbą wyparcia wpływów OWP na terenach okupowanych jest prowadzona od niedawna akcja wymuszania podpisów pod deklaracją stwierdzającą, że podpisany nie popiera OWP i nie udzieli w żadnej formie pomocy „jakiegokolwiek organizacji uznanej za wroga wobec państwa Izrael”. Podpis pod deklaracją jest warunkiem wstępnym uzyskania prawa pobytu i pracy dla Palestyńczyków nie posiadających dowodu tożsamości wydanego przez Izrael (tj. wszystkich tych, którzy znajdowali się poza terytorium Cisjordanii i Gazy w momencie wybuchu wojny 1967), a także cudzoziemców pracujących w lokalnych instytucjach (szkoły, szpitale etc.). Akcją tą zostały również objęte wyższe uczelnie; jak dotąd, za odmowę podpisania deklaracji deportowanych zostało 20 profesorów i członków administracji Uniwersytetu Al Najah w Nablus, a w pozostałych uczelniach spodziewane są deportacje w sumie około 100 osób. Wątpić należy, czy stosując podobne metody uda się władzom izraelskim uzyskać cokolwiek poza pogłębieniem niechęci miejscowej ludności i zmniejszeniem szans na jakikolwiek dialog.

Dalszym punktem argumentacji p. Ungera jest stwierdzenie, że nikt dotąd nie zapytał mieszkańców Cisjordanii i Gazy, czy chcieliby i mogli przyjąć u siebie uchodźców. Mieszkańców

3. Uniwersytet palestyński w Birzeit, na którym obecnie wykładam, był w ubiegłym roku akademickim zamykany trzy razy — w sumie na 7 miesięcy — w ramach „kary zbiorowej” za demonstracje (m.in. przeciwko wojnie w Libanie). Większość studentów zdołała zakończyć rok akademicki dzięki konspiracyjnym kursom prowadzonym w meczetach, kościołach, klubach i domach prywatnych.

Cisjordanii i Gazy w ogóle nikt z reguły nie pyta o zdanie; jedyne wolne wybory do władz miejskich z roku 1976 należą już do zamierzchłej przeszłości, gdyż prawie wszyscy wybrani wówczas izraelskie z zbyt „nacjonalistyczne” poglądy. Nawiasem mówiąc, próby podjęte ostatnio zarówno przez ludność arabską w Izraelu jak i w Cisjordanii sprowadzenia krewnych z obozów uchodźców zniszczonych inwazją Libanu i udzielenia im schronienia przy najmniej na nadchodzącą zimę spotkały się z kategoryczną odmową władz Izraela. Pan Unger jest jednak przekonany, że „ani nie mogliby ani nie chcieliby (przyjąć uchodźców), już dziś wszakże jeżdżą 'na Saksy' do Izraela”. Niewątpliwie, Cisjordanie i Gazę cechuje dziś zastój gospodarczy, będący wynikiem świadomej polityki Izraela (a przedtem Jordanii) traktującego tereny okupowane jako poręczne rynki zbytu dla izraelskich produktów i utrudniającego rozwój lokalnego przemysłu; przy tym nikt nie kwapi się inwestować w tereny o tak niepewnej przyszłości. Rolnicza ludność wiejska, dodatkowo zubożona konfiskatami ziemi i kontrolą źródeł wody przez Izrael, chcąc nie chcąc zmuszona jest dojeżdżać do pracy w fabrykach Izraela, tworząc nową warstwę „chłopo-robotników”. Bardziej przedsiębiorczy lub posiadający kwalifikacje udają się do bogatych krajów arabskich Zatoki Perskiej, wydatnie wspomagając finansowo pozostałą rodzinę. Tym niemniej istnieje wiele przesłanek do przekonania, że przyszłe państwo palestyńskie miało by ogromny potencjał rozwojowy. Czytając reportaże w prasie izraelskiej można było dowiedzieć się, że poza arsenałami broni OWP założyła w Libanie szeroką sieć szkół, szpitali, a nawet własnych firm przemysłowych, dających zatrudnienie uchodźcom. Łatwo obliczyć, że gdyby fundusze dostępne OWP, asygnowane przez bogate kraje arabskie, przeznaczyć na rozwój infrastruktury i przemysłu w zdemilitaryzowanym państwie palestyńskim, okupowane przez Izrael tereny mogłyby wchłonąć bez szkody dla obecnych mieszkańców wielu (choć zapewne nie wszystkich) uchodźców. A przy tym Palestyńczycy to naród zdolny, pracowity i sprytny do interesów; już dziś, mimo ograniczeń, kwitnie miejscowy handel, a wielu Palestyńczyków założyło własne, dobrze prosperujące firmy w krajach arabskich a nawet w USA. Przynajmniej część z nich byłaby gotowa wrócić do Palestyny i skierować swoją energię i doświadczenie w rozwój rodzimego przemysłu. Zapewne, jak sugeruje p. Unger, część uchodźców nadal marzy o powrocie do własnej wioski np. koło Hajfy i odmówi osiedlenia się w Cisjordanii⁴. Wielu jednak, znużonych ciągłą

4. Pogląd, że „ułamek sum wydanych na wojny między Arabami... wystarczyły na całkowite rozwiązanie kwestii palestyńskiej” oparty jest na braku znajomości charakteru i psychiki Palestyńczyków, ich gorącego i upartego przywiązania do ziemi, z której zostali wygnani. Niewątpliwie, niektóre kraje arabskie wykorzystywały przez lata tragedię Palestyńczyków dla własnych politycznych celów; problem uchodźców jest jednak o wiele bardziej skomplikowany, niż to sugeruje p. Unger.

tułaczką i niepewnością jutra (raz jeszcze dramatycznie uwydatnioną wydarzeniami w Libanie) pogodziłoby się z utratą marzeń w zamian za prawa obywatelskie we własnym państwie.

Jeśli dobrze zrozumiałam autora artykułu, jego koncepcja przyszłego państwa palestyńskiego zbliżona jest do tez lansowanych ostatnio przez pewnych polityków izraelskich (min. generała Sharona), według których państwo palestyńskie już istnieje — w Jordanii. Scenariusz, w którym król Jordanii ogłasza się królem Palestyńczyków i z własnej woli przeprowadza referendum, którego rezultatem byłaby najpewniej jego detronizacja, wydaje się, mówiąc oględnie, mało realny. Pomijając również racje historyczno-socjologiczne przeciwko tezie Jordania = Palestyna, łatwo przewidzieć, że krok następny to wysiedlenie ludności arabskiej z Izraela i terenów okupowanych do Jordanii-Palestyny. Pan Unger przewiduje dobrowolną akcję przymuszenia ludności, Redakcja natomiast preferuje przymusowe „cięcie chirurgiczne”. Dobrowolna czy nie, akcja przemieszczania byłaby zapewne jednostronna, gdyż jak wiadomo, Żydzi nigdy nie osiedlali się w Jordanii.

W dyskusji na temat przyszłego państwa palestyńskiego nie sposób pominąć sprawy dla wielu kluczowej — uznania Izraela przez OWP. I tu również p. Unger powtarza opinie propagandy Izraela, jakoby dopiero inwazja Libanu zmusiła Arafata od odejścia „jeżeli nie od ducha karty OWP, to przynajmniej od jej litery”. Faktem jest, że od paru już lat wśród Palestyńczyków i ich przywódców dyskutuje się konieczność pójścia na kompromis i uznania państwa Izrael. To, co dotąd uniemożliwiało OWP jednoznaczne sformułowanie takiej postawy, to nie tylko opór wśród bardziej radykalnie nastawionych elementów palestyńskich, lecz również postawa Izraela, który od lat wymagał uznania bezwarunkowego, wykluczając np. możliwość połączenia oficjalnego uznania z negocjacjami na temat losu uchodźców. Co więcej, rząd Begina wyraźnie dał Palestyńczykom do zrozumienia, że w zamian za uznanie Izraela nie uzyskają absolutnie nic. Palestyńczycy widzą uznanie Izraela jako jedyną pozostałą im kartę w grze, w której Izrael jest wciąż górą: trudno się dziwić, że nie łatwo im było dotąd zdecydować się by rzucić tę kartę w próżnię.

Przez lata kraje europejskie, obarczone kompleksem winy wobec Żydów, popierały bezkrytycznie politykę Izraela, zatykając uszy na głosy Palestyńczyków, którzy jakoś nie mogli zrozumieć, dlaczego to właśnie ich krzywda ma okupić winy Europy. Teraz, być może, szala zaczyna przechylać się w drugą stronę. Nie jest jednak najlepszym przyjacielem Izraela ten, kto zabrania wszelkiej krytyki polityki obecnego rządu. Rząd Begina stosuje swoistą szantaż moralny: każdy, kto ośmieli się krytykować Izrael lub wyrażać sympatię dla Palestyńczyków, to antysemita; jeśli przypadkiem jest Żydem, to oczywiście należy do patologicznej kategorii *self-hating Jews*. Tymczasem rośnie grupa Żydów w Izraelu i poza nim, zdających sobie sprawę z faktu, iż obecna

polityka Izraela, oparta na sile militarnej i ultra-nacjonalistycznych sloganach jest na dłuższą metę samobójcza i może doprowadzić z jednej strony do rozbudzenia antysemityzmu, z drugiej do nasilenia aktów terroru, gdy Palestyńczycy przekonają się, że nic nie osiągną drogą pokojowych negocjacji.

Dr Anna PRATT
c/o English Department
Birzeit University
Birzeit
West Bank, via Israel

P.S. Artykuł „Widziane z Brukseli” zawiera wiele innych nieścisłości i tendencyjnych interpretacji, jednakże ograniczoność miejsca nie pozwala na dyskusję ich wszystkich.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 365 — JÓZEF KUŚMIEREK

STAN POLSKI

Ocena sytuacji Polski przez wybitnego
i kontrowersyjnego publicystę

Str. 80.

F. 30,00.

TOM 366 — GRAŻYNA POMIAN

POLSKA "SOLIDARNOŚCI"

Lata 1980-1981 w Polsce w oczach prasy krajowej

Str. 464.

F. 120,00.

TOM 368 — SŁAWOMIR MROŻEK

VATZLAV AMBASADOR

Dwie sztuki sceniczne znanego dramaturga
i pisarza

Str. 128.

F. 40,00.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

20-1-83
Kościół katolicki w PRL liczył w ub. roku 21.059 księży, w tym 15.942 diecezjalnych i 5.117 zakonnych. Seminarium duchowne kształciło 7.225 alumnów, a biskupi polscy wysłali 775 kapłanów. W 1981 roku zmarło 347 kapłanów.

1-2-83
Do dnia 20 stycznia br. 5.164 osoby wystąpiły z wnioskiem o emigrację z PRL ze względów politycznych. W tej liczbie jest 1.429 b. internowanych, 396 nie internowanych działaczy opozycji, a resztę stanowią ich rodziny. Decyzję pozytywną otrzymało 4.510 osób, paszporty wyjazdowe odebrało 3.339 osób, ale Polskę opuściło tylko 1.070 osób, w tym 300 byłych internowanych. ■ Na 10-tym posiedzeniu polsko-sowieckiej grupy roboczej do spraw współpracy wydawniczej poinformowano, że rozpoczęto już prace nad „monumentalną, wspólną edycją dzieł wszystkich W. Lenina w przekładzie na język polski”. Dzięki pomocy wydawców sowieckich czytelnicy polscy mają otrzymać „cenne pozycje z dziedziny marksizmu-leninizmu, a także beletrystyki dla dorosłych i młodzieży”.

3-2-83
Życie Warszawy podaje, że w Niemieckiej Republice Demokratycznej pracuje obecnie, na podstawie umowy międzyrządowej, około 20 tys. obywateli PRL: w strefie przygranicznej, na budowach, w przemyśle, w gospodarce komunalnej, a nawet w usługach. M.in. 200 kobiet pracuje w kombinacie odzieżowym Fortschritt. ■ Jedną ze specjalności PRL jest eksport usług konserwatorskich. Tradycyjnym rynkiem tego eksportu jest NRD, gdzie Polacy zatrudnieni są przy renowacji pałacu Neuekamern w kompleksie Sans-Souci; odnawia się ponadto kamienice Quedlinburgu i Stralsundu. W Związku Sowieckim ekipy konserwatorskie kontynuują prace w Tallinie, Rydze oraz są pertraktacje na temat prac konserwatorskich w Moskwie. W Europie zachodniej eksport koncentruje się w RFN, gdzie prowadzone są prace we Frankfurcie nad Menem, w Kolonii i w Nadrenii. Nowym rynkiem staje się Algieria, gdzie mają być prowadzone prace konserwatorskie w cytadeli w mieście Algier oraz pałacu Achmed Beya w Constantine. W sumie w konserwatorskich pracach eksportowych pracuje 350 osób. Eksport usług konserwatorskich jest bardzo opłacalny dewizowo, natomiast w samej Polsce w sposób alarmujący niszczyją zabytki.

12-2-83
Jak podaje Radio Warszawa, dyrektor Zrzeszenia Producentów Chemii Gospodarczej „Pollena” p. E. Motysia oświadczył, że w 1982 roku Polska wyprodukowała więcej mydła niż w roku 1978. Wynika z tego, że mydła było pod dostatkiem i że było ogólnie dostępne. Dyrektor „Polleny” przypuszcza, że po prostu wielu ludzi się nie myło, ale tego na ogół nie chce się przyjmować do wiadomości, bo to wstyd. ■ Trwają wzmożone prace przy brazylijskiej rudzie do Polski.

16-2-83
Zmarła w Poznaniu w wieku 90 lat poetka i tłumaczka Kazimiera Iłkiewiczówna.

17-2-83

Zapadły wyroki w procesie przeciwko grupie organizatorów radia „Solidarność”. Na kary więzienia zostali skazani: Zbigniew Romaszewski — 4,5 lat, Zofia Romaszewska — 3 lata, Danuta Jadczyk — półtora roku, Marek Raśniński — 2 i pół roku, Dariusz Rutkowski — dwa lata, Jacek Bąk — półtora roku, Anna Owczarska — 7 miesięcy.

22-2-83

W Warszawie zmarł w wieku 79 lat Mieczysław Jastrun, wybitny poeta, prozaik, eseista i tłumacz.

1-3-83

Zmarł w Warszawie w wieku 73 lat Leon Chajna, działacz PRL, współzałożyciel Stronnictwa Demokratycznego. Odsunięty w ostatnich latach, zajmował się masonerią.

6-3-83

Episkopat polski wyznaczył niedzielę, 13 marca, dniem dziękczynienia za charytatywną pomoc zagraniczną udzieloną Polsce. ■ W PRL przywrócono reglamentację benzyny i przewiduje się podwyżkę ceny. Jednocześnie gaz ziemny drożeje dwukrotnie, a nawet czterokrotnie, jeśli jest używany do ogrzewania mieszkań i domów jednorodzinnych.

8-3-83

W Warszawie został aresztowany Aleksander Małachowski jako „podejrzany o nielegalną działalność w tzw. podziemnych strukturach *Solidarności*”. Był on internowany po wprowadzeniu stanu wojennego. Aleksander Małachowski, wybitny publicysta i eseista, ostatni prezes „Klubu Krzywego Koła”, jest autorem szeregu książek, z których „Rzeczniepospolita”, wydana w 1964 roku, była dużym wydarzeniem kulturalno-politycznym.

ZACHÓD — EMIGRACJA

31-1-83

XX Zjazd delegatów Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii wybrał nowe władze. Prezesa został po raz trzeci Krzysztof Łańcucki, wiceprezesa Józef Kuszell. Do Zarządu zostali wybrani: Krzysztof Kordzik, Celina Słodowy, Eugeniusz Szomański, Danuta Trzaskowska, Włodzimierz Wojak, Roman Winiarski, Jolanta Wolska. Cechą charakterystyczną obecnego Prezydium jest, że weszli do niego przedstawiciele najnowszej emigracji oraz że jest to jedno z najmłodszych prezydiów: Prezes liczy mniej niż 50 lat, a trzech członków ma około 30 lat.

9-2-83

Państwowa telewizja włoska po raz pierwszy poświęciła godzinę swego programu na audycję o współczesnej literaturze polskiej. Audycja została przygotowana i poprzedzona wstępem Jerzego Pomianowskiego. Złożyły się na nią m.in. utwory Stanisława Barańczaka, Jacka Bierzina, Jerzego Ficowskiego, Zbigniewa Herberta, Anny Kamińskiej, Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej, Karola Wojtyły. Recytowali pp. Aleksandra Kurczab i Claudio Conti. Poeta Elio Pecora odczytał swoje tłumaczenia „Wierszy z obozu” Anki Kowalskiej. Ten sam program pt. „Głos mają polscy poeci” wystawiony został tydzień wcześniej w Teatro Flaiano pod nazwą Movimento Poesia.

16-2-83

Fundacja charytatywna Kongresu Polonii Amerykańskiej prowadzi na wielką skalę akcję pomocy dla Polski. W ostatnich miesiącach pomoc medyczna wyniosła 5 mln dolarów, wysyłka obuwia — 7,5 mln dolarów, nasiona warzyw — 2,5 mln dolarów, odżywki dla dzieci 750 tys. dolarów, żywność — 200 tys. dolarów, kukurydza i pszenica — 10 tys., a odzież — 100 tys. dolarów. Ogólna wartość wysłanych darów do Polski w okresie od listopada 1982 do lutego 1983 wyniosła 15.380.000 dolarów.

23-2-83

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się walne zebranie Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego, które rozpoczęło 7-my rok swojej działalności. Zebrani przyjeźli z podziękowaniem sprawozdanie ustępującego zarządu (6 odczytów i dyskusja) z prezesem Wasylem Mychalcukiem na czele i wybrali nowy zarząd w składzie: prezes — Władysław Żeleński, wiceprezes — Dr Olha Witochyńska, członkowie ukraińscy — Wasyl Mychalczuk i Mychajło Go-moła. Członkami honorowymi mianowano pp. Józefa Łobodowskiego i prof. Jerzego Langroda. Na zakończenie Leonid Pluszcz wygłosił odczyt o wielomilionowym mordzie głodowym, popełnionym przez Sowiety na Ukrainie w latach 1930-1933. W zebraniu uczestniczyło około 60 osób.

24-2-83

Grupa brytyjskich posłów do Parlamentu wystąpiła z wnioskiem do Ministra Spraw Wewnętrznych o przyznanie Polakom, przebywającym obecnie w Wielkiej Brytanii statusu uchodźców. Petycja dotyczy osób, które pozostają w Wielkiej Brytanii od czasu wprowadzenia w PRL stanu wojennego. Wniosek dotyczy około 1.200 obywateli polskich.

1-3-83

W ciągu ostatnich 14 miesięcy do Afryki Południowej przybyło około 3 tysięcy Polaków. Na skutek recesji ekonomicznej trzeba się liczyć z tym, że akcja rekrutacji na większą skalę bardzo osłabnie. Jest jednak jeszcze w Wiedniu spora ilość Polaków, która już otrzymała kontrakty i czeka na transport. W poprzednim okresie ilość Polaków przebywających w Afryce Południowej wyniosła 5 tysięcy. Polonia więc wzrosła w ostatnim okresie o ponad 60%. ■ *Americares for Poland*, fundacja której honorowym przewodniczącym jest Zbigniew Brzeziński, a przewodniczącym — Robert Macauley, wysłała w roku 1982 trzykrotnie pomoc do Polski: 10 marca 1982 roku leki wartości 1.100.000 dolarów (w tym transporcie *Americares* 1982 roku leki wartości 437.555 dolarów); 4 grudnia 1982 roku — leki wartości 2.225.737 dolarów, a wkrótce potem słodczyce od dzieci amerykańskich dla dzieci polskich wartości 275.000 dolarów.

2-3-83

W *Times*ie ukazał się list w obronie KOR-u. Wybitni sygnatariusze domagają się zwolnienia więzionych członków KOR-u i wszystkich więźniów politycznych w PRL. List kończy się słowami: „Odmawiamy dania jakiegokolwiek wiary oskarżeniom wysuwanych przeciwko członkom KOR”. List ten podpisał m.in. prof. Isaiah Berlin z Oxfordu, prof. Ralf Dahrendorf, dyrektor London School of Economics, znana pisarka Iris Murdoch oraz Karl Popper. ■ Zmarła nagle w Londynie Antonina M. Terlecka — Tola Korian — artystka dramatyczna, pieśniarka, diseusa.

4-3-83

W L'Autre Musée w Brukseli (122, rue du Viaduc) wernisaż wystawy Jana Lebensteina: „Wokół *Tańca Smierci* Strindberga”. Wystawa będzie trwała

do 10.4.1983 a w międzyczasie, 24.3.1983, odbędzie się w Brukseli premiera sztuki Strindberga *Taniec Śmierci*. Dekoracje i kostiumy projektował Jan Lebenstein. Równocześnie będzie otwarta w Brukseli wystawa tychże projektów.

12-3-83

W Londynie miało miejsce III Sympozjum Międzybiblioteczne, które odbyło się w Bibliotece Polskiej. ■ Kardynał Glemp, w czasie swego pobytu w Rzymie dla omówienia szczegółów wizyty Papieża w Polsce, odebrał w Vibo Valentia nagrodę, ufundowaną przez miejscową fundację katolicką Kościołowi polskiemu. W okolicznościowym przemówieniu podkreślił, że aczkolwiek komunizm nie jest ideologią chrześcijańską, to Kościół musi prowadzić z nim dialog. „Zadaniem Kościoła nie jest eliminowanie swych przeciwników — tym bardziej, że w Polsce nigdy nie było konfliktu między Kościołem katolickim a narodem”. Z tego sformułowania wynikałoby, że albo kardynał uważa PZPR za naród, albo jest to kolejne niezbyt fortunne sformułowanie Prymasa.

16-3-83

Towarzystwo Przyjaciół Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, oddział w Skandynawii, oraz S.P.K. w Kopenhadze zorganizowało wieczór dr. Eugeniusza Gąsiorowskiego, który mówił na temat „Etiopia — zabytki sztuki i teraźniejszość”. Dr Gąsiorowski jest wybitnym historykiem sztuki i prowadził w 1980 roku w ramach prac UNESCO konserwację zabytków w Etiopii.

KRONIKA KANADYJSKA

Polski Instytut Naukowy w Kanadzie obchodzi w dniu 3 maja br. 40-lecie swego istnienia. Przewodnictwo nad obchodami objął Rektor University McGill, który jest równocześnie honorowym prezesem P.I.N. w Kanadzie. W programie są m.in.: wystawa książki i grafiki polskiej ze zbiorów Biblioteki; film o historii Instytutu i Biblioteki; wieczorna uroczystość z udziałem Czesława Miłozza, laureata Nagrody Nobla. ■ Najmłodsza i wysoce aktywna organizacja *Polish Canadian Action Group* rozwija działalność jednocześnie na dwóch płaszczyznach: polonijnej i ogólnokanadyjskiej. Ostatnią akcją były konferencje, jakie odbyły się 20 lutego br. w Toronto i Montrealu z udziałem przedstawicieli partii politycznych na temat „Stanowisko partii politycznych w sprawie wydarzeń w Polsce”. W Toronto prowadził ją młody historyk, dr Jan Fedorowicz, a w Montrealu p. Wilhelm Siemiński, członek zarządu okręgu KPK. W Toronto zebranie odbyło się w Domu Kombatanta, a w Montrealu w jednej z sal wykładowych McGill University. W Toronto na sali obecnych było 150 osób, a przemówienia wygłosili: Flora Macdonald, posłanka z ramienia Partii Konserwatywnej, która w krótkotrwałym rządzie konserwatywnym Joe Clarka była ministrem spraw zagranicznych i obrony narodowej oraz poseł Ian Deans, przewodniczący klubu parlamentarnego Nowej Partii Demokratycznej. Mówcy reprezentowali partie opozycyjne, wobec tego mogli do woli atakować, deklorować, zapewniać. Rządząca Partia Liberalna nie była reprezentowana na szczelnie federalnym. Nie uczestniczył więc w tym zebraniu w charakterze mówcy czy dyskutanta żaden poseł Izby Gmin czy senator ani rzecznicy, przedstawiciele Polonii jak poseł Jesse Flis i senator Stanley Haidasz. Zabierali natomiast głos poseł liberalny do ontaryjskiej Izby Ustawodawczej Tony Ruprecht i radny miejski, również liberał, Korwin-Kuczyński. Ich przemówienia mają oczywiście minimalny ciężar gatunkowy. ■ Rząd Federalny wyasy-

gnował z budżetu Canadian International Development Agency \$ 200.000 na pomoc dla Polski. W ten sposób rząd wydał dotychczas na pomoc dla Polski \$ 1.000.000. ■ Sprawozdanie finansowe za rok 1982 Komisji Skarbu Narodowego na Kanadę wykazuje wpływ w wysokości \$ 31.654 z tym, iż na Skarb Narodowy wpłynęło ogółem \$ 27.586, a na Fundusz Pomocy \$ 3.881. Najwyższe wpłaty wpłynęły z Toronto i wyniosły \$ 6.798, na drugim miejscu uplasował się Hamilton — \$ 4.835, po czym kolejno: Koło SPK nr 26 w Prince Albert — \$ 4.000, Oshawa — \$ 2.498, Montreal — \$ 2.300, Ottawa — \$ 2.148, a z pozostałych ośrodków wpłaty wyniosły poniżej dwóch tysięcy. ■ Dnia 13 lutego o godz. 15-tej odbyła się przed gmachem konsulatu PRL w Toronto demonstracja protestacyjna pod hasłem „Uwolnić więźniów politycznych”. Po demonstracji publiczność udała się do kościoła Św. Teresy, gdzie o godz. 16.30 odprawiona została Msza Św. za śmiertelne ofiary stanu wojennego. ■ Kapitał „Funduszu Wieczystego Millenium” wzrósł w okresie sprawozdawczym: 7.3.1982 - 31.1.1983 do sumy \$ 1.098.649. Z oprocentowania kapitału wpłynęło — \$ 108.388, ale czysty dochód z inwestycji wyniósł \$ 101.261. Rozdzielono w roku sprawozdawczym \$ 108.805, w tym na szkolnictwo polonijne — \$ 19.450, organizacje młodzieżowe — \$ 28.600, biblioteki — \$ 2.800; wydziały sławistyczne University of Toronto i University of Manitoba otrzymały dla polonistyki \$ 8.000, Instytut Badawczy — \$ 10.000, Instytut Naukowy w Montrealu — \$ 4.000, Katolicki Uniwersytet Lubelski — stypendia — \$ 4.000. Mniejsze dotacje przyznano: Radzie Ośw. Zw. Nar. Polskiego w Toronto, biuru Pomocy KPK - Okręg Toronto, Komisji Emigracyjnej i Komisji Opieki Społecznej. Na stypendia indywidualne wydano \$ 16.700. ■ Biuro Informacyjne NSZZ „Solidarność” w Kanadzie podał do wiadomości, iż od 1 lutego br. odpowiedzialnym kierownikiem biura jest Jerzy Kopczyński. Biuro mieści się nadal w lokalu Centrali Związków Zawodowych (Canadian Labour Congress), a p. Kopczyński, emigrant z ostatniej fali, przybył do Kanady przed kilku miesiącami, został wyznaczony na to stanowisko przez Radę Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” za granicą. ■ Komitet Poparcia „Solidarności” w Toronto wystosował apel-wezwanie do społeczeństwa o poparcie akcji protestacyjnej w związku z procesem pokazowym przeciwko uwięzionym doradcom i przywódcom „Solidarności”. Akcję Komitetu poparli: Margaret Atwood — czołowa pisarka, Józef Skvorecky — czeski powieściopisarz, emigrant, June Calwood — dziennikarka, Teresa Hamström-Rakowska — profesor nauk politycznych Carleton University, Ottawa, dr Jan Fedorowicz, historyk, Dennis McDermott, prezes Canadian Labour Congress, John Haker, dyrektor Canadian Labour Congress, Jan Kaszuba, prezes Zarządu Głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Komitet umieścił w *Globe and Mail*, najpoważniejszym dzienniku w języku angielskim, apel wraz z podpisami, z prośbą o datki na pokrycie kosztów ogłoszenia i dalszą akcją w obronie uwięzionych. Wyżej podpisani apelują do władz polskich o: „1) natychmiastowe anulowanie wszelkich oskarżeń wobec 13 przywódców „Solidarności”, 2) natychmiastowe zwolnienie ich z więzienia, 3) wstrzymanie dalszych represji wobec nich tak, by mogli bez przeszkód korzystać z konstytucyjnie zagwarantowanych praw wolności słowa, publikacji i zgromadzeń i 4) w wypadku, gdyby władze polskie nie zgodziły się na procesy jawne, by przedstawiciele uznanych ogólnie międzynarodowych organizacji prawnych i świata pracy mogli być obecni na nich i aby mogli brać udział w obronie oskarżonych”.

B. H.



Odpowiedzi Redakcji

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

K.P., RFN; S.L.L., USA; V.N.; A.N., Argentyna; J.P., Kanada; T.F., USA; P.N., USA; A.Z., RFN; J.B., RFN; G.N., RFN; J.S., RFN; A.L., Szwecja; B.K. w Kraju; U.A.K., Belgia; W.M.A., Francja. — Z wierszy nie skorzystamy.

J.T., USA. .. *Kultura* kilkakrotnie zabierała głos w tej sprawie. Miejmy nadzieję, że *Economist* ogłosi Pana list.

M.B., Holandia. — Istnieje już bogata literatura na temat marca 1968. Nadesłane wspomnienie wydaje nam się dość błahe i powierzchowne.

S.S., Szwajcaria. — Skoro o noweli Steinera i o jej niepokojących implikacjach była już w *Kulturze* mowa, po co to powtarzać?

W.S., RFN. — Opowiadanie jest słabe. Trudno nam odpowiedzieć na pytanie, gdzie mógłby Pan tego rodzaju rzeczy publikować.

U.N. w Kraju. — Niestety oba krótkie utwory są bardzo nieporadne.

T.J.W., USA. — Próbką dziennika nie budzi zachwyty, ale nie chcemy Pana zniechęcać do jego kontynuowania. Proszę tylko pamiętać jak trudne do pokazania jest „tło”, które opisał już Miłosz w swoich *Widzeniach*.

R.G., USA. — Scenariusze filmowe nas nie interesują. Jaki miałyby sens przechowywanie przysłanego przez Pana scenariusza w naszym archiwum?

E.L., Kanada. — Zbiorek nie został zakwalifikowany do wydania. Nie podejmujemy się, w takich wypadkach, pisanie „szczegółowych recenzji” na użytek autorów.

M.G., USA. — Wszystkie cztery krótkie opowiadania są mało dowcipne i dość wulgarnie.

M.D., Francja. — Pomysł „wsparcia Biblioteki Polskiej w Paryżu funduszem zagranicznej Solidarności” jest szlachetny, ale chyba Solidarność zagraniczna powstała w myślą o innych zadaniach. Artykuł o książce Jeleńskiego, słuszny w intencjach, jest zbyt ogólnikowy.

G.S., Chicago, USA. — Pani list przekazaliśmy autorowi artykułu.

Jan Wojtkiewicz, Warszawa. — Pana list, pełen arogancji i ignorancji, wrzuciliśmy do kosza.

St.W., Villefranche, Francja. — Nie zamieścimy. Nie zamierzamy kontynuować dyskusji na temat artykułu Tymoteusza Klempskiego.

LESŁAW JUREWICZ

ZBRODNIA CZY POCZĄTEK WOJNY DOMOWEJ

Głównym tematem książki jest próba odpowiedzi na pytanie, czy rozstrzelanie 26 żołnierzy PPR-owskiej Gwardii Ludowej przez oddział Narodowych Sił Zbrojnych w dniu 5 sierpnia 1943 roku było zbrodnią, czy początkiem obronnej wojny domowej z komunizmem w Polsce.

Walka prowadzona była na płaszczyźnie politycznej (jawnej i podziemnej) oraz zbrojnej. W latach 1944-1956 wzięto w niej udział ponad trzy miliony patriotów. Ponad milion aresztowano. Około miliona wysiedlono.

Po stronie zwącej się ludową padło ponad 22.000 ludzi. Patriotci stracili około 8.000 w zabitych.

PPZR-owska wojskowa dyktatura w kraju musi zrozumieć, że:

1. Pomimo ogromnej przewagi w ludziach, uzbrojeniu i sprzęcie PPR i interwencja sowiecka wojny z Podziemiem nie wygrały.
2. Odmowa kompromisu doprowadzi do wybuchu rozpaczki w postaci nowego Podziemia i podjęcia zawieszonyj walki zbrojnej.

ZBRODNIA CZY POCZĄTEK WOJNY DOMOWEJ

jest do nabycia u autora pod adresem:

528 West 111-th Street, New York, N.Y. 10025, USA.

Cena egzemplarza wraz z przesyłką — 12 dolarów.

Książka zawiera bogatą dokumentację i oryginalne mapy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego z lat 1947 oraz 1948.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 369 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZEŚCZDZIESIĄTY TRZECI

Zawiera m.in. opracowania: H. Józewskiego — *Zamiast pamiętnika (Rosja)*; J. Szygowskiego — *Konferencja państw bałtyckich w Bulduri (Ryga) w roku 1920*; L. A. B. Kliszewicza — *Placówka łączności w Jugosławii w czasie ostatniej wojny*; *Głosy zza muru cz. II*; M. Budnego — *Wspomnienia niefrasobliwe oraz działy: RECENZJE, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 60,00.

TOM 370 — CZESŁAW MIŁOSZ

ŚWIADECTWO POEZJI

(Sześć wykładów o dotkliwościach naszego wieku)

Str. 96.

Cena F. 40,00.

TOM 371 — STANISŁAW SWIANIEWICZ

W CIENIU KATYNIA

(Wznowienie foto-offsetowe)

Str. 360.

Cena F. 65,00.

TOM 372 — WOJCIECH KARPIŃSKI

AMERYKANSKIE CIENIE

O Ameryce, „Solidarności”, sztuce i literaturze

Str.

Cena F. 65,00.